Alhierd Bacharewicz

TALENT DO JĄKANIA SIĘ

Opowiadania wybrane

KOLEGIUM EUROPY WSCHODNIEJ
IM. JANA NOWAKA-JEZIORAŃSKIEGO

Jąkam się. Wszystkim niecierpliwym, zrozpaczonym słowom – wielkiemu mnóstwu słów! – które skrywam w swoim wnętrzu, niezwykle rzadko nadarza się sposobność, by opuścić moją krtań bez przeszkód. Mógłbym stać się wyjątkowo rozmowny, zostać wybitnym adwokatem albo dziennikarzem telewizyjnym, przekonywać najbardziej upartych tylko mocą swojego krasomówstwa, karać ich lub ułaskawiać – według swojego widzimisię – gdyby nie ten niezauważalny uszkodzony detal mojego organizmu, który brzęczy w środku, kiedy potykając się, biegnę za odjeżdżającym autobusem rozmowy.

Альгерд Бахарэвіч

Талент заіканьня

Выбраныя апавяданьні

Alhierd BACHAREWICZ

TALENT DO JĄKANIA SIĘ

Opowiadania wybrane

Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
Wrocław 2008

Seria „Biblioteka Białoruska"
ukazuje się pod patronatem
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP

Logo serii oraz projekt okładki: Marek Stanielewicz

Redaktorzy serii: Andrej Chadanowicz, Jan Andrzej Dąbrowski

Tłumaczenie: Katarzyna Bortnowska, Katarzyna Kwiatkowska,
Maryja Łucewicz-Napałkow

Konsultacja tłumaczeń: Jan Maksymiuk

Redakcja i korekta: Magdalena Jankowska

Opracowanie typograficzne: Maciej Szłapka

Ilustracja na okładce: Vasily Pochitsky, *Magic eye*

ISBN 978-83-89185-80-8

Projekt jest współfinansowany w ramach programu polskiej pomocy
zagranicznej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w 2007 r.

Publikacja wyraża wyłącznie poglądy autora i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem MSZ

Wydanie publikacji zrealizowano
z dotacji Gminy Wrocław

www.wroclaw.pl

Przygotowanie do druku
Pracownia Składu Komputerowego TYPO-GRAF
Druk i oprawa
Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN im. S. Kulczyńskiego Sp. z o. o.

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
pl. Biskupa Nankiera 17, 50-140 Wrocław
tel. 071 342 16 81, fax 071 718 19 56
e-mail: office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

CAŁY TEN BIAŁORUSKI CYRK

Alhierd Bacharewicz to wschodząca gwiazda literatury białoruskiej. Trzydziestotrzyletni prozaik z Mińska, od kilku lat mieszkający w Hamburgu, wydał do tej pory na Białorusi cztery książki: *Praktyczny poradnik rujnowania miast* (2002), *Barwy naturalne* (2003), *Żadnej litości dla Walentyny H.* (2006) i *Przeklęci goście stolicy* (2007). Obecnie przygotowuje pokaźnych rozmiarów powieść zatytułowaną *Sroka na szubienicy*.

Bacharewicz pisze z pasją i wcale nie przejmuje się tym, że panowie Roland Barthes, Michel Foucault, Jacques Derrida i cała rzesza ich postmodernistycznych wyznawców ogłosiła śmierć autora i upadek oryginalnej literatury w ogóle. Dla Bacharewicza literatura, którą uznaje i lubi, opiera się na trzech słupach dwudziestowiecznego modernizmu: Franzu Kafce, Jamesie Joyce (jako autorze *Ulissesa*) i Vladimirze Nabokovie. Potem, po pewnej pauzie, Bacharewicz wymienia jeszcze nazwiska ponad tuzina autorów, którzy zrobili na nim wrażenie albo wprawili go w stan czytelniczego zachwytu, między innymi Michaiła Bułhakowa, Johna Fowlesa, Alaina Robbe-Grilleta, Güntera Grassa, Josifa Brodskiego. Podejrzewam, że czytelnicy opowiadań Bacharewicza prezentowanych w obecnym wydaniu dorzucą do tej wyliczanki także nazwisko Julio Cortázara, którego nasz autor nie wymienia, być może przez zwykłe zapomnienie...

Prawdziwa literatura, co Bacharewicz lubi powtarzać w wywiadach, to „czary": „Każde czarowanie jest w istocie wielkim oszustwem. Prawdziwy czytelnik podświadomie czeka, żeby go oszukano i to w taki sposób, by nie mógł połapać się, jak doszło do tego oszustwa. Czytelnik chce skosztować czarodziejskiego napoju, który nie uczyni z jego głowy zamulonego pojemnika z wynikami analizy czyichś gruczołów łzowych, lecz upoi go fizycznie odczuwalnym językiem, samoistnym słowem, paradoksalnością obrazów, marsjańską harmonią kompozycji i fabuły. Załaskocze swoim hymnem na cześć logocentryzmu, uwiedzie doskonałością stylu, zabije natchnieniem autora" (z wymiany poglądów z Jurasiem Barysiewiczem, opublikowanej w książce *Żadnej litości dla Walentyny H.*).

A czym jest nieprawdziwa literatura? Na ten temat Bacharewicz także ma wyrobione zdanie. W sarkastycznej noweli *Żad-*

nej litości dla Walentyny H. główny bohater Chadok, redaktor działu literackiego w gazecie i opiekun miejscowego kółka literackiego, walczy z zalewającą go falą grafomanii i literackiej szmiry. I codziennie dopisuje kolejne pozycje do swojego indeksu literatury „niewskazanej", którą dla zdrowia estetycznego lepiej omijać z daleka: „Przed oczyma Chadoka prawie przez cały czas znajdował się jego własny *index librorum prohibitorum*, uzupełniany z przerażającą regularnością. Tęczowe smarki tak zwanych powieści kobiecych i zaśmiardła rąbanka tak zwanych powieści męskich. Amerykańskie powieści sensacyjne – sensory gustów czytelniczych: czy wytrzymasz do rozwiązania zagadki. Thrillery polityczne, które można nazwać literaturą jedynie za pokaźne pieniądze. Rosyjskie powieści detektywistyczne, o których lepiej zupełnie nic nie mówić. Tak zwana literatura erotyczna – papierowe natchnienie do onanistycznego rękodzieła. Fantasy razem z fantastyką, pasożyty płodzone przez infantylnych zafajdańców. Literatura białoruska, skutecznie odbierająca wszelką ochotę do czytania w ogóle. Tak zwana klasyka, nie będąca w istocie niczym innym jak tylko niezdarnymi, wysoce moralnymi bździnami grupki samozwańców. Modne książeczki, w których *coitus* próbuje przedstawiać się jako pojęcie filozoficzne, a wrodzony sadyzm jako przejaw rewolucyjności. Szkolne wypracowania młodych narkomanów, przemawiających rzekomo w imieniu jakichś tam wątpiących pokoleń. Udające literaturę dziennikarstwo – do ognia z nim i z jego autorami. A Chadoka do kipiącej smoły za to, że zajmuje się ich hodowlą".

Na indeksie niewydarzonej produkcji literackiej Bacharewicz lekką ręką umieszcza również całą literaturę białoruską, ma się rozumieć oprócz tej części, którą tworzy on sam. Hiperbolizacja – o czym każdy czytelnik może się łatwo przekonać po lekturze choćby tylko jednego opowiadania Bacharewicza – to jedna z ulubionych „czarodziejskich" sztuczek autora. Ale Bacharewicz ma też rację, oskarżając literatów białoruskich o zideologizowanie i upolitycznienie, o pisanie w celu „uświadomienia" i „przebudzenia" narodu zamiast tworzenia prawdziwej literatury. Na samym początku kariery literackiej Bacharewicz napisał wiersz zatytułowany *Mowa niemiecka*, w którym wysławiał piękno i żywotność języka niemieckiego, korzystając szczodrze z tradycyjnego arsenału obrazowego patriotycznej

poezji białoruskiej i w ten sposób wykpiwając skłonność swoich kolegów po piórze do użalania się nad niedolą ojczystej mowy.

Inne podejście do narodowego losu, znacznie głębsze i bardziej wyraziste artystycznie, zaprezentował Bacharewicz w świetnym opowiadaniu „Białorusini na kryształowych globach", zamieszczonym w niniejszym zbiorze. Urodzony i wychowany w jednej z robotniczych dzielnic na przedmieściach Mińska, przyszły pisarz musiał boleśnie odczuwać swoją inność i obcość z powodu własnej białoruskojęzyczności i białoruskiej tożsamości kulturowej w na wskroś sowieckim i rosyjskojęzycznym otoczeniu. Los Białorusinów w nominalnie białoruskim mieście pisarz porównał w tym opowiadaniu do cyrkowców (ni to ludzi, ni zwierząt), którzy całe życie spędzają albo na arenie, albo w klatkach za kulisami.

Dlaczego zatem Bacharewicz pisze po białorusku? I właściwie dla kogo, skoro sam sarkastycznie stwierdza, że w 10-milionowej Białorusi 9,5 miliona ludzi na ogół nie zdaje sobie sprawy, że istnieje jakaś literatura białoruska, nie mówiąc już o tym, żeby wziąć do ręki białoruską książkę? Odpowiedź Bacharewicza na ten dylemat jest i dowcipna, i zastanawiająca. Otóż pisarz twierdzi, i z tym można się zgodzić, że jakość literatury zależy jedynie od pisarza, a nie od języka i ilości czytelników (dodając przekornie, że zbyt wielka ilość czytelników tylko psuje literaturę). Druga część odpowiedzi jest znacznie bardziej kontrowersyjna. Otóż według Bacharewicza, pisanie po rosyjsku na Białorusi, w obliczu potężnej i prężnej literatury rosyjskiej tworzonej w samej Rosji, automatycznie skazuje białoruskiego autora na prowincjonalną trzeciorzędność – i to nie tylko w oczach czytelników z Moskwy czy Sankt-Petersburga, ale i rodaków z Mińska. Poza tym, wszyscy piszący na Białorusi po rosyjsku to „prowincjonalne beztalencia"...

Cokolwiek by się nie powiedziało o nadmiarze pewności siebie lub przesadnie wybujałym ego Bacharewicza, nie sposób zaprzeczyć, że prezentowane w obecnym tomie opowiadania świadczą o nieprzeciętnym talencie literackim i wielkich twórczych możliwościach ich autora. Każda z książek Bacharewicza była wydarzeniem literackim w Mińsku (oczywiście w skali „białoruskiej areny cyrkowej") i wydaje się, że niedaleki jest już czas, gdy Bacharewicz – dzięki przekładom na niemiecki i inne

języki, włączając w to obecny polski – stanie się nazwiskiem znanym i uznawanym także wśród szerszej publiczności literackiej w Europie.

Będąc świeżo po lekturze maszynopisu powieści Bacharewicza *Sroka na szubienicy*, jestem święcie przekonany, że będzie to jego pierwsze *opus magnum*, które uczyni go znakomitością na skalę europejską. Powieść ta, zapożyczająca tytuł od znanego obrazu Pietera Bruegela Starszego, to hipnotyzująca historia życia dziewczyny o imieniu Weronika, trochę narcystycznej nimfomanki mieszkającej w kraju nieco przypominającym Białoruś i pracującej w centralnym zarządzie obozów koncentracyjnych. W obozach siedzą powszechnie potępieni „faszyści", którzy z kolei trochę przypominają przeciwników dzisiejszego reżimu w Mińsku. Świat wykreowany przez Bacharewicza bardziej przypomina jednak wizje z prozy Kafki albo Nabokova z takich powieści jak *Bękarci znak* czy *Zaproszenie na egzekucję* niż polityczną satyrę, strukturalnie zaś *Sroka na szubienicy* jest „układanką" czy też „mozaiką" przypominającą *Grę w klasy* Julio Cortázara. To świetne parantele literackie, które świadczą nie tylko o podjętej przez autora ambitnej próbie zmierzenia się z największymi czarodziejami pióra, lecz także o ustawianiu sobie twórczej poprzeczki coraz wyżej i wyżej.

Jan Maksymiuk

TALENT
DO JĄKANIA SIĘ

TALENT DO JĄKANIA SIĘ

Jąkam się. Wszystkim niecierpliwym, zrozpaczonym słowom – wielkiemu mnóstwu słów! – które skrywam w swoim wnętrzu, niezwykle rzadko nadarza się sposobność, by opuścić moją krtań bez przeszkód. Mógłbym stać się wyjątkowo rozmowny, zostać wybitnym adwokatem albo dziennikarzem telewizyjnym, przekonywać najbardziej upartych tylko mocą swojego krasomówstwa, karać ich lub ułaskawiać – według swojego widzimisię – gdyby nie ten niezauważalny uszkodzony detal mojego organizmu, który brzęczy w środku, kiedy potykając się, biegnę za odjeżdżającym autobusem rozmowy.

Wszystko odbywa się tak: jakiś kapryśny dźwięk, najczęściej *k* albo *l,* który posłusznie rusza na czele przygotowanej frazy, nagle wczepia się boleśnie łapkami w ścianki krtani, zapiera się i prycha. Te, które idą za nim, naciskają rozdrażnione, wpychają się nieborakowi na plecy, ale wstrętny dźwięk nic sobie z tego nie robi. Uporządkowany szereg łamie się, rozmówca odwraca wzrok albo przeciwnie, zachęcająco kiwa głową, grzecznie czekając, póki nie wymówię tego, co chcę. Ale jego myśli już nie przecinają się z moimi, bo skupia uwagę tylko na moim jąkaniu. Czuję, że nie mogę wypowiedzieć się tak ładnie i przekonująco, jak bym chciał, i zaczynam trząść się z panicznego strachu. Gorączkowo próbuję powiedzieć to samo innymi słowami i czasem mi się udaje, ale w międzyczasie diabli biorą moją ironię, bezbłędną trafność zdań, dowcip i spokój w głosie, które dopiero co gotowe były całkowicie oczarować mojego rozmówcę. Rozmowa traci sens, rozmówca patrzy na mnie skonsternowany, z politowaniem i pogardą jednocześnie, i wkrótce odchodzi, zabierając ze sobą swój dar wymowy tak lekkiej i naturalnej jak oddychanie – wielki dar, którego błogosławieństwa nigdy nie będzie mu dane sobie uświadomić.

„To nie choroba… tak… to defekt wymowy" – mówi mi przyjaciel mojego przyjaciela. „Impotencja jest dużo gorsza" – odpowiada na to, uśmiechając się nieprzyjemnie pod wąsem, mój daleki kuzyn. „Wolałbym się jąkać" – szepcze niewidomy. „Od tego jeszcze nikt nie umarł" – kładzie swoją rękę na mojej znajoma mojego znajomego. Jak ja nienawidzę tego współczucia!

Śmieję się z innymi, kiedy opowiadają dowcipy o jąkałach, ale w takich momentach dotkliwie mnie korci, by dowieść wam

wszystkim, że moje jąkanie jest tylko chwilowe, że jąkam się tylko wtedy, gdy jestem zdenerwowany, a normalnie jestem takim samym gadułą jak wy. Sam jednak nie jestem w stanie opowiedzieć dowcipu. Czasem o tym zapominam i zaczynam mleć ozorem: „Posłuchajcie, znam kawał…” – ale wtedy przyjazna ręka miękko dotyka mojego ramienia: lepiej nie. Ten wymuszony, fałszywy śmiech, który wyciskają z siebie, w mękach dotrwawszy do finału, na długo odbiera mi ochotę do jakiejkolwiek rozmowy. A mój kawał był śmieszny. Bardzo śmieszny! Należę do przeklętego plemienia jąkałów, do tych, których mowę na piśmie najlepiej oddają znaczki oddzielające literę od litery i przypominające żołnierzy w okrążeniu: „l-l-l-literę od l-l-l-litery”… Nasza wada wymowy jest tak zauważalna, tak rzuca się w oczy w tekście, jak rozmowa dwóch jąkałów pośrodku milczącego tłumu. To nas zawsze wybierają nikczemni pisarze, chcący nadać ludzkie cechy jakiejś papierowej postaci. Niech ten będzie łysy, inny z chronicznym katarem, a jeszcze inny niech się jąka. Nim zdążysz się obejrzeć, czytelnik już to kupuje.

A jednak pismo wymyślono dla nas. W nim możemy się w pełni ujawnić, w nim dla naszej błyskotliwości, naszego poczucia humoru, naszej wrażliwości na język jest przestrzeń i wolność, w nim jest nasze królestwo. Litery wynalazł jąkała. Ale spróbuj przeczytać na głos, przed zamarłym w uwadze audytorium, to co napisałeś – nieważne, jak genialne byłyby stworzone przez ciebie wersy, po kilku minutach słuchacze skierują się ku wyjściu. Nawet ci, którzy podobnie jak ty noszą na sobie piętno jąkania.

Od jąkania jeszcze nikt nie umarł…

Kiedyś przez cały rok mieszkałem ze swoim dziadkiem w jego pachnącym lekarstwami, obskurnym, jednopokojowym mieszkaniu. Dziadka moje jąkanie w ogóle nie obchodziło, miał nie po kolei w głowie, niemal nie wstawał, nie odpowiadał na pytania, jadł tylko ziemniaczane puree, którego od tamtej pory nienawidzę. Natłukłem wtedy tyle gotowanych ziemniaków, że nocami musiałem wyrywać się z macek wciąż tego samego koszmaru: leżę na swojej kanapie w kuchni, obok lodówki, nie mogę ruszyć rękami zlepionymi twardniejącym jak cement puree, a z sufitu zwisają i huśtają się nade mną jakieś żelazne rurki, z których wypełzają kiełbaski zrobione z tej samej gęstej, żółtej masy. Dziadek rósł w swoim łóżku jak chwast, który głębo-

ko zapuścił korzenie w pościel. Wrażenie było tym silniejsze, że nawet ręce podnosił tylko zawinięte w kołdrę, a kiedy poruszał głową, razem z nią jak przybita gwoździami ruszała się także poduszka. Jego ulubionym zajęciem było obserwowanie spod gęstych breżniewowskich brwi sufitu z wiszącymi w kątach pajęczynami. Sądzę, że znajdował na nim sens życia, odpowiedzi na wszystkie pytania. Być może w głębi sufitu, na którego powierzchni pływał podobny do pięści cień żyrandola, dziadek widział swoją przyszłość. Zdarzało się, że rozmawiał z sufitem w tajemniczej gwarze wszystkich zwariowanych dziadków świata. Czułem się wówczas jak bezsensowny obłoczek na niebie, z którego dziadek wpatrywał się w matecznik swojego istnienia. Tym niemniej kochałem swojego dziadka i szczerze cieszyłem się, kiedy doktor mówił, że dziadek będzie żył jeszcze długo, a przy dobrej opiece może mu się nawet polepszyć. Ale doktor zostawiał recepty i ślady butów obok łóżka dziadka, które nie wysychały do rana, a ja miałem wrażenie, że to śmierć przychodziła nocą, by sprawdzić, czy starzec jest już gotowy pójść za nią.

Dni mijały w sposób następujący. O dziewiątej myłem się, robiłem dziadkowi zastrzyk, zaglądałem w jego oczy z nieruchomymi powiekami i szedłem przygotować śniadanie. Dla dziadka puree, do którego czasami dodawałem pasztet dla dzieci, dla mnie kanapka. Nastawiałem czajnik, patrzyłem przez okno. Jedliśmy śniadanie, szedłem na pocztę po pieniądze, które przysyłał ojciec, albo do sklepu. Po powrocie do domu do pierwszej czytałem, potem gotowałem obiad, robiłem dziadkowi jeszcze jeden zastrzyk, karmiłem go i do wieczora oglądałem telewizję. O siódmej puree znów zmuszało mnie do pójścia do kuchni, ugotowania ostatnich pięciu – z obranych rano piętnastu – ziemniaków, otwarcia maleńkich okrągłych puszek z pasztetem (była nimi zastawiona cała szafa w przedpokoju). W końcu, walcząc ze znudzeniem, faszerowałem dziadka tą niebezpieczną mieszanką. Zdarzało się, że siedziałem z nim po kolacji jeszcze godzinę–półtorej. Wydawało mi się, że jego niemal niewidoczne usta i węzłowate, pokryte kredowobiałymi plamami ręce mówią do mnie, sygnalizują: „Zostań, posiedź”, więc siedziałem, myśląc, że przedłużam mu życie.

Do toalety dziadek chodził jednak sam. Zaczytany, zawsze przeoczałem tę tajemniczą chwilę, kiedy starzec podnosił się

z łóżka – niesamowity w paralitycznej ciszy mieszkania był nagły dźwięk szumu toalety, jakby tuzin lodowych sopli odrywał się od wysokiego gzymsu. Na ekranie otworu drzwiowego pojawiał się dziadek, robił krok i znikał. Znów zagłębiałem się w lekturę, ale już nie rozumiałem, co czytam, musiałem cofać się o kilka kartek. Przez rok naszej współegzystencji nie zdołałem przyzwyczaić się do tych nieoczekiwanych, a przecież naturalnych wypraw dziadka.

Po naszej milczącej rozmowie znowu waliłem się na kanapę w kuchni i brałem się za czytanie. Ale oczekiwanie na jutrzejsze puree, ciepło bijące spomiędzy nóg, do styku których dostępu broniła książka, przytulność kanapy, lampa ogrzewająca tył głowy, ręka, która niby przypadkiem wpełzała za pasek dżinsów, wyimaginowany dotyk pasma kobiecych włosów na skroni, identyczność wszystkich dni w roku, nie pozwalały się skupić, jasno dając do zrozumienia, że ten wieczór skończy się tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, i dwa dni temu, i… Szedłem do przedpokoju, wtulałem twarz w głuchonieme towarzystwo płaszczów i palt, których po śmierci babci nikt już nie nosił. Tylko tak mogłem zagłuszyć napady dotkliwego pragnienia, by dziadek umarł. Wtedy… wtedy będzie można wydać resztę pieniędzy na wino i mięso, warzywa i czekoladę, i jeśli nie sobą – mizernym przydatkiem do mocarnego dziadka, to chociaż tą jednorazową wystawnością zwabić do pustego mieszkania przypadkową dziewczynę i do bólu wwąchiwać się w wydychany przez nią dwutlenek węgla. Doprowadzany przez te myśli niemal do samobójstwa, wkładałem palto i szedłem w miasto.

Na co liczyłem? Na przypadkową znajomość, na to, że poprosi mnie o papierosa (zawsze miałem paczkę w kieszeni, chociaż sam nie paliłem), na rękawiczkę, która wypadnie z maleńkiej, kuszącej dłoni, na badawcze spojrzenie, na gadatliwą podróżną w niemal pustym autobusie – na wszystko, z czego mógłby zawiązać się choćby niewielki węzełek znajomości. Na smutną studentkę, na dziewczynę, która wyszła z domu po kłótni z rodzicami i teraz nie wie, gdzie spędzić noc, na żonę wygnaną przez pijanego męża, w końcu – na poszukiwaczkę przygód. Niczego szczególnego od nich nie chciałem, tylko widzieć, słuchać, czuć zapach, leżeć obok – blisko, bliziutko – na kanapie w mojej kuchni, obejmując jedną ręką gorące wygięcie pleców, którego kształtu dopatrywałem się teraz we wszyst-

kim, nawet w poręczach krzeseł. Bujający w obłokach dziadek niczego by nie zauważył. Chodziłem po oświetlonych ulicach i ciemnych zaułkach, wsiadałem do trolejbusów, które jechały nie wiadomo dokąd, wariowałem, schodziłem po schodach podobnych do klawiszy, które powtarzają w kółko ten sam motyw. *Cherche-la-femme*'iłem[1] na całego. Mogę sobie wyobrazić, jak pożądliwy i straszliwy musiał wydawać się mój wzrok, kiedy na moją twarz padało światło lampy albo wystawy. Nikt nie reagował na moją nie erekcyjną, ale wyjątkowo daleko zarzuconą wędkę. O północy zgodziłbym się na byle jaką istotę rodzaju żeńskiego, nawet na te dwie grubaski. Leżałbym pomiędzy nimi z zamkniętymi oczami i rankiem zamieniłbym się w szczęśliwy szaszłyczek. Ale podczas żadnego z tych moich dzikich wieczorów nie znalazłem w sobie dość siły, by z kimkolwiek porozmawiać. Wracałem do domu i zasypiałem.

Pewnego razu dziadek przemówił. Ostatni raz tak bardzo cieszyłem się piętnaście lat temu, gdzieś w czterdziestej minucie filmu *Powrót Sherlocka Holmesa*. Dziadek ożył. Zdarzyło się to w południe. Właśnie nalewałem herbatę do wielkiego, poobijanego kubka, gdy usłyszałem za sobą cichy głos: „Chcę ogórków. Świeżych ogórków". Odwróciłem się. Dziadek stał obok drzwi i patrzył na mnie z wyrzutem. Zaśmiałem się, objąłem go tak mocno, że niemal stracił przytomność. Jest mu lepiej, zdrowieje! Posadziłem go na kanapie i obiecałem szybko wrócić z najświeższymi ogórkami na świecie. Jedynym problemem było to, że o tej porze ogórki sprzedawano tylko w jednym sklepie, w którym trzeba było rozmawiać ze sprzedawcą. Nienawidzę takich sklepów – stworzono je jakby dla umyślnego poniżania mnie. Podobają mi się sklepy, w których można wziąć towar i w milczeniu zapłacić za niego przy kasie. Ale nie miałem wyjścia. Wzruszony zmartwychwstaniem dziadka, długo produkowałem się przed sprzedawcą, próbując wytłumaczyć mu cel mojej wizyty, póki nie straciłem cierpliwości, nie przechyliłem się przez ladę i nie trąciłem palcem w pożądane ogórki. Tego obiadu nigdy nie zapomnę. Jedliśmy puree i mizerię ze śmietaną i rozmawialiśmy, doskonale się rozumiejąc. Po obie-

[1] *Cherche la femme* (franc. szukaj kobiety) – francuskie powiedzenie zalecające poszukiwanie kobiety w celu znalezienia przyczyny wydarzenia.

dzie dziadkowi zachciało się poleżeć. Zrobiłem mu zastrzyk, pościeliłem łóżko i poszedłem na swoją kanapę.

Potem dziadek poczuł się gorzej. Biały i nagi, jak obrysowany na wyprasowanym prześcieradle kontur ludzkiego ciała, leżał i dyszał. Kilka razy próbowałem mu pomóc, ale wkrótce zrozumiałem – trzeba wezwać pogotowie. Z moim jąkaniem było to trudne, ale możliwe. Wykręciłem numer, ale jak tylko na drugim końcu podniesiono słuchawkę, już wiedziałem, że nie zdołam nic powiedzieć. Spinałem się i wytężałem, warczałem i jąkałem w to powtarzające swoje „halo" czarne sitko, ale powiedzieć niczego nie dałem rady. Próbowałem jeszcze trzy albo cztery razy, nie pamiętam dokładnie. Bez efektu. Zadzwoniłem do ojca, on zawsze właściwie zrozumiałby mój bełkot. Jego jednak, jak na złość, nie było ani w pracy, ani w domu.

W rozpaczy pobiegłem na bosaka, w samych dżinsach, do sąsiadów. Ale było jeszcze zbyt wcześnie, wszyscy byli albo w szkole, albo w pracy. Tylko w ostatnim mieszkaniu z prawej strony otworzyła drzwi zupełnie nieznajoma dziewczyna w białym szlafroku frotte. „Poszedłbyś się przespać, kolego" – powiedziała uprzejmie i trzasnęła drzwiami. Nacisnąłem dzwonek jeszcze raz i jeszcze, ale wizjer, dotąd żółty i pełen nadziei, pociemniał na tle jasnego błękitu drzwi. Zbiegłem na dół, ale na półpiętrze przypomniałem sobie, że dziadek został w domu sam, może mu się już poprawiło, a może… Pędem zawróciłem i pobiegłem z powrotem, czując, jak do bosych stóp lepi się odpadający ze ścian tynk. Kilkoma skokami dopadłem łóżka pod rozhuśtanym, stającym dęba sufitem. Ale starzec był już m-m-m-m…

zima 2001

Tłumaczyła Katarzyna Bortnowska

BIAŁORUSINI NA KRYSZTAŁOWYCH GLOBACH

1.

Młody Władca od tyłu podkradł się do Barlisa, ostrożnie podniósł laserowy miecz i nagle z góry spłynęły na nich napisy. Zaczęła się reklama. Opalone twarze uśmiechały się, szczęki poruszały się rytmicznie. Nie odwracając wzroku od telewizora, chłopiec przesunął ręką po podłodze, wymacał swoją skarpetkę, potem pistolet i poduszkę. Musiał rozejrzeć się wokół. Pilot leżał koło nogi – nic dziwnego, że nie mógł go znaleźć.

Chłopiec był w mieszkaniu sam, siedział na podłodze, oparty plecami o kanapę. Drzwi na balkon były otwarte, firanki poruszały się, przy samych prętach balkonowych krat chwiały się gałęzie w szeleszczących opakowaniach z liści. Zza betonowego ogrodzenia po tej samej stronie ulicy dobiegała pieśń – mieściła się tam jednostka wojskowa. Chłopiec przyzwyczaił się do tego, że pieśń zawsze rozlega się tuż po zakończeniu kolejnego odcinka. Tak było i tym razem. Gałęzie szumiały jednostajnie, na dole na podwórku kogoś ostrzeliwano kasztanami. Chłopiec miał trzydzieści siedem kasztanów; niektóre były schowane w biurku, inne w plecaku, i był jeszcze nienaruszony zapas w kartonie pod łóżkiem. Najlepsze kasztany trzymał w kieszeniach spodni. Kasztany to cenne przedmioty – można nimi przebierać, wkładając rękę do kieszeni. Kasztany trzeba chronić – zimą się ich nie znajdzie.

Lato, jak wiadomo, było cudownym wynalazkiem ludzkości, ale miało także jeden minus. Latem nie było świąt, chociaż takie dla dorosłych naturalnie były – wolne dni na początku lipca, kiedy tata nie szedł do pracy nawet w poniedziałek i mama tkwiła trzy dni w domu. Ale chłopiec i tak miał wakacje. Na domiar złego w te letnie niby-święta nikt nie dawał mu prezentów. To niedawno minione lato w ogóle było jak sen, jak przerwany przez budzik krótki, zimowy sen, z którego budzisz się zdziwiony – litości! przecież dopiero co zamknąłeś oczy! Zima i wiosna to zupełnie co innego. Nowy Rok, stary Nowy Rok[2],

[2] Stary Nowy Rok to Nowy Rok według kalendarza juliańskiego (starego stylu). W XX i XXI wieku obchodzony jest o północy pomiędzy 13 a 14 stycznia według kalendarza gregoriańskiego (nowego stylu; przyp. tłum.).

ósmy marca, potem urodziny, dwie Wielkanoce (dobrze się składa, że jedna babcia jest prawosławna, a druga – polskiej wiary), różne święta zmarłych, a potem – koniec szkoły, kiedy chłopiec zawsze coś dostaje. W tym roku na przykład dostał swojego Kaszkina[3], całkiem nowego. Rodzice mieli starego Kaszkina, zużytego, który krzyczał zbyt głośno i cały jakoś żółkł. A lato chłopcu się nie spodobało i nawet był zadowolony, że znów poszedł do szkoły. Przypominała mu ona foyer przed wejściem do sali świąt.

Chłopiec przełączył telewizor na inny kanał, na którym ponurzy czarno-biali ludzie katowali skrzypce. Szybko przycisnął guzik jeszcze raz. Tu właśnie skończył się program o jakichś dietetycznych wypiekach i znów puszczono reklamę, ale już nie rosyjską, tylko swoją. Na ekranie pojawił się człowiek wyglądający jak prawdziwy zabójca, w wielkim pomarańczowym krawacie w niebieskie gwiazdki.

– Uwaga! Uwaga! Uwaga! Państwowy cyrk otwiera swój kolejny, trzydziesty ósmy sezon! – wykrzyczał człowiek, machając różdżką, spod której wyskakiwały kolejno: królik, koczkodan, głowa klauna, pęk spadających gwiazdek i malusieńki żongler w cylindrze. – Rozpoczynamy najwspanialszym, najpiękniejszym przedstawieniem – człowiek przemówił ciszej, jego głos zabrzmiał chytrze i słodko. – Jeśli naprawdę lubisz cyrk, to przedstawienie jest dla ciebie. Tego jeszcze nie widziałeś…

Człowiek pogłaskał chłopca po głowie, dotknął różdżką jego ucha, nachylił się, roztaczając wokół zapach mokrego zamszu.

– ... i nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek będziesz miał okazję zobaczyć! Tylko we wrześniu niepowtarzalny program… Białorusini na kryształowych globach! – krzyknął znienacka i zniknął.

Błyszczące punkciki, które cały czas migały na ekranie, przemieniły się w oślepiające światło. Gwałtownie zbliżało się ono do chłopca. Tysiące błyszczących trójkątów wypełniających czarne sklepienie stały się nagle ogromnymi kołami, które niby wahadła zawisły w górze. Przenikliwy biały promień wyrósł z ciemności, uderzył w te koła i zlał się z nimi. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do nieustannie zmieniającego się światła, chłopiec zauważył nad kołami postacie ludzi. Ubrani w dziwne,

[3] Stworzenie wymyślone przez autora.

zielonkawe, powiewne stroje, brnęli przez rozżarzone powietrze, zanurzeni po kostki w świetle. Było to tak piękne, że chłopca zaczęły boleć oczy. Białorusini na kryształowych globach.

2.

Cudowne przedstawienie cyrkowe do wieczoru nie opuszczało myśli chłopca. Wrócili rodzice. Mama poszła do kuchni, zamykając za sobą drzwi, tata, wyciągnąwszy nogi, siadł przed telewizorem. Chłopiec długo zastanawiał się, do kogo zwrócić się ze swoją prośbą, i w końcu udał się do kuchni.

– Przecież wiesz – powiedziała mama, pociągając nosem i wycierając połą fartucha łzy, do których doprowadziła ją cebula – że z takimi pytaniami trzeba zwracać się do taty.

Chłopiec wziął ze stołu parzący ręce placek i ruszył do pokoju.

– Cyrk to fajna sprawa – powiedział tata, gładząc swój brzuch. – Słonie, boa dusiciele! Tylko klaunów nie lubię. Za naszych czasów to byli klauni! Pamiętam jak dziś, Ponczyk i Chamberlain.

Chłopiec powiedział ojcu, że wcale nie chodzi o słonie czy klaunów. Próbował wytłumaczyć, jak piękni są Białorusini na kryształowych globach, ale zaplątał się i wkrótce zauważył: tata tylko udaje, że słucha, a tak naprawdę ogląda serial o milicji. Chłopiec też lubił ten serial. Lubił kłaść się na kanapie, gładzić się po brzuchu jak tata i z zachwytem obserwować, jak weseli kumple zabijają złych biznesmenów. Właściwie to lubił go do dziś, kiedy odczuł, że przygody milicjantów to bajka dla dzieci w porównaniu z Białorusinami na kryształowych globach.

Na szczęście rozpoczęła się przerwa reklamowa i pierwszy spot był właśnie o cudownym programie cyrkowym.

– Zobacz, zobacz, to o tym mówiłem! – powiedział wzruszony chłopiec.

Tata niechętnie zaczął słuchać. Reklama się skończyła. Chłopiec pełen nadziei wpatrywał się w twarz taty.

– No co, spodobało ci się? Przecież ci mówiłem! Pójdziemy?

Tata nagle spoważniał. Posadził sobie chłopca na kolanach i chłopiec wiedział, że zaraz stanie się coś bardzo ważnego.

– Posłuchaj – powiedział tata powoli, a potem popatrzył

uważnie gdzieś nad głową chłopca – jesteś już dorosły, wkrótce będziesz mężczyzną, będziesz miał swoją rodzinę i będziesz rozporządzać pieniędzmi… rodzinnym budżetem. Widziałeś liczby w dole kranu? Te maleńkie cyferki? To ceny biletów. Wiesz, bilety są strasznie drogie. Dostałeś od nas przecież Kaszkina, a wiesz, że twój tata musiał pracować pół roku, żeby go kupić?

Te słowa zapachniały czymś bardzo dorosłym, jak lekarstwa babci. Chłopiec nie zauważył, kiedy w jego oczach pojawiły się łzy. Pobiegł do swojego pokoju, zamknął drzwi, rzucił się na łóżko i pozwolił łzom płynąć. A potem długo, do krwi, walił pięścią w swojego Kaszkina.

3.

Jednak następnego ranka, gdy wyszedł ze swojego pokoju, żeby się umyć i zjeść śniadanie przed pójściem do szkoły, tata, który zakładał przy drzwiach kurtkę, zatrzymał go, wziął za ramiona i uroczyście przemówił:

– Wiesz, pomyśleliśmy z mamą…

Nie musiał kończyć. Chłopiec zaczął skakać po przedpokoju, odśpiewał piosenkę z kreskówki o Barlisie i Foranie, a mama uśmiechnęła się, widząc, jak w jego majtkach podskakuje całkiem już dojrzały pączek. W szkole chłopiec dostał aż dwie oceny u pani Elizy Ciszkowej – piątkę za odpowiedź przy tablicy i dwójkę z zachowania. A poza tym – czwórkę u Dwusiecznicy Przyprostokątnej i jeszcze piątkę u Magneziusa Formaldehydowicza. Wracał do domu, nie garbiąc się i nawet sprzątnął w swoim pokoju – odkurzył dywan i wyrzucił kasztany.

4.

W niedzielę cała rodzina wstała rano. Nie było jeszcze dziewiątej, kiedy mama, w staniku i koszulce, wyjęła z szafy śliczną czerwono-zieloną sukienkę, a tata rozłożył na kanapie swój wyświechtany, ale jeszcze dobrze wyglądający garnitur i zaczął oglądać go z zakłopotaniem. Dzień minął w nieznośnym oczekiwaniu. O godzinie piątej wszyscy wystrojeni i podekscytowani wyszli z domu. Chłopiec musiał wrócić, bo mama nie pamiętała, czy wyłączyła żelazko. Oczywiście zrobiła to, ale chłopiec, wychodząc z mieszkania, przyciął sobie drzwiami palec. Nawet

nie poczuł bólu. Nic dziwnego, wszystkie jego uczucia zagłuszała przecież myśl o nadchodzącym widowisku.

W pobliżu cyrku było dużo ludzi, do kas ustawiły się ogromne kolejki, ale oni nie musieli się martwić, że zabraknie dla nich biletów, bo tata kupił je już w środę. Cała ulica przy cyrku była zastawiona różnymi samochodami. Z nich, kołysząc ramionami, gramolili się inni chłopcy, wszyscy obwieszeni złotem, wymuskani i dobrze odżywieni. Z pogardą patrzyli na dzieci robotników i szli w kierunku namiotu, kiwając z pańska do tłumu, podczas gdy ich ojcowie, wyszczerzając nienaturalnie białe zęby, jak małpy mizdrzyli się do telefonów komórkowych: „Ale właśnie prowadzę małego do cyrku…”. Chuderlawe dziewczynki kuliły odkryte ramiona, jakby im było zimno, chociaż był bardzo ciepły wrześniowy wieczór. Jakieś dziecko trzymające za rękę potężnego, łysego ojca strzeliło do chłopca z pistoletu. Chłopiec przeciął je laserowym mieczem i pobiegł za rodzicami.

Foyer wypełniał falujący tłum.

– Nie ma sensu kupować lodów – powiedziała wystraszona mama, rozglądając się na boki. Zachmurzone damy z pogardą spoglądały na jej czerwono-zieloną kreację i znikały w sali. „Według mnie bardzo jej w tej sukience ładnie” – pomyślał chłopiec.

Gdy zajęli swoje miejsca, dotarł do nich zapach mokrego zamszu. Był przyjemny i poruszający, i chłopczyk chciał, żeby nigdy nie wywietrzał. Powąchał nawet rękaw swojego swetra. Zapach był wszechogarniający.

W końcu zgasło światło, zarżała jak stający dęba koń muzyka. Ten sam człowiek, którego chłopiec widział w telewizyjnej reklamie, wyszedł na arenę i zapowiedział pierwszy numer. Były to tańczące psy. Wokoło dzieci z zachwytem lizały lody, które kapały im na rozporki i pantofle. Dziewczynki miały wyniosłe miny, często, jakby mrugając, podnosiły do długich rzęs binokle. „Natasze Rostowe” – nie wiedzieć czemu pomyślał chłopiec.

Psy ustąpiły miejsca małpom, potem byli smutni żonglerzy, od których migało w oczach. Po żonglerach na arenę wyszedł magik, który zmienił jajko w kurę, szydło – w mydło, a czarne – w białe. Chłopiec niecierpliwie czekał na epokowe wydarzenie. Jednak po magiku wystąpili akrobaci, którzy huśtając się

na długich linach, napadli na dzieci z przeciwnego sektora. „Kiedy wreszcie będą Białorusini?" – gryzł paznokcie chłopiec. Ale miejsce akrobatów zajęli dwaj klauni, którzy wszystkich po prostu zmęczyli. Na początku powyciągali dzieci z dolnych rzędów, ustawili je w szeregu na arenie i klepali po kolei po pupach, a potem długo i nie śmiesznie żartowali o cmokaniu, ciamkaniu i ciupcianiu. Nawet w ciemności chłopiec zauważył, że mama zarumieniła się i spojrzała na niego nieśmiałym, przepraszającym wzrokiem. Klauni wyszli i w sali zapaliło się światło.

– A gdzie są Białorusini? – rozczarowany chłopiec omal się nie rozpłakał.

– Antrakt – wycedził przez zęby jego sąsiad, posiekany laserowym mieczem.

Minęła więc godzina, chłopca zaczynała już od siedzenia boleć pupa, a epokowego widowiska nie było. W czasie przerwy siedzieli na swoich miejscach, sądząc, że jeśli wyjdą do przepełnionego foyer, na pewno się zgubią. Dzwoniły telefony, głośno śmiały się błyszczące niczym świąteczne choinki kobiety. Minął wiek, zanim znów zgasło światło.

Wszystko było tak jak w reklamie, tylko milion razy cudowniej. Białorusini niczym przybysze z innej planety szli po skrzącej się, srebrzystej drodze, która znikała w kosmosie. Jakby jakiś bardzo bogaty wujek kupił Drogę Mleczną i wypuścił na nią te tęskniące za wolnością zwierzątka. Ich gracja oczarowywała. Miało się niesamowite i niewyraźne uczucie, że za chwilę wszechświat zwali się na głowę. „Tych to dopiero trzeba było wytresować" – głośno odezwał się ktoś za plecami chłopca. W zupełnej ciszy Białorusini poruszali się w powietrzu jak miraże, pojawiając się i znów znikając. Jakaś dziewczynka krzyknęła z zachwytu. Światło miękko otulało ściany cyrku i rozstępowało się przed jasną drogą, która wiodła w niezbadane kosmiczne dale. Białorusini szli, powoli obracając łapami błyszczące globy, ale nie odczuwało się w tym żadnego wysiłku. I wtedy, na samym szczycie fali zachwytu, która ogarnęła cyrk, nagle i w bardzo odpowiednim momencie rozległa się cicha muzyka. Takiej muzyki chłopiec nigdy nie słyszał. Od tego nieporównywalnego z niczym widowiska i płynnych, nie wesołych i nie smutnych dźwięków, chciało się płakać lub kochać. Mamę, ojczyznę, babcię, Dwusiecznicę Przyprostokątną, tatę, dziewczynkę, która siedziała w dolnym rzędzie z otwartymi ustami

i nie zauważała lodów kapiących jej na sukienkę. Jakież to było baśniowe!

Muzyka ucichła, Białorusini zamarli i lekko jak baloniki opuścili się na arenę. Zapalono światło, wyszedł pan w czerni i wyprowadził Białorusinów za kulisy, brutalnie szarpiąc ich za smycze. Na sali rozległ się aplauz. Kogoś oblano ginem z tonikiem, przywracając mu przytomność. Korzystając z okazji, że mama i tata wciąż patrzyli w dół, chłopiec cichutko zsunął się z krzesła i pobiegł – między nogami-nogami-nogami – tam, gdzie jeszcze falowała kurtyna. Zwinnie przemknął obok człowieka w pomarańczowym krawacie i dogonił pana w czerni, który prowadził Białorusinów do klatek. Byli cali mokrzy i z bliska nie wyglądali tak pięknie, ale to nic, taką mają pracę. Chłopczyk podszedł do nich.

– Można pogłaskać? – zapytał, drżąc z niecierpliwości.

– Jak się tu dostałeś? – warknął pan.

Ale tak naprawdę był dobrym i wrażliwym człowiekiem, który lubił nie tylko zwierzęta, ale i dzieci. Chłopcu pozwolono nawet nakarmić Białorusinów przez pręty klatki.

listopad 2001

Tłumaczyła Katarzyna Bortnowska

DWA TYSIĄCE SŁÓW NA TEMAT ZAWALUCHINA

Siedzi nieprzyjemnie blisko, bez przerwy mówi i cały czas się kiwa – tak energicznie, że chwieje się pod nami ławeczka. Siedzę obok i z pokorą znoszę tę chorobę morską. Najbardziej przykre jest jednak to, że chybotanie ławeczki zmusza mnie do jednostajnego kiwania głową i z boku wygląda to tak, jakbym zgadzał się z jego paplaniem. A tak naprawdę nawet sparaliżowany i niemy Zawaluchin wywołałby mój gorący sprzeciw.

Kiwanie się Zawaluchina ma taki sam charakter jak bębnienie palcami po stole, obgryzanie paznokci, strzelanie kośćmi albo mlaskanie w rytm znanych piosenek (zdarza się, że jakiś znajomy, wydawałoby się – sympatyczny człowiek, podczas wesołej rozmowy puści nagle w ruch swoje prawe kolano; jakże chciałoby się w takich sytuacjach po hollywoodzku zatrzymać życie jak rozpędzonego forda mustanga i zwymiotować przez okienko). Jego kiwanie się to najbardziej brutalna wersja takich dewiacji. Sam Zawaluchin naturalnie nie zdaje sobie sprawy, co dzieje się z jego ciałem podczas kiwania… a może mu się wydaje, że jego tors, który obejmują pod żebrami bezwłose ręce z krótkimi palcami, wdzięcznie i ledwo zauważalnie porusza się w takt nastrojowej muzyki – ale nie. Zawaluchin po prostu siedzi, tępo kiwa się w przód i w tył, a do tego jeszcze gada. Nie wiem dlaczego, ale większą sympatię wywołuje we mnie człowiek, który pije aceton niż zjadacz własnych palców, prędzej objąłbym zabójcę niż tego, który ma w zwyczaju stukać knykciami na przykład o szkło. To na pewno nerwowe. U nich. I u mnie.

Zawaluchinowi oczywiście niczego podobnego nigdy nie powiedziałem. Jesteśmy, jak się wydaje, przyjaciółmi. Przynajmniej on tak myśli. Cóż, ja niedawno w końcu zrozumiałem znaczenie tego słowa. Przyjaźń to kukułcze pisklę kolektywizmu. A według Zawaluchina, o ile dobrze rozumiem, przyjaźń to wódka, pierogi, a potem wylewna rozmowa, która musi składać się z jego pijanych bredni i mojego pełnego współczucia milczenia. Strzeż mnie, Boże, przed takimi przyjaciółmi i taką przyjaźnią.

Tak czy owak, opowiem o nim.

Na przykład Zawaluchin i kobiety. Rzecz w tym, że mój przyjaciel ma opinię wielkiego żartownisia. Nie pamiętam już, kiedy to się zaczęło, ale cokolwiek Zawaluchin powie, my zawsze odbieramy to jako coś śmiesznego i dowcipnego. Jemu się oczywiście takie podejście podoba – któż z nas nie marzył o życiowej roli duszy towarzystwa? My jednak wzdychamy i odchodzimy na bok, do swoich strachów, łez i rozczarowań, w objęcia swojej znienawidzonej i przez to tym milszej słabości. A Zawaluchin od dawna nie ma takiego prawa. On musi żartować. Jest przekonany, że wszyscy wokoło tylko czekają na jego udany dowcip. Sądzę, że ten człowiek ani razu nie dopuścił do siebie zwątpienia w błyskotliwość własnego humoru. Jednak los etatowego żartownisia zaczyna ciążyć Zawaluchinowi. Chce mu się płakać. Tyle tylko, że tego wesołkom zabroniono. Wieczorem na klatce schodowej, gdy Zawaluchin trwożliwie wędzi w papierosowym dymie swoje rechoczące serce, z zaskoczeniem łapie się na tym, że się boi – boi się, że rezygnując z posady dowcipnisia, stanie się dla nas niczym. Dowcipnisiom, niezależnie od tego, jak płytkie i niewybredne są ich dowcipy, dobrze płacą. Zapraszają ich w gości, częstują wódką, kobiety przysuwają się do nich i jeśli miałeś szczęście, że dowcipniś nie wybrał cię na dzisiejszą ofiarę swoich kpin, aż do pożegnania na przystanku też będziesz szczerzyć zęby w bolesnym uśmiechu, jakby na twojej twarzy zasechł klej, i poklepywać oplutego i wykpionego nieudacznika po plecach. A etatowy humorysta pójdzie odprowadzić do domu rudowłosy chichot z maleńkimi piersiami. Odczujesz ulgę, bo będziesz mógł wypluć miniony wieczór do kuchennego zlewu, a Zawaluchin będzie musiał jeszcze przez godzinę bez przerwy żartować, żartować, żartować: w zimnym tramwaju, na skraju miasta, z czerwonymi uszami, bez papierosów, w ciemnej bramie, w ciasnocie przedsionka, bo dla kogo będzie interesujący pochmurny i milczący Zawaluchin, martwy Zawaluchin, nie milcz, Zawaluchin, żartuj, a wtedy pozwolą ci się poprzytulać. No, idę już, Zawaluchin. Zadzwoń do mnie, Zawaluchin. I tylko gdzieś na dole, skąd dochodzi wyraźne beczenie, można przestać żartować – trzeba będzie biec.

Wiadomo, że jak tylko Zawaluchin trafia na orbitę kobiecego świata, od razu zaczyna ironizować i rzucać te swoje ostre pointy. On sobie po prostu nie wyobraża, jak inaczej można

rozmawiać z kobietami. Wie, że jest przystojny. Czarujący mężczyzna. Spoglądam na niego spod wpółopuszczonych powiek. Dobrze mi, bo nikt mnie tu nie zauważa. Chwilę wcześniej rzucono do mnie: „Lepiej bądź towarem, to ludzie będą się do ciebie pchać" – i to właściwie wszystko, co inni goście mieli mi do powiedzenia dziś wieczorem. A ja nie chcę być „lepiej", bo nic nie jest łatwe, wszystko jest złe, skomplikowane i tragiczne. Spoglądam na swojego przyjaciela, to ja go tu przyprowadziłem. Siedzi między trzema kobietami i żartuje. Aż skrzy się żartami. Wybucha dowcipami jak swawolny fajerwerk, ostrożnie pogrywa sobie z niewybrednymi komentarzami i prawi ryzykowne komplementy. Jest duszą towarzystwa. Dobrze się czuje, jest z siebie dumny. I nagle zauważam, że przez śmiech kobiet przewija się niewiarygodne znużenie, że ich usta z trudnością zamieniają w uśmiechy piękne, szerokie ziewanie. W gruncie rzeczy one nie są idiotkami, te pięknie i głupkowato wyglądające kobietki rozumieją, że żarciki Zawaluchina nie są warte nawet cienia uśmiechu, wiedzą, że jego wypowiedziane przed sekundą słowa kosztują mniej niż mętna woda, która znika w odpływie wanny – ale są kobietami i muszą, zgodnie z tysiącletnimi prawami, śmiać się z męskich dowcipów, a Zawaluchin, zgodnie z tymi samymi regulacjami i dekretami, musi żartować, dowcipkować, kpić. Widzę, że tak naprawdę kobiety chciałyby usiąść z nami na podłodze i zrzuciwszy wszystkie te gipsowe maski, porozmawiać jak z przyjaciółmi, po prostu szczerze porozmawiać – ale nigdy się na to nie zdobędą, więc spuszczają wzrok i czerwienieją w napięciu, a Zawaluchin terkocze jak kipiący czajnik. Między nimi niczym ściana stoją seksualność i etatowa żartobliwość Zawaluchina.

W drodze do domu popełniam błąd i opowiadam mu o tym wszystkim. Zawaluchin obrzydliwie pstryka palcami w swój policzek i żartuje. Przypominam sobie, jak patrzyli na niego mężczyźni. Z zazdrością. Jednak do domu wracamy razem. Nie to towarzystwo. Trochę mądrzejsze niż zazwyczaj. Szkoda mi kobiet, a z Zawaluchinem staram się jak najszybciej pożegnać. Nawiasem mówiąc, wiem, że jest prawiczkiem, a na prawiczków jestem uczulony. Rozumiem, że to głupie, ale kiedy mam pewność, że mężczyzna jest cnotliwy, brzydzę się nawet podać mu rękę – wydaje mi się, że zbliżając się do niego, zbliżam się jednocześnie do tych jego organów.

Krótko mówiąc, to jeden z najbardziej ponurych widoków na świecie – żartowniś, który jest zmuszony do żartowania.

Zawaluchin lubi mówić o tym, że jest moim najlepszym kumplem. To, że się za niego uważa, pozwala mu na wpraszanie się do nas o drugiej w nocy i spanie w kuchni, gdzie zatruwa nasze pachnące drzewem sandałowym powietrze swoimi alkoholowymi wyziewami. Następnego dnia wstaje o świcie, idzie do sklepu i uroczyście przynosi butelkę wódki, takiej słodkiej, dla skacowanych, powodującej u mnie od razu po przebudzeniu odruch wymiotny. Zawaluchin zmusza mnie do wypicia i kiedy go karmimy, opowiada nam zdarzenia z wczorajszego kabaretu studenckiego[4]. To jeszcze jedna rzecz, której wspomnienie może odebrać mi apetyt na życie. Naprawdę nie rozumiem, co może być zabawnego w obserwowaniu setek Zawaluchinów, którzy miotają się w paroksyzmach własnego dowcipu, a do tego jeszcze śpiewają, Bóg wie po co, jakieś przeinaczone piosenki i – co jest szczytem szaleństwa – sala wypełnia się śmiechem, a scena drży: pieniądze nie poszły na marne! Zawaluchin jest w swoim żywiole. Ja jednak grzecznie się śmieję. Moja żona, ledwie się powstrzymując, wychodzi do pokoju. Wiem, że wytrzymuje to tylko ze względu na mnie, a nasz miły przyjaciel żąda gitary.

To jeszcze jedna pasja Zawaluchina. Kocha muzykę. Uwielbia rzewną, patetyczną, pseudorockową twórczość z czasów sowieckich, ale nie to jest najgorsze. Zawaluchin sam pisze piosenki i śpiewa je z własnym akompaniamentem. Uderza w struny i nasza gitara nie ma wyjścia, zaczyna brzdąkać – ona wie aż za dobrze, co to znaczy trafić w uzdolnione ręce Zawaluchina. Jego prawa dłoń kurczowo szarpie struny, a lewa wczepiła się w gryf jak w moje gardło. Pięknie fałszując, Zawaluchin jęczy coś pseudoromantycznego, chociaż mnie się wydaje, że to piosenka o inceście. Melodia zgodna z wyobrażeniami Zawaluchina to taka, w której głos bez ustanku podąża za uderzeniami palców w struny niczym w groźnym konwoju, w związku z czym piosenki Zawaluchina to arcynudne recytatywy o miłości, wykonywane kozim głosem i z pijacką łzą

[4] Specyficzna impreza studencka, polegająca na współzawodnictwie w dowcipach i piosenkach między dwiema drużynami, mająca swoje korzenie w radzieckiej telewizji lat 60. XX w.

w chytrym kąciku prawego oka – tragedia! Siedzę obok i spoglądam na wódkę już bez jakiegokolwiek wstrętu, jak na ratunek. Zawaluchin zawodzi nową, tym razem nie swoją piosenkę, choć szczerze mówiąc, każda, którą wykonuje, brzmi tak, jakby napisał ją mój wierny przyjaciel. W oczach Zawaluchina dostrzegam, że aż go korci, bym dołączył do niego w refrenie. Wlewam w siebie wódkę i rześko próbuję naśladować ten kozi głos: „W pokoju z białą powałą!...", jednak, prawdę mówiąc, mój prawdziwy głos wcale nie jest kozi, raczej niedźwiedzi, a niedźwiedziom, jak wiadomo ze słowiańskiego folkloru, na uszy nadepnął kiedyś prehistoryczny słoń. Z tego, z jakim trzaskiem żona zamyka drzwi, wnioskuję o sukcesie naszego duetu. Kotka chowa się do szafy, jak najdalej od modulacji Zawaluchina. Zawaluchin prosi o kostkę do gitary. Boże, dlaczego ja to znoszę? Weź, weź ostrą brzytwę, Zawaluchin, i zrób sobie lifting! Przede mną nowy problem. Mój kumpel Zawaluchin chce wiedzieć, którą z jego piosenek lubię najbardziej. Z bólem robię w pamięci przegląd wszystkich jego genialnych dzieł i w końcu podaję tytuł jakiegoś najkrótszego. Zawaluchin oczywiście śpiewa swojemu najlepszemu przyjacielowi jego ulubioną piosenkę. Bardzo nam wesoło, bardzo.

Zawaluchin uważa siebie za nadzwyczaj utalentowanego. Kiedyś wyznał mi, że jego talent kompozytorski jest bez wątpienia większy od jego talentu poetyckiego. Cóż, możliwe. Kiedy myślę o tych dwóch podstawowych talentach, bo Zawaluchin naturalnie ma jeszcze inne niezliczone zdolności, które *po prostu nie rzucają się tak bardzo w oczy*, więc kiedy myślę o tych dwóch podstawowych talentach Zawaluchina, jakoś dziwnie przychodzą mi na myśl syjamskie bliźnięta. Będąc, szczerze mówiąc, kompletnym beztalenciem, Zawaluchin nie chce do niczego dojść także poprzez naukę. Co więcej, o strasznych lukach w budynku swojej osoby mówi jak o mądrze wykonanych oknach. Jest pewien swojego intelektu. Marzy o tym, by wydać tomik swoich wierszy, choć dotąd jest święcie przekonany, że „domino" rymuje się z „kimono" (Zawaluchin wyznaje pogląd, że rym jest wtedy, „kiedy dwa słowa kończą się na tę samą literę"). Na domiar złego Zawaluchin uważa, że wszystko, co się nie rymuje, jest prozą. Prozę Zawaluchin też pisze, ale rozmawiać o tym już nie mam siły. Po przeczytaniu książki o Suworowie zaczął uważać się za znawcę historii i co jakiś czas wcią-

ga mnie w naukowe dysputy – nie trzeba chyba nadmieniać, że zawsze je przegrywam.

Co więcej, mój przyjaciel jest po prostu patologicznie niezdolny do nauki języków obcych. To fakt naprawdę niezaprzeczalny. Zapamiętanie dziesięciu niemieckich czasowników to zadanie przewyższające jego siły. Samo w sobie nie jest to straszne, większość troglodytów nie jest poliglotami, ale do szału doprowadza mnie to, że Zawaluchin mówi o tej ułomności jak o interesującej właściwości swojej twórczej natury, czymś na kształt rodzynka własnej psychiki. Myślę, że to istotna wada, ale, Boże! – według jego słów to „zabawne". Doprowadza mnie to do szału, do cichego szału, drodzy państwo, niemego szału, bo nigdy nic na ten temat Zawaluchinowi nie powiedziałem.

Zawaluchin ma niezliczoną ilość rynsztokowych przyzwyczajeń. Obrzydliwych, sowieckich przyzwyczajeń, według mojej oceny antropomorficznych, bo każde z nich przypomina tłustą babę z bazaru, która może i z Paryża w jeden dzień zrobić kołchoz. Zawaluchin nie rozumie, co złego jest w śmierdzących spelunach, kibicach piłkarskich, obozach pionierskich, rosyjskich okupantach, paleniu niedopałków, sentymentalnych balladach, studenckim kabarecie, antysemickich książkach, bluzganiu, tapetach w kwiatki, bulwarowej prasie, wymyślaniu dowcipów; nie rozumie, co to jest takt, higiena, wolność, samotność, literatura, gust, rodzina, seks, godność, milczenie. Mimo to łatwo mu się żyje na świecie. A mnie bardzo źle, a z nim jeszcze gorzej: czuję, że na moim ciele wyrósł wielki wrzód o nazwie Zawaluchin i nie wiem, jak go usunąć. Pewnie nie mam poczucia humoru. Ale kiedy sobie przypomnę, jak wierny jest mój przyjaciel Zawaluchin, ogarnia mnie rozpacz.

Bardzo możliwe, że sami jesteśmy winni temu, że on jest tak przekonany o swojej wyjątkowości, bo nigdy nie odważyliśmy się powiedzieć mu prawdy. Było nam go żal, nawet wtedy, gdy nie dawał nam ku temu okazji. Zamienialiśmy sprawiedliwość na przyjaźń. I Zawaluchin żywił się naszym milczeniem, naszymi fałszywymi uśmiechami, chwaleniem jego każdego wybryku. A dziś jest już za późno, by go zmienić – każdą krytykę przyjmuje jako przejaw zazdrości. Powiem więcej: tak naprawdę mój przyjaciel był taki od początku, bo takie właśnie były całe pokolenia Zawaluchinów, pokolenia chamów i pasożytów. A przez ostatnie pięć lat jedynym, co nas jednoczyło, była wód-

ka. Nasze drogi muszą się rozejść, chociażby miała nam w tym dopomóc interwencja chirurgiczna. Uważam, że jeśli posadziłoby się w jednej celi więziennej człowieka utalentowanego i Zawaluchina, to przygotowując ucieczkę nawet podziemne tunele kopaliby w różnych miejscach.

Teraz Zawaluchinowi źle się wiedzie. Jego życie rozpada się i mogę z rozkoszą obserwować, jak degeneruje się w oczach. Czas najwyższy podjąć decyzję. Zawsze na mnie pasożytował, więc dlaczego pozbawiać człowieka prawa do brania na siebie za to odpowiedzialności? Patrzę prosto przed siebie i się uśmiecham. W pewnej chwili Zawaluchin odwraca się do mnie i warczy coś ze złością.

– Co? – pytam całkiem obojętnie, odczekując chwilę. – Mówiłeś coś, czy mi się wydawało?

Klnie, a ja wstaję i idę przed siebie, nie odwracając się. Żegnaj, Zawaluchin! Żegnaj na zawsze. Zasłużyłeś na swoje dwa tysiące słów.

Tłumaczyła Katarzyna Bortnowska

CIEPŁO – ZIMNO

Jim Higgins wychylił whisky, obojętnie spojrzał na swoją śpiąca jeszcze, waleczną przyjaciółkę i schował papierosy do kieszeni skórzanej kurtki. W świetle dziennym przyjaciółka nie wydawała się już tą samą olśniewającą blondynką z wczorajszego wieczoru. Ot, po prostu goła, zużyta laleczka, Jim nawet nie bardzo pamiętał, w którym barze ją poznał. Butelkę po jabłkowym drinku wyrzucił przez okno, a świerszczyk schował pod poduszkę – jak się okazało w dobrym momencie, bo chwilę potem do pokoju zajrzała matka, przytrzymując ręką szlafrok na piersiach, i oczywiście zaczęła swoje:

– Znowu paliłeś przy lufciku! Dzima, ile razy ci mówiłam? Przecież widzę popiół na parapecie! Jak tak można? Obrzydlistwo, śmierdzi w całym mieszkaniu. I wyłącz wreszcie to rzępolenie, bo cały dom obudzisz.

– A niby skąd wiesz, że to obrzydlistwo, skoro nigdy nie paliłaś? – ponuro warknął Jim, naciągając dżinsy. – Zamiast przynudzać, lepiej byś choć raz spróbowała.

Matka pokiwała głową, zawołała ojca i poszła robić śniadanie. „Powiedz mu, że dłużej tego nie wytrzymam!" Ojciec mruknął coś w odpowiedzi i schował się w toalecie.

„Długo będziesz?" – Jim niechętnie udał się do łazienki, dla zabicia czasu postał chwilę ze szczoteczką w gębie, po czym poszedł do kuchni, ale ojca jeszcze tam nie było.

– Kiedy ty wreszcie oprzytomniejesz? Rodziców masz tylko jednych – rzuciła już spokojniejszym tonem matka, przewracając na patelni kiełbasę. Z radioodbiornika sączył się marsz pogrzebowy.

– Toaletę też mamy jedną – odbił piłeczkę Jim i zajrzał do lodówki.

– No to jak, jedziemy? – ojciec zdmuchnął okruchy ze stołu.

– Niby dokąd? – podejrzliwie spytał Jim, odsuwając od siebie kubek z herbatą.

Nagle go oświeciło i od razu poprawił mu się humor, poszedł nawet z ojcem na parking.

Przed ostatnią klatką schodową siedziało na ławce trzech durniów z zespołu, z którymi Jim miał zamiar nagrać płytę; najwyraźniej nie mieli co robić. Jim machnął w ich stronę niedbale, wyobrażając sobie, jak przyjdzie na poniedziałkową próbę

w nowych, czarnych jak smoła butach z czubem... Jak jeszcze dziś będzie w nich dumnie przechadzać się po prospekcie... Jeden z durniów, któremu rodzice kupili niedawno gitarę basową, nazwał te buty jakoś tak sprytnie – pili wtedy piwo w centrum miasta, a obok nich leniwym krokiem świętej krowy przedefilował Sam, palce i uszy w pierścionkach, rozwiana grzywa, skóra obwieszona podzwaniającym żelastwem, a na krzywych, muskularnych nogach napięty czarny aksamit. Obok niego prawdziwa Cathy Vampire na niebotycznych obcasach. Okupantusy, tak właśnie je nazwał, sznurowane okupantusy z metalowymi nosami, na których tańczą zabójcze promienie, wysokie, potężne niczym dwaj czarni jeźdźcy, nie mniej niż dziesięć kilo każdy, zabić by takim można, na platformach jak opony dżipa. Buty stworzone dla niego. Gdyby tylko udało się je zdobyć – trudne, ale nie niemożliwe.

I wtedy na prospekcie, z Aleksandrą, w rozchełstanej kurtce, spod której wytarta flanelowa koszula pokazywała światu środkowy palec. I na lekcjach byłoby nieźle niby przypadkiem wysunąć spod ławki nogi w okupantusach, niechby ich spojrzenia potykały się o nie, co oni o mnie tak naprawdę wiedzą.

Zabrali z przystanku matkę i po odstaniu swego w korku wypełzli na obwodnicę. Jechali na jeden z tych podmiejskich bazarów podobnych do hangarów dla rakiet, gdzie można było dostać co tylko dusza zapragnie, jeśli oczywiście dusza pragnie wszystkiego co tanie i tuzinkowe. Jechali do jednego z bazarowych miast, gdzie nie ma wiz, gdzie za kurtyną z modnych szmatek rozgrywają się komedie i dramaty, gdzie w namiotach za chwiejnymi straganami można przeżyć całe życie, nawet tego nie zauważywszy, przy czym dotyczy to zarówno sprzedawcy, jak i klienta; gdzie są dzielnice czerwonych latarni, w których za darmo można popatrzeć, jak mierzy stanik bezwstydna studentka uczelni pedagogicznej albo bogata matrona. Do jednego z pstrokatych, wolnych miast z wietnamskimi i azerbejdżańskimi knajpami, które nadają niepowtarzalny, specyficzny wschodni koloryt, miast o osobliwej topografii, w których obowiązuje tylko jedno prawo – prawo rynku, wobec którego wszyscy są absolutnie równi, któremu podporządkowują się nawet żebracy; do miast–republik, w których kończy się strefa rubla, gdzie można bez problemów zaciągnąć się do armii albo zostać piratem, dokąd ciągną bezdomne psy i ko-

ty z całej okolicy. Do jednego z miast, gdzie zawsze panuje lato i które niechętnie płacą daninę metropolii. Do miast, w których nawet najmniejsza rzecz nie pójdzie na zmarnowanie, sądy są rychliwe i ostateczne, noc nigdy nie zapada; do pstrokatych wysp, do których choć raz w życiu wypada dotrzeć.

Rodzice Jima byli w swoim żywiole – w każdym razie nie przeszkadzał im tłum, który bez opamiętania leciał im na spotkanie, widząc tylko to, co chciał widzieć, i słysząc tylko siebie. Pochylając głowy, ale i tak czując, jak po karku i plecach obmacują ich ślepymi łapami sukienki i koszule, dotarli wreszcie do części obuwniczej. Sprzedawcy w pośpiechu pochłaniali śniadanie z plastikowych talerzy, z pełnymi gębami podając ceny towarów, turlał dokądś swój kamień smagły Syzyf, od czasu do czasu wykrzykując wesoło „Osztrożno!”. Budki były szare od kurzu; tu i ówdzie leżał szarymi plamami nie do końca roztopiony śnieg, jak to bywa na terenach podmiejskich; puste miejsca trafiały się z rzadka, ale i one były zajęte przez krzesła niepewnie stojące jedne na drugich. Pachniało skórą, farbą, czeburekami[5] i – nie wiedzieć czemu – siarką. Na jednym ze straganów stały bezpańskie, przerażająco żałosne pantofle bez pary, dwa dziesiątki. Damskie dzięki swej różnorodności przedstawiały nieco weselszy widok. Jim przebiegł za rodzicami jeszcze dwie uliczki, ogrzewając dłonie w rękawach. Kwadratowy człowiek wyciągał z ogromnego pudła powrzucane jak popadnie buty i nie było w tej masie ni początku, ni końca.

– O – ucieszyła się matka – spójrz, jakie ładne.

Jim z nienawiścią pokręcił głową.

– Przydałyby się brązowe – matka rozejrzała się z żalem. – I najlepiej na zamek. Buty na zamek są najpraktyczniejsze. Pochodzisz w nich do lata.

Skręcili za róg uliczki Obuwniczej.

– Tu na pewno znajdziemy coś odpowiedniego – piskliwym głosem zawołała matka, łapiąc syna za rękę w zachwycie. Jim skrzywił się i od razu cofnął dłoń, jednak stało się – ręka została zhańbiona. Zdążył zauważyć, z jaką pogardą i wyższością spojrzała na niego młoda, może tylko o kilka lat starsza sprzedawczyni, a matka już ciągnęła go w jej stronę, w bordowy półmrok, choć przecież się wyrywał, i ta sprzedawczyni zwróciła

[5] Czeburek – tatarski placek-pieróg z mięsem.

się do niego, po macierzyńsku intonując słowa, a Gruzin z namiotu obok pomachał mu ręką, w nadziei na zrobienie interesu. I nie wiadomo już, co było bardziej haniebne; Gruzin, jak zresztą cała reszta tych tępo rechoczących kramarzy, sprzedawał obuwie dla przyszłych ojców i matek, młodych karierowiczów, nadziei sportu, bywalców dyskotek i podyskotekowych krzaków, dla zdziecinniałych dorosłych i dojrzałych podlotków. Na próżno Jim usiłował dostrzec w wystawionych tu wysokich butach choć aluzję do okupantusów, na próżno starał się zachować pozory obojętności – cała długachna ulica wypełniona leniwymi czy też nadgorliwymi sprzedawcami zwróciła na Jima uwagę i sprytnym okiem oceniając zdolność płatniczą rodziców, zaglądała mu prześmiewczo w twarz: no, koleżko, wybierz coś wreszcie, nie zasmucaj taty i mamy. Jim zatrzymał się na chwilę, a tłusta baba podobna do King Konga w mgnieniu oka wyległa ze swej straganowej pieczary i wabiąc go palcem, powiedziała:

– Nie ogłupiajcie chłopaka, nie wciskajcie mu gówna, mam syna w jego wieku i dokładnie wiem, czego potrzebują tacy jak on.

Jimowi zadrżały usta, a baba przypadła do jego nóg, dobierając się do wystrzępionych sznurowadeł. W rękach miała brązowe, wąskonose kaleki z zamkami jak w damskich torebkach, z napisem „God Boy!" z boku. Jim wyrwał nogę z objęć babsztyla, który obruszył się i wysłał porozumiewawcze spojrzenie jego matce: „Doskonale panią rozumiem". Ojciec cierpiał w milczeniu, on też pragnął, by te katusze wreszcie się skończyły. Co prawda, z innego niż syn powodu – chciał jeszcze zajrzeć na stragany z częściami zapasowymi, by dobrać kolejną blachę do swego zdezelowanego mercedesa. Tymczasem wyjrzało słońce, po handlowych grzędach roznoszono już trzykomorowy obiad, a oni nie przeszli nawet połowy Dzielnicy Obuwniczej. Jim pragnął jednego: wyjść i nie wracać tu nigdy więcej, lecz nie wiedział nawet, w którą stronę było wyjście. Gdzie nie spojrzał, tylko obuwie, rabunek, handel niewolnikami, sprzedawcy krzywili w jego stronę swoje tęponose, ostronose, modnie polakierowane gęby z naturalnej skóry, czarne, brązowe, białe, koloru kakao, plamiste, z rozstępami; na pyskach puszczały szwy i te pyski sepleniły: „Turczja, szuper pszeczeny, osztatnia szansza", a wewnątrz butów damskich i męskich niczym żmije zwijały się języki i z każdego z nich ściekał jad.

– Czy naprawdę nie ma tu ani jednego normalnego straganu? – nie wytrzymał w końcu Jim. Z resztką nadziei spojrzał w kierunku dalszych części bazaru. Zaczęło mu się zdawać, że tam go jeszcze nie namierzyli, więc pośród majtek i kapelusików będzie można zebrać siły i wytrwać do końca, że być może gdzieś tam na uboczu, za płatną toaletą, znajdzie się ten jeden jedyny stragan z okupantusami wszelkich rozmiarów i wag, i wszystkimi jak marzenie: wysokimi, ciężkimi, z utęsknieniem wypatrującymi pana. Rozpacz w nim krzyczała, ale miasto-bazar było głuche na krzyk i Jimowi zdawało się, że wszyscy sprzedawcy wszystkich butów na świecie wyławiali go z tłumu, tak, właśnie jego, by się nad nim pastwić: „No co, koleżko, mama z tatą już się zmęczyli, daj im wreszcie wydać ciężko zarobione pieniążki. Słyszysz, nie męcz ich więcej!”. Niczym specjalnym telegrafem poszła w bazar wiadomość: tu się szwenda chłoptaś z przedmieścia ze swoimi przodkami i przodki szukają mu buciorków, sprzedajcie chłopcu buciorki, kto mu sprzeda buciorki, dla tego zrzucimy się na koniaczek. Matka co i rusz zatrzymywała się przed kolejnym straganem i machała Jimowi przed nosem jakimiś butami niewolnika, nędznymi jak szkolna ubikacja, bez gustu i stylu. Jim postanowił skapitulować i przymierzył przypominającą dwie strupiałe żabska parę. Matka uśmiechnęła się zadowolona, ale zaraz spochmurniała:

– A na pewno będziesz je nosił, czy będzie jak poprzednim razem?

Jim zdjął ohydniaki i odstawił je byle dalej od siebie. Kwaśne uśmieszki, świńskie oczka... Pokręcił głową i zaczął stroić takie miny, że jedna ze sprzedawczyń zawołała oburzona:

– Jak można tak krzywić się za młodu? Spójrz tylko na siebie!

– Dzieci są teraz rozwydrzone – westchnęła druga, ścisnąwszy ze współczuciem rękę matki Jima.

– Zawsze był jakby z innego świata – tłumaczyła się matka. – Za to nie pije ani nie pali.

Gdy matka postanowiła odpocząć, przyszła kolej na ojca:

– Co z ciebie za mężczyzna? Wybierz coś i idziemy. Nie będziemy tak łazić do obiadu.

– Nie ma tu tego, co chcę!

– Chcę, nie chcę, żonę wybierasz czy co?

– Dobrze – powiedziała wreszcie matka – łaź dalej w tych

swoich szmaciakach. Niech wszyscy mówią, że nie stać nas na porządne buty dla syna. Muszę się czegoś napić.

Sponiewierany Jim milczał posępnie. Napili się mineralnej i poszli szukać wyjścia. Ojciec jeszcze protestował, ale matka zamknęła mu gębę. Błądząc w poszukiwaniu wyjścia na parking, przypadkowo znaleźli się w Dzielnicy Zabawek. I tam, na samej jej granicy, obok przysypiającej telewizyjnej płastugi, Jim zobaczył wyśniony namiot. Na jego dachu powiewała piracka flaga. Głuchy na wszelkie protesty wszedł do środka, gdzie na plastikowym krześle siedział w nausznikach Sam, paląc i romantycznie dłubiąc w nosie. Przed nim w żołnierskim szeregu stały one, OKUPANTUSY, pięć par błyszczących tak groźnie, że strach było je dotknąć.

– Znalazłem – oznajmił Jim i schował się za plecami rodziców.

– A co to takiego? – spytała speszona matka, wycierając pot z czoła.

– Takie do roboty w fabryce zakładam – wytłumaczył ojciec – za darmo rozdają. Chcesz, to ci przyniosę[6].

Sam z namysłem spojrzał na ojca, ale nic nie powiedział. Jim nabrał odwagi i ze spuszczoną głową podszedł bliżej lady.

– Po ile?– spytał ojciec.

Sam wycedził cenę przez zęby.

– Co? – ojcem zatrzęsło. – A dlaczego tak drogo? Że niby za co?

Sam wzruszył ramionami i wrócił do swojego nosowego zajęcia.

– I naprawdę chcesz w tym chodzić? – spytała wyraźnie niezadowolona matka. – Ważą chyba z tonę!

Po Jimie widać było, że nie odpuści.

– Przymierz – rzucił Sam, nie odwracając głowy.

Jim wziął do ręki chłodne, twarde okupantusy, które na jego nodze momentalnie ożyły i bezzwłocznie zaczęły spełniać zachcianki pana, na przykład w mig zrobiły miejsce, by mógł swobodnie poruszać palcami, dobre buty, znakomite buty, fantastyczne. Co prawda podana para była na niego wyraźnie za mała, ale większego rozmiaru mogło nie być, więc postanowił nie ryzykować i nie mówić rodzicom o tej nieznacznej rysie na swoim szczęściu.

[6] Ojciec ma na myśli specjalistyczne obuwie robocze (kolej, budownictwo), charakteryzujące się długą sznurowaną cholewą (w Polsce bardzo popularne w latach 80. ubiegłego wieku, sprowadzane z Rumunii i stąd nazywane rumunkami).

– Nie wkładaj do środka dżinsów – rzucił łaskawie Sam, coś żując. – Tak się nie nosi.

„Jak to, nie wkładaj? Jak się nie nosi?” – pomyślał urażony Jim, ale posłusznie wyjął nogawki z okupantusów z postanowieniem, że jak tylko zostanie sam, zrobi tak, jak mu się będzie podobało. Ojciec spojrzał na matkę, zacisnął usta i kupił.

W samochodzie Jim zmienił buty i zgodnie z umową zadzwonił do Aleksandry. Rodzice wysadzili go na prospekcie. Po ich minach widział, że buty im się nie podobają, ale nie mieli czasu zbyt długo nad tym rozmyślać – wieczorem miał wpaść z wizytą daleki krewny, od którego chcieli pożyczyć pieniądze na remont mieszkania. Prawie szczęśliwy Jim otworzył drzwi samochodu.

– Nie wracaj zbyt późno – matka pogłaskała jego dłoń i Jim postanowił tym razem jakoś to wytrzymać. Było mu głupio prosić o pieniądze, zresztą w tej sytuacji nie bardzo się nimi martwił – miał przecież na nogach okupantusy.

Odczekał, aż mercedes rodziców pogrąży się w morzu samochodów, a potem usiadł na ławce i włożył dżinsy do butów. Tak jak chciał. Podziwiał odbicie własnych nóg w witrynach sklepowych, a nogi nie chciały iść zwyczajnym, poważnym tempem. Chciały lecieć coraz dalej, ale palce, palce ściśnięte podeszwą bolały i obtarta pięta szybko dała o sobie znać. Lecz Jim nie zawracał sobie głowy drobiazgami. Umówili się z Aleksandrą przed kinem, dziesięć minut piechotą od jej domu. Mieszkała w centrum i rodzice często z tego powodu stroili sobie żarty: dobrą narzeczoną sobie wybrałeś, prestiżową; choć prestiżowe dzielnice znajdują się teraz na przedmieściach, bo kto by chciał mieszkać w centrum, gdzie samochodów jest więcej niż ludzi?

Gdy Jim dokuśtykał wreszcie pod budynek kina, Aleksandra nerwowo chodziła w tę i we w tę, zerkając na telefon.

– Po pierwsze, wyrzuć tego peta, a po drugie, co za straszydła masz na nogach?

Z Aleksandrą nigdy nie było Jimowi łatwo, jej nastroje zmieniały się z minuty na minutę. Nie miała w zwyczaju przymykać oczu na zaniedbania higieny, za to przymykała je w najbardziej naturalny sposób w najbardziej nieodpowiednich momentach. Sama paliła, i to dużo, i to z dziwnym szczeniackim nienasyceniem, ale nie lubiła, gdy on palił. Kpiła też z jego muzyki, choć otwarcie podkochiwała się w pewnym znanym rock-

manie, przy czym, jak domyślał się Jim, najbardziej pociągały ją ciuchy tego nieogolonego typka.

Była zupełnie niereformowalna ta jego Aleksandra, ale miała też trzy niezaprzeczalne zalety: opalone piersi z brunatnymi sutkami, potrafiła robić bamba-bamba jak żadna inna i była czuła na wszelkie jego skargi.

Po nieoczekiwanym wybuchu niechęci wobec Bogu ducha winnych okupantusów, Jim skulił się w sobie (ten nieogolony muzykant ma przecież podobne, Jim nic z tego nie rozumiał). Stanął w krótkiej kolejce po bilety, bo właśnie zaczęła się epoka, w której młodzi ludzie znowu zaczęli chodzić do kin – ale nachmurzona Aleksandra już schodziła po schodach na ulicę.

– Co ci jest? – rzucił się w ślad za nią, starając się dopasować do tempa jej kroków.

– Nic – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku i wzięła go pod rękę. – Po prostu...

Skierowali się z prospektu na jej ulicę. Coś było wyraźnie nie tak, jak to zresztą często się między nimi zdarzało, szli w milczeniu, a Jim zachwycał się okupantusami i zastanawiał się nad swoim położeniem. Rzucał coś nieistotnego, a ona swoim zwyczajem odpowiadała lakonicznie „tak” lub „nie”. Później spróbował zagaić rozmowę na temat jej ulubionej myszy, co zwykle odbierało Aleksandrze chęć do dalszych sporów. Tym razem jednak nie zadziałało. Jim słyszał, jak wokół dzwoniło powietrze i nic nie zagłuszało tych cichych dźwięków na granicy zerwania, a Aleksandra kroczyła w swoim długim, czarnym płaszczu o połach rozwianych niczym skrzydła nietoperza, z krótko obciętymi włosami, z wiecznie niezadowolonym, ruchliwym nosem, z rękami w kieszeniach – na znak, że dziś Jimowi lekko nie będzie.

Jej rodzice wyjechali na dwa dni na północ kraju i Jim wiele obiecywał sobie po tym weekendzie. Miał nadzieję, że zostanie na noc, miał nadzieję na dwudniowy ciekawy film, czyli on, ona i zachwycony jego nowymi butami świat. Poza tym nikogo, w szczególności żadnych rodziców i żadnych sprzedawców z rynku. Był przy tym pewien, że na ulicach i placach miasta nie rozpozna go żaden handlarz z bazaru. Czy warto dodawać, że przyrzekł sobie nigdy więcej razem z rodzicami na bazar nie jechać?

Podeszli pod jej dom. Aleksandra otworzyła drzwi, pozba-

wiając go honorowego prawa, do którego Jim już się prawie przyzwyczaił, po czym od razu skierowała się do kuchni i zaczęła coś jeść. Pokornie usiadł obok i cierpliwie czekał. Przeżuwała teatralnie długo, patrząc na niego jasnymi, stalowymi oczami. Milczenie stawało się nie do zniesienia. Nagle zdał sobie sprawę, że ona wygląda dojrzale. Kiedy się poznali, grała dorosłą, doświadczoną i rozsądną, ale była to tylko zabawa w teatr... Od początku zwracał się do niej Aleksandra, a jej, roześmianej, z ostrymi zębami i długimi rzęsami, bardzo się to spodobało... Aleksandra...

– Bóg z wami, Aleksandro Michajłowna – powiedział w końcu Jim. – Złość piękności szkodzi.

Dziewczyna wypluła na dłoń obgryzioną kostkę i powoli zaniosła ją do kosza, niemal ocierając się o Jima. On wyobraził sobie jej błękitnawe biodra, zadbaną skórę, okrągłe kolana… Przyciągnął ją do siebie, posadził – przylgnęła do jego piersi, zamknęła oczy.

– Tak być nie może – podniosła palec wskazujący dokładnie na wysokość jego oczu. – Pachniesz jak prosię. Właź do wanny, potem pogadamy.

Długo leżał w wannie, czekając, aż wślizgnie się ze swoimi przez okrągły rok opalonymi piersiami i brunatnymi sutkami, ale woda ostygła, więc szybko opłukał się i wyszedł z łazienki.

– Co ci się stało? – spytała, z odrazą wskazując na jego obtarte pięty. – Krew... fuu...

Przyniosła mu bandaż oraz jakiś tajemniczy flakon, a sama wyszła, zabierając ze sobą papierosy. Znalazł ją na balkonie, siedziała oparta plecami o ścianę i groźnie patrzyła w dal.

– W soboty autobusy jeżdżą krócej… – zaczęła.

– OK. Już mnie nie ma.

Rozdrażniony Jim udał, że się zbiera, ale tak naprawdę nie spieszył się zbytnio. Nikt go jednak nie zatrzymywał i dopiero gdy mężnie znosząc ból, zakładał na nogi swoje okupantusy, jeszcze piękniejsze w słabym świetle przedpokoju, ona, stając w drzwiach – w pozie kobiety znużonej – z chytrym uśmiechem wycedziła:

– Więcej się tu w tych śniegowcach nie pokazuj, rozumiemy się?

Rozumiał, że przyczyną niełaski są okupantusy, nie mógł się nie domyślić, gdyż tylko buty zmieniły się w nim od wczoraj-

szego wieczoru. Zamyślił się. Jeden okupantus miał już na sobie, drugi czekał spokojnie, pobłyskując. Wybór – to będziemy mieć zawsze. Jim czuł, że nie mógłby znienawidzić swoich nowych butów, wmówić sobie ich wad. Z drugiej jednak strony żal było rezygnować z bamba-bamba, w sytuacji gdy nikt inny nie wykazywał ochoty, by robić mu bamba-bamba co tydzień.

– Za długo się namyślasz – powiedziała ona, rozczarowana i z miną człowieka, który wreszcie wszystko zrozumiał i podjął decyzję, poszła do swojego pokoju, właśnie tam, gdzie bamba-bamba odbywało się najczęściej.

– Shit – zaklął z angielska Jim. – Po co mi te śniegowce, bratu lepiej oddam albo basiście na urodziny, będzie szczęśliwy.

Nie odpowiedziała. Położył się obok – udała, że śpi.

Decyzja Jima wytrzymała próbę czasu – wkrótce Aleksandra, po staremu pełna energii, usiadła mu na brzuchu:

– Mam pomysł. Wiem, co zrobić z twoimi butami. Oddamy je temu, kto ich naprawdę potrzebuje.

W zdziwieniu uniósł brwi.

– Przecież są na ciebie za małe. Jeszcze inwalidą zostaniesz – zaśmiała się nerwowo. – Postawimy je na drodze pod balkonem i zabierze je ten, komu pierwszemu się spodobają. Tak będzie sprawiedliwie, jak w bajce.

Zmusiła Jima, by w klapkach wyszedł na ulicę i postawił nowiutkie okupantusy na mokrym asfalcie. Ciężko mu było na duszy i humor mogło mu poprawić jedynie profesjonalne bamba-bamba. Ułożyli się na balkonie, Aleksandra zrobiła kawę. Dziwne, ale okupantusy na ulicy nie wyglądały na zapomniane albo wyrzucone. Nikt się nimi nie zainteresował. Obchodzono je niczym znak ostrzegawczy. Tylko jakiś uczeń minął je, odwróciwszy się z otwartą ze zdziwienia gębą. Potem przeszedł przez nie zalany facet ze słoikiem beczkowego piwa, zatopiony w swoich czterdziestoprocentowych myślach. Dwie kobiety z wózkami objechały okupantusy, nawet się nie zatrzymując, a kiedy na drodze pojawiła się zgraja dzieciarni ponuro kopiącej piłkę (dwanaścioro brudnych nóg w podkasanych do kolan portkach) i przewróciła prawy but, jeden z dzieciaków grzecznie postawił go jak należy. A potem zdarzyło się najdziwniejsze: przed okupantusami zatrzymało się wiśniowe żiguli. Z samochodu wysiadł młody kierowca, podniósł buty, nie wiedzieć

czemu przyjrzał się badawczo miejscu, w którym stały, odłożył je, poprawił sznurowadła, żeby nie walały się w nieładzie, i bokiem, ze ściszonym silnikiem, objechał osobliwą przeszkodę.

Tym sposobem musieli długo czekać.

– A mówią, że nasi ludzie nie mają gustu – powiedziała Aleksandra, a Jim przytaknął, choć nie zgadzał się z nią: to były wspaniałe buty, stały nieruchomo, godnie niczym jeźdźcy, rycerze, żołnierze warty honorowej. Wkrótce ściemniło się i wreszcie pojawił się stary, brudny dziad z torbą, któremu obojętne były niuanse estetyczne. Bez zbędnego filozofowania, nawet nie oglądając się na boki, chwycił buty i zniknął w krzakach za domem. Jim ledwie się wstrzymał, żeby nie krzyknąć, krzyknąć tak, żeby z dziada wylazła cała jego śmierdząca, zbutwiała dusza. Ale Aleksandra wpatrywała się w dziada niczym w klacz na wyścigach, na którą postawiła pieniądze. Jim zamknął oczy i pomyślał, że to koniec.

W końcu otrzymał swoje bamba-bamba, tuż przed odjazdem, kiedy w starych, ale jeszcze całkiem niezłych działkowych pantoflach ojca Aleksandry, z lekką goryczą całował ją na pożegnanie. Objęła go szczerze, mocno, jakby go chciała zadusić, a potem Jim wyszedł. Idąc na przystanek, bił się z myślami: przecież musiał istnieć jakiś sposób, żeby zachować i Aleksandrę, i okupantusy, i bamba-bamba, i ten dziwny dom, którego mieszkańcy nie byli łasi na cudze dobro, za to lubili podglądać się nawzajem z balkonów... Nic mądrego nie wymyślił, a w trolejbusie, który wiózł go do metra, skupić się było trudno: najpierw tuż za plecami Jima rozsiadła się zgraja dresiarzy, rzecz jasna pijanych do tego stopnia, że ich zwierzęce siły szukały jakiegokolwiek pretekstu dla ujścia. Potem nie wiadomo skąd zjawili się kontrolerzy i Jim musiał żałośnie skomleć o litość; przyszedł mu na myśl ojciec, który zapłacił za okupantusy ciężko zarobionymi pieniędzmi. Skąd właściwie to skojarzenie? Jeszcze całkiem niedawno bezrobotny ojciec sam łapał jeżdżących na gapę. Jim przypomniał sobie, z jakim oddaniem okupantusy tkwiły na jego nogach. Teraz w tych nogach krążyła krew jeszcze rozgrzana po niedawnym bamba-bamba. Potem w trolejbusie pojawił się żebrak czy może żebraczka. Jim z obrzydzeniem odwrócił głowę, nie patrząc na brudasa; okupantusy, okupantusy, okupantusy – powtarzał bezwiednie, można by je przecież zakładać w dni wolne od spotkań z Aleksandrą... moż-

na by, ale on uległ, uległ jak kapeć, głupi, zaślepiony pożądaniem, opętany...

W trolejbusie śmierdziało tak, że zbierało się na mdłości. Jim odwrócił głowę – obok niego siedział modlący się zajadle dziad, ten sam, który wieczorem zabrał jego okupantusy. Miał je na nogach: brudne, czymś usmarowane, a mimo to nadal wspaniałe. Dziad spojrzał na Jima i zamilkł, zatopiwszy wzrok w oknie. Jim przesiadł się na siedzenie za jego plecami, mimowolnie spoglądając z góry na jego otoczone jedynie marną kępką siwych włosów, porowate ciemię. Dziad, wyczuwając niebezpieczeństwo, wysiadł pospiesznie na najbliższym przystanku, lecz Jim zdążył wyskoczyć za nim. Szedł za dziadem, to odczekując, to przyspieszając kroku, kierując się w stronę pogrążonego we mgle i ciemnościach placu budowy...

Tłumaczyła Katarzyna Kwiatkowska

PRZEDWCZORAJ

Oczywiście, że to robili. A co, przez cały miesiąc, kiedy się spotykali, zrobili to przynajmniej dziesięć razy, jeśli brać pod uwagę również pierwszy raz, który tak naprawdę mógł liczyć jedynie on, ona uśmiechała się wieloznacznie. Robili to przeważnie na jego kanapie w kratę, ale też raz w kuchni, najciaśniejszej na świecie, gdzie w tej pozycji mogły się zmieścić chyba tylko kury przed wywózką do krematorium, ale jakie to krematorium: między nimi nigdy nie zaiskrzyło, bo robili to od niechcenia, skoro już się spotykali, skoro trzeba było to robić, to robili, przy czym on oczywiście miał przewagę, czym ona specjalnie się nie przejmowała. Oczywiście, że to robili, ale nie w tym rzecz, nie mówmy już o tym, bo wszystko było o wiele bardziej skomplikowane.

Ona była kobietą na miarę swoich czasów – nie, żeby pełzała po podłodze, szukając wyschniętych śladów mody: traktowała nowoczesność jak zegarek, na który trzeba czasem spoglądać, by w porę, zgodnie ze wskazówkami, zmienić temat. Bała się spóźnić, bała się przegapić to, co współczesność od czasu do czasu szczodrą ręką rozdaje na swym przedwyborczym *show*: cieszące oko pstrokate koszulki z napisem *Today is forever*, eliksir młodości w jednorazowych opakowaniach, korzystne linki, książki, w których wszystkie bohaterki noszą to samo imię, mają te same problemy i nawet taką samą bieliznę jak czytelniczka (cudowny wynalazek komputerowego geniusza, ładnego chłopaczka, tylko myjącego się z rzadka; zobaczyła go w pewnym klubie, gdzie geniusz, jak na geniusza przystało, cierpiał za miliony nad paczką chipsów). Ona, jak zresztą każdy swego czasu, bała się dostać tylko tyle, na ile zasłużyła, bez bonusów i premii. Współczesność dawała do zrozumienia, że życie w jednym tylko wymiarze jest po prostu nieprzyzwoite, więc leciała do przodu z siłą wodospadu, nie tracąc ani sekundy, leciała w swoim wygodnym stroju, który nie wyjdzie z mody jeszcze przez dobrych kilka lat... Leciała, nie wsłuchując się w odpowiedzi, wnioski, wyznania. W modzie jest bycie zdrowym – rzucała mimochodem współczesność, więc ona paliła tylko superlighty. W modzie jest bycie tolerancyjnym – śpiewała współczesność, więc jeśli nie przespałaś się z Afrykańczykiem, jesteś

ograniczoną faszystką i tyle. W modzie jest oglądanie ambitnych filmów, przynajmniej jednego miesięcznie, rzecz jasna w oryginalnej wersji językowej – tym bardziej że brat geniusza komputerowego postarał się o bilet dla ciebie, co w jego mniemaniu oznaczało też bilet na ciebie (lepiej robić wszystko samej, tak jest szybciej, ale przecież ustaliliśmy, że o tym nie mówimy – no, na tych kilka linijek, proszę! Dobrze więc: w modzie jest robić to z przyjaciółką, a wrażeniami podzielić się na forum internetowym albo w blogu, grunt, żeby było on-line, bo tylko on-line jest nowocześnie) – a potem męczyć się, rozszyfrowując, co też powiedziała ta psychopatka w środku: jedyne zdanie, które padło w całym dwugodzinnym filmie – i bez tłumaczenia. W modzie jest znać dwa słowa: cheidegger i chabermas, cokolwiek by to miało znaczyć. W modzie jest zrobić sobie piercing i tatuaż, gdy zupełnie nieoczekiwanie przyjdzie ochota na oryginalne przyozdobienie swojego ciała. W modzie jest słuchać mumumuzyki. W modzie jest być niezależną finansowo, a zarobione pieniądze wydawać na miękkie, lekkie, dobre na każdą pogodę, nieuzależniające narkotyki (tego rzecz jasna współczesność nigdy nie mówiła na głos). A i brat geniusza nie jest takim najgorszym wariantem, gdy mu się dobrze przyjrzeć: przy wszystkich swoich wadach bardzo dobrze zdaje sobie sprawę, że żyje (mówi to powoli, głębokim głosem, płynnie gestykulując) w informacyjnej wiosce, w społeczeństwie konsumpcyjnym, w epoce telewizji, zaawansowanej technologii i glamouru. Ważne, by znać swój adres, by przyjaciele w razie czego mogli ci wezwać taksówkę. Tyle że ona wcale nie była pewna, że brat geniusza to więcej niż sobie zasłużyła, musiał być jeszcze ktoś inny.

Gdy usłyszała to wszystko, co dotyczyło jej osobiście, a nie kogoś innego, początkowo obruszyła się i zamierzała wyjść, tylko że bluzka była jeszcze mokra (nie, nie przytrafił im się żaden deszcz melodramatycznie blisko jego mieszkania, wieczór był suchy, choć pochmurny, a liście na drzewach szeleściły jak papier – bluzka była po prostu mokra, przecież się umówiliśmy, że nie będziemy więcej o tym mówić). Dlatego tylko westchnęła i została. Prawda, Przedwczorajszy nie wspominał o piercingu i tatuażach, robił wrażenie, że nie wie, co to takiego. I brata geniusza komputerowego też wymyśliła. Lecz o wszystkim innym to on powiedział, bardzo z siebie zadowolony. „A swoje skarpetki pierzesz sam?” – zapytała złośliwie, dmuchając mu

dymem w twarz, co bardzo lubiła. Okazało się, że przychodzi do niego praczka i robiło się coraz ciekawiej. „Masz na myśli swoją matkę?" – próbowała jeszcze. Przeciągnął ręką po krótko ostrzyżonej, łysiejącej czuprynie. Stał boso na białej koszuli, bezlitośnie rzuconej na podłogę, jeden z rękawów, szukający czegoś pod kanapą, nie wiedzieć czemu ostro irytował Nowoczesną. Starała się znaleźć na ramieniu mężczyzny ślad po szczepieniu z dzieciństwa, ale jej się nie udało. Przedwczorajszy uśmiechnął się, jego wąsiki ledwie drgnęły: aż dziw bierze, że nie nazwała ich hitlerowskimi albo jakoś w tym rodzaju, rzecz w tym, że te niedorzeczne wąsiki zadziwiająco do niego pasowały – nie było się więc do czego przyczepić. Rozejrzała się wokół. Mieszkanie jak mieszkanie, jedynie komuś bardzo spostrzegawczemu mógł rzucić się w oczy brak zwierzątek domowych o ciekłokrystalicznych pyskach. Lecz współczesność nie bardzo ufa spostrzegawczości, słusznie widząc w niej zagrożenie dla swoich porannych beztroskich truchtów, więc i Nowoczesna jej nie ufała. Zachmurzyła się i wyjęła telefon, choć nie miała pojęcia, do kogo zadzwonić i z kim porozmawiać. Przedwczorajszy z idiotyczną pobłażliwością przyglądał się tym manipulacjom. Wybrała kilka numerów i zaklęła cicho.

– Nie ma sygnału – spojrzała podejrzliwie na Przedwczorajszego, który niewinnie i w skupieniu rozpalał fajkę. – Ale ty masz ramiona!

Przejechała po nich paznokciami, starając się, żeby został ślad. Prychnął, nadymając policzki, a fajka niczym mały Nord Express[7], właśnie Nord Express, a nie zwykła lokomotywa, buchnęła prawdziwym tytoniowym dymem i zapachniało żywą smołą i przyjemną goryczą. Zawsze podobali jej się tacy gładkoskórzy, opaleni mężczyźni jak ten. Dobrze, że jest krótko ostrzyżony, bo z łysiną i z tym oryginalnym wąsikiem wyglądałby jak palant.

– *Lawn tennis* – powiedział Przedwczorajszy niemal z dumą i gestem zwycięzcy wyciągnął przed siebie rękę z fajką. Pauza trwała tak długo, że Nowoczesna, która zdążyła już stracić zainteresowanie ramionami i przechadzała się po pokoju, nie od razu zaskoczyła, o co chodzi.

[7] Nord Express – luksusowy przedwojenny pociąg, kursujący od 1896 r. na trasie Paryż–Sankt Petersburg.

– Jaki tenis? – łakomie zaciągnęła się powietrzem, które coraz mocniej pachniało czystym, radośnie odprężonym ciałem, dobrym tytoniem, męskimi perfumami i czymś jeszcze – niezależnym i spokojnym. – A może włączysz muzykę? Masz chyba jakiś gramofon?

Niedawno znajomi, przy okazji profilaktycznego poszerzania koła towarzyskiego, zaprosili ją na sobotę. Przyszła i nie mogła nadziwić się szacunkowi, z jakim odnoszono się do małomównego człowieka lat trzydzieści pięć, w staromodnej marynarce, getrach i zabawnych pantalonach, który już przez sam swój obciachowy wąsik był skazany na bycie gwoździem programu. „To prawdziwy wehikuł czasu – szepnęła jej do ucha gospodyni. – Korzystnie od czasu do czasu poznać się z takim odświeżaczem. Mówią, że kiedyś wyzwał Tarapańskiego na pojedynek." Nowoczesną to zaintrygowało. Wyobraziła sobie, jak Przedwczorajszy zabija, ofiara upada, a z broni unosi się dym, dokładnie taki jak teraz z fajki; gdyby tylko mogła zbliżyć swoją twarz do twarzy umierającego, tylko co zastrzelonego człowieka… Kucnęłaby sobie, nie przeszkadzając, i wpatrywałaby się jak zaczarowana, jak jego oczy zasnuwa ledwie zauważalna mgła, a usta drżą. Przed chwilą jeszcze istniał, a już go nie ma. Podeszła do Przedwczorajszego i zagaiła ironiczną rozmowę o polityce, odpowiadał chętnie, grzejąc dłonie w rękawach marynarki. „Pan nie mówi, pan przemawia, to wstrętne – powiedziała, nie bawiąc się w subtelności. – To głupie i nieuprzejme. Niech pan to sobie zapamięta." Później poszli na piechotę do niego i właśnie stąd ta mokra bluzka, to wymuszone „ty" i milczenie, które ciąży.

Początkowo brała jego przedwczorajszość za formę nowoczesności albo reakcję na nowoczesność. Lecz tu zdecydowanie nie pachniało nowoczesnością.

– A co to takiego? – zdziwiła się, nachylając się nad maszyną do pisania. – Albo nie mów, sama zgadnę.

Obok stołu stał zabytkowy regał, na którym leżały porozrzucane gazety, przyciśnięte ciężkimi tygrysami z brązu. Postanowiła dowiedzieć się mimochodem, w jakim czasie żyje Przedwczorajszy, kiedy było to jego przedwczoraj, jakie są reguły jego gry – ale mimochodem się nie udało. Tygrysy szczerzyły bezzębne paszcze, Przedwczorajszy zanurzył się w swoim dymie, a ona po prostu otworzyła lufcik. Na parapecie leżał zapla-

miony paszport, pod nim jeszcze jeden i wszystkie te tygrysy i orły, ale nie chciała pokazać, że jest ciekawa, a spytać otwarcie oznaczało grać na jego zasadach.

– Niedługo wyjadę w interesach do kolonii – a jednak zauważył jej zainteresowanie dokumentami. – Mógłbym cię ze sobą zabrać.

– Na plantacje... i oczywiście popłyniemy tam parostatkiem – nie mogła sobie odpuścić ironii, po czym usiadła na parapecie.

– Niestety, aeroplany nie latają na takie odległości – odpowiedział z pełną powagą i podniósł koszulę z podłogi. – I mam za duży bagaż.

Bluzka, choć już sucha, pachniała teraz mydłem, co było nie do zniesienia. Nowoczesna włożyła ją rozdrażniona.

– Odwiozę cię – oznajmił, zapinając w przedpokoju guziki.

– Już sobie wyobrażam czym – wydęła usta, ale zaraz potem pożałowała, bo mogłoby być zabawnie przejechać się po mieście snopowiązałką.

Wracała do swojego czasu z windą, działającym telefonem, a zagadkowe stworzenie zawinięte w szmatę, skrzecząc, pełzało po klatce schodowej. Współczesna nie odrazu odzyskała równowagę.

Rzeczywiście po miesiącu Przedwczorajszy zniknął, przerywając tym samym przydługą i tak naprawdę męczącą kolejkę spotkań, które zaczynały się w niedzisiejszych teatrach, przeciągały w niedzisiejszych restauracjach, by skończyć się u niego w domu. Już dawno chciała z nich zrezygnować, ale jakoś nie mogła. Starała się, umierając z nudów, wykręcić chociażby od pierwszego, najbardziej męczącego punktu programu, bo w restauracjach była przynajmniej niewspółcześnie miła obsługa, ale pozbawiony opery Przedwczorajszy tracił apetyt. Kiedy więc wreszcie wyjechał na swoje Kanary albo do innych tajemniczych kolonii niczym prawdziwy imperialista, odetchnęła z ulgą.

Geniusz komputerowy nadal się nie mył, więc za radą astrologa i psychologa pewnego siarczyście mroźnego dnia wyszła za mąż za jego brata. I niby nic się nie zmieniło, a jednak coś stało się ze współczesnością. Jakby ciężki, niepowstrzymany, bębniący o dach daczy deszcz nagle się skończył, a zamiast niego kapał jej na głowę marny, rzadki, prozaiczny kapuśniaczek.

Kilka lat później, wciąż nie mogąc zdobyć się na odwagę, by zajść w ciążę, namówiła męża na urlop nad Adriatykiem. Hotel

nie spełniał jej oczekiwań – ciasny, duszny i daleko od morza. Z pogodą też im się nie poszczęściło – kostium kąpielowy włożyła tylko trzy razy. Zalecali się do niej kelnerzy, każdy z nich mówił trochę po rosyjsku. Jajecznobiałe, zapylone miasteczko z piątego piętra ich hotelu wyglądało jak niedokończony obraz, podstarzali cudzoziemcy w szortach i pulowerach spoglądali na nią zza okularów z wieloznacznym zaciekawieniem, popijając drinki. Pojechali na wycieczkę, po której ona bała się już gdziekolwiek ruszać z przewodnikiem. Piątego dnia zrobiło jej się rozpaczliwie smutno, chciała do domu. Mąż, który już przed obiadem zazwyczaj wypijał litr wina, chrapał obok basenu. A przecież ma dopiero 27 lat – myślała, oglądając swoje paznokcie. Następnego dnia, żując winogrona, zauważyła Przedwczorajszego wchodzącego na dziedziniec hotelu. Był w sportowych spodniach, które zaraz zdjął, najwyraźniej zamierzając się wykąpać. Nowoczesna ledwie się powstrzymała, by nie rzucić mu się na szyję. Oczywiście poznał ją od razu, umówili się na obiad.

Przyszedł w tych swoich spodniach i wpuszczonej w nie koszuli.

Mąż mrugnął do niej i wyciągnął butelkę ojczystej wódki. Nowoczesna patrzyła na Przedwczorajszego spode łba, milcząc, ale gdy tylko mąż oddalił się w stronę basenu, nie wytrzymała:

– Co słychać w epoce kamienia łupanego? Gdzie twoje parostatki?

Spojrzał na jej kolana, uśmiechając się zjadliwie:

– Naprawdę myślałaś, że przez całe życie będę odgrywać rolę prowincjonalnego dandysa? No co ty... Tak, parowozy, *lawn tennis*... Fajnie było, ale się skończyło...

Nieoczekiwanie głośno się zaśmiał i dotarło do niej, że jest pijany.

– Dobrego masz męża... posiedź tu chwilę sama... moja głowa...

Podniósł się z trudem, pomachał jej ręką, po czym podszedł do basenu, w którym, chlapiąc na wszystko wokół i pochrumkując jak świnia, pływał jej mąż. Przedwczorajszy wciąż uśmiechał się idiotycznie i żałośnie. Bez ubrania przypominał siebie z dawnych czasów, lecz zaraz potem oślepiło ją słońce i nie była już w stanie zastanawiać się nad szczegółami.

Tłumaczyła Katarzyna Kwiatkowska

POZBYĆ SIĘ KAROLINY

Trudno jest mi już w tej chwili przypomnieć sobie, kiedy po raz pierwszy narysowałem Karolinę. Śnieżynka na stałe przymarznięta do okręgu, aksamitny pączek, kwiatowa wyprawa słonecznego motylka, zakreskowany deszczem opadły liść, śnieżynka, pączek, motylek – krąg kolorowych obrazków od dawna kręci się wokół mnie z taką prędkością, że nie pozostaje mi chyba nic innego, jak tylko mrużyć oczy i przygładzać włosy. Kiedyś poruszał się z wolna, jakby grała katarynka… Wietrzyk czasu nie niesie ani chłodu, ani ciepła; szczerze mówiąc, nauczyłem się nie zwracać uwagi na jego obojętny dotyk na moim spoconym czole.

Pamiętam za to, w jakich okolicznościach powstała. Tuż przed tym wujek znalazł u mnie zdjęcia. Przez kilka minut patrzył na mnie w milczeniu – jego dziwne spojrzenie (jakby podpisał z kimś umowę, nie przeczytawszy jej do końca) zmusiło mnie do wybiegnięcia z pokoju. Wieczorem przy stole nie podnosiłem głowy: na talerzu leżał pokrojony ozór, na widok brodawek zrobiło mi się niedobrze. „Myślałam, że lubisz…” – powiedziała z rozczarowaniem kochanka wujka, wzięła największy marynowany pomidor, soczysty i bezwstydny, i głośno wessała miąższ. „Hej, co ty, płaczesz? Nie, naprawdę?” Owych zdjęć, kupionych na dworcu za takie pieniądze, że gdybym żył ze stypendium, nabytek ten skazałby mnie na śmierć głodową, więcej nie widziałem, wujek też nigdy o nich nie wspominał. Moich małych, czarno-białych pocieszycielek wcale nie żałowałem, a wujkowi byłem wdzięczny – zachowywał się jak gdyby nigdy nic, tak że wkrótce znowu żartowałem sobie z jego niewiedzy, a on tłukł mnie po głowie krzyżówką.

W ten sposób zdjęcia odeszły w niepamięć jako przykre nieporozumienie pozbawione skutków, czyli w ogóle nic się nie stało. Koło jeszcze raz zatoczyło pełny obrót, zdałem na drugi rok i podstępne, tajemnicze otępienie, które nie wiadomo czemu opanowuje na egzaminach-przesłuchaniach właśnie tych, którzy doskonale znają materiał, więcej mi nie zagrażało. Poważanie dla mojej osoby ze strony wujka wzrosło niewiarygodnie – pozwolono mi nawet nie sprzątać w moim pokoju, jego kochanka robiła to codziennie, kiedy ja byłem na uniwersytecie. Uważano mnie za niezwykle poprawnego młodzieńca, czło-

wieka, który wybrał swoją drogę i stąpa po niej pewnym krokiem. Biedacy, uważali, że jeśli nie piję, nie palę, nocuję w domu i zasypiam z książką, to kiedyś zapewnię im odpuszczenie grzechów. Naturalnie, skąd mogli wiedzieć, że we mnie dorasta już Karolina, czepia się płatkami za stromy skraj wybranego przez nią brzegu, wiedząc, że nikt nie przydepnie ich rozsądną, ostrożną nogą.

Latem pojechałem do rodziców. Tysiące wolnych godzin, które czekały na młodego chłopca w naszym prowincjonalnym miasteczku, wesoło dźwięczały we mnie i marzyłem o tym, że roztrwonię je z szykiem. Spotkała mnie totalna porażka: przez całe lato albo spałem, albo się objadałem, i nawet nie zdołałem porządnie się opalić. We wrześniu wróciłem do swojego Babilonu. Wujek z kochanką każdy weekend spędzali na działce i wracali tak zmęczeni, że przez kilka nocy nawet się nie kochali. Minął miesiąc. Znowu wyjechali za miasto i miałem prawie dwa dni na przygotowanie się do pierwszego seminarium z prawa mongolskiego. Rano poszedłem do biblioteki, potem do kina, a kiedy wieczorem wracałem do domu, nagle zaczął padać gwałtowny deszcz, tak wściekle gwałtowny, jakby uosabiał czyjś protest. Na dworze zdążyło się ściemnić, mieszkanie wciąż pachniało walerianą, którą rano przypadkiem rozlała na progu kochanka wujka. Ze wstrętem odlepiłem od ciała mokrą odzież i raczej poczułem niż zobaczyłem, że przez otwarte okno woda zalewa moje biurko. Nie włączając światła, podszedłem do okna i ująłem wilgotną klamkę. Zimny wiatr owionął moje obnażone ciało i tak już pokryte gęsią skórką, kaszlnąłem, ale nie ruszyłem się z miejsca. Ludzie na ulicy lub w domu naprzeciwko mogli zobaczyć mnie najwyżej do pasa, jednak było mi przyjemnie, że tak sobie stoję, otwarty na cały świat, pijany Adam, któremu utknęła między zębami skórka zakazanego owocu. Usiadłem na parapecie, zwiesiłem nogi w dół. Po ulicy snuły się parasole. Popatrzyłem na siebie i poczułem przypływ podniecenia. Życie kołysało się poniżej, nad dnem miejskiego morza, niby meduza w mętnej wodzie. Raptem przypomniałem sobie o zdjęciach, które zabrał wujek, i zapragnąłem mieć je z powrotem. Wlazłem do pokoju, zamknąłem okno i poszedłem do sypialni gospodarzy. Wygrzebałem z szafy bieliznę kochanki wujka, leniwie wygładziłem wszystkie te majtki i staniki. Nigdy nie podobały mi się jej perfumy. Włączyłem telewi-

zor – jak na złość na drugim końcu świata coś wybuchło i wszystkie programy trajkotały o tym samym. Wtedy usiadłem przy swoim biurku i narysowałem Karolinę.

Narysowałem całą postać, zwykłym ołówkiem. Była gruba – ze sto kilo żywego ciała – siedziała *en face* na plecionym krześle, szeroko rozstawiając nogi. Młody zboczeniec, nie troszczyłem się specjalnie o jej twarz – wyszła zupełnie schematyczna, cztery grube kreski jak rozszczepione drzazgi. Za to najdroższy środek postarałem się ożywić. Wtedy w ogóle nie lubiłem rysować i Karolina była najbrzydszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Przeżyliśmy jednak wspólnie prawie dwie doby, które wówczas nazwałbym szczęśliwymi, gdyby nie poczucie niejasnej trwogi, nie opuszczające mnie aż do powrotu wujka. Ledwie zdążyłem zniszczyć Karolinę: gdy tylko trafiła w otchłań wodociągu zamieniona w skręconą mikroskopijną kulkę, w przedpokoju zadźwięczał dzwonek.

Czemu akurat tak ją nazwałem? Czemu zamiast swojskich kasiek i małgoś to Karolina na tanim papierze spotkała mnie w tym zimnym mieszkaniu, w którym co dwa dni obowiązkowo wyłączano światło? Uważam, że winę za to ponoszą zagraniczne filmy klasy B, które wtedy zatruwały dusze prawie wszystkich moich rodaków. Cierpieliśmy na kompleks własnej niższości, potajemnie snując marzenia o przyszłych reinkarnacjach w osobach williamów i jimów. Nasze imiona wydawały nam się godne pożałowania. Karolina straciłaby połowę swojej atrakcyjności, gdyby miała słowiańskie imię. Co tu dużo gadać – najpewniej wcale by się nie pojawiła.

Kilka dni później zaczerwieniony wujek i jego ukochana oświadczyli, że pragną zalegalizować swój związek. Zaabsorbowani organizacją wesela, przestali jeździć na działkę, teraz w domu zawsze ktoś był. Przez całą zimę mogłem narysować Karolinę tylko raz. Zdarzyło się to w czytelni biblioteki: przede mną siedziała dziewczyna, którą znałem z widzenia, studiowała zdaje się na pierwszym roku, ale na innym wydziale. Widocznie była krótkowidzem, bo siedziała schylona nisko nad leżącą na stole książką. Jedną nogę podkurczyła pod siebie, dżinsy jej zjechały, odsłaniając moim oczom słodką część jej wdzięków, kusząco rozdzieloną prawie niewidzialnym paskiem materiału (akurat wtedy nastała moda na taką bieliznę). Zasłaniając się bardzo dużą książką (od trzymania bolały mnie nadgar-

stki), długopisem pośpiesznie stworzyłem swoją Karolinę. Patrzyła na mnie lekceważąco, mięśnie na jej łydkach napinały się, ale nie była w stanie złączyć nóg. Karolina. Wszedłem za regały. „Zamykamy za piętnaście minut" – głośno oznajmiła bibliotekarka.

Wujek przywiózł do mieszkania swoją matkę, która zamieszkała w pokoju przejściowym, każdej nocy budziły mnie jej jęki. Na jakiś czas musiałem zrezygnować z Karoliny. Ogłupiały od ilości wkutego materiału, często kładłem się na swoim łóżku i wpatrywałem we wzory na tapetach: wkrótce pojawiła się tam Karolina w opisanej wyżej pozie, jej chorą twarz wykrzywiała nienawiść. Tak, w tę tapetową Karolinę mogłem się wpatrywać aż do utraty przytomności – nie zawsze jednak przychodziła. I mimo wysiłków nie mogłem dojrzeć pod nią plecionego krzesła. A to było bardzo istotne, proszę mi wierzyć.

Pewnego razu wujek z ciotką odwieźli starą do szpitala. Gdy tylko znaleźli się na schodach, natychmiast przywołałem Karolinę. Spędziliśmy razem kilka milczących godzin, dopóki doszczętnie ogłuszony i wykończony nie usłyszałem kroków wujka w kuchni. Szukając po omacku swojej przytomności, zawieszonej gdzieś w otaczającej próżni, drżącymi rękami otworzyłem okno i wyrzuciłem Karolinę na zewnątrz. Wszedł wujek. „Co ty, palisz? – zapytał podejrzliwie. – Oczywiście, jak sobie chcesz, ale ja na przykład…" Mówił jeszcze długo, a ja kątem oka obserwowałem ukradkiem, jak wiatr przykleił moją Karolinę do szyby z tamtej strony okna. Zimno śledziła swoim szeroko otwartym okiem, co się dzieje w pokoju. Nareszcie wujek poszedł. Wiatr szybko zmienił kierunek i Karolina uleciała w stratosferę.

Grała muzyka. Skończyłem uniwersytet, pojechałem do rodziców, którzy powiesili mój dyplom w ramce nad telewizorem. Rysowałem Karolinę, jednak albo straciłem zdolności plastyczne, albo nie bardzo chciałem, żeby zamieszkała w domu, gdzie się urodziłem – ta Karolina, na którą czekałem, nie wychodziła mi. Dopiero jesienią wyschłemu od narzuconego próżniactwa coś mi się udało: Karolina stała się ładna niczym po serii ćwiczeń odchudzających. W trakcie jednego z naszych seansów pojawił się ogród – był to przydomowy podmiejski ogródek, otoczony wysokim parkanem, żeby nikt nie zobaczył orgii, które się tutaj odbywały. Potem w tym ogrodzie zaczęły

rozbrzmiewać głosy gości obydwojga płci – też siedzieli na plecionych krzesłach w pozie Karoliny. Czy ją kochałem? Czy byłem zakochany, zajmując miejsce w szeregu okropnych, perwersyjnych postaci literackich? Odpowiem: nie. Nie, wręcz przeciwnie – nienawidziłem Karoliny tak, jak tylko człowiek może nienawidzić tych, bez których nie potrafi się obejść.

Wróciłem do miasta, w którym mieszkał mój wujek, wynająłem pokój u pewnej rodziny. Po powrocie z pracy zamykałem się i robiłem, co chciałem: teraz już nie niszczyłem Karoliny i jej gości, kupiłem duży arkusz papieru i namalowałem farbami swoją natrętną, prymitywną wizję. Przechowywałem Karolinę wśród moich rzeczy osobistych i wszystko było wspaniale, dopóki nie nadeszła katastrofa. Piłem z gospodarzami herbatę, spokojnie oglądając telewizję. Ich dziesięcioletnia córka siedziała przy stole w jasnym świetle żarówki i bazgrała coś w szkolnym zeszycie. Zmęczona gospodyni podniosła się i poszła w stronę kuchni. Mimochodem zajrzała dziewczynce przez ramię i jęknęła. Gospodarz powoli wstał, żeby zobaczyć rysunek. Zaklął, wyrwał zeszyt z rąk dziecka i zaczął bić je po twarzy. Zbladłem. „Kto cię nauczył to rysować?" – zawodziła matka. Dziewczynka, milcząc, pobiegła do swojego kąta. Siedziałem przy stole, kiedy ktoś zapukał do moich drzwi. „Jestem zmuszony sprawdzić" – wciąż uprzejmie, lecz groźnie rzekł gospodarz. Córka czepiała się jego nóg, patrząc na mnie z zainteresowaniem. Co tu dużo gadać – znaleźli Karolinę. Próbowałem bronić swojego prawa do nietykalności, ale ojciec dziewczynki rąbnął mnie w zęby i tego samego wieczoru wyrzucił na ulicę, zabierając wszystkie pieniądze, jak to nazwał, „za straty moralne".

Znalazłem inne mieszkanie, jednak teraz zawsze brałem Karolinę ze sobą – nową Karolinę, bo tamta została haniebnie zniszczona na moich oczach. Chodziliśmy do parku i tam, kładąc na kolanach gazetę sportową, odwiedzałem jej ogród. Właśnie w parku spotkałem swoją narzeczoną. Kiedyś korzystała z tej samej czytelni co ja i czasem miałem wrażenie, że to właśnie ona siedziała przede mną wtedy, gdy za regałami szeptem rozmawiałem z moją Karoliną. Już pierwszej nocy została u mnie – na szczęście nowych gospodarzy nie obchodziło, kto chadza do mojego pokoju, w ogóle nic ich nie obchodziło – a po miesiącu zaszła w ciążę. Przeszkadzało mi to w spotkaniach z Ka-

roliną i zacząłem w mękach rozmyślać: z kim mam zostać? Dziwne, ale w wyborze pomogły mi zęby. Jeden się ukruszył i musiałem pójść do dentysty. W rejestracji zerknąłem w lustro. Moje czoło przecinała zmarszczka, ułamany ząb ćmił i obraz przyszłego ojca płaczliwej istoty, której płci nawet nie znałem, obudził w mojej duszy poczucie beznadziejnego bezsensu własnego istnienia. I skazałem Karolinę na śmierć.

Narzeczona zwolniła się z pracy i nawet nie wychodziła sama z domu, twierdząc, że się boi. Oszołomiony koniecznością dźwigania na sobie brzemienia także cudzych upiorów, siedziałem zagubiony w swoim urzędzie skarbowym i nie wiedziałem, co robić. I oto nadeszła odpowiednia chwila. Wszystko stało się proste: obudziłem się wcześniej niż moja narzeczona, szybciutko się ubrałem i wybiegłem na ulicę z Karoliną pod pachą. Najpierw chciałem wyrzucić ją do śmietnika, ale jak na złość wszystkie śmietniki znajdowały w pobliżu miejsc, którędy ludzie śpieszą na siódmą do pracy, ślizgając się na pierwszym lodzie. Wtedy postanowiłem ją spalić. Kupiłem zapalniczkę i bez końca błądziłem po swojej dzielnicy. Ale to wywołałoby podejrzenia – ten człowiek coś pali. Pamiętacie te czasy, gdy co drugi przechodzień był milicjantem? W końcu zebrałem się na odwagę. Kiedy nikt na mnie nie patrzył, położyłem Karolinę pod jedną z tych ławeczek, na których siedzą z nogami młodociani debile. Następnie pośpiesznie ruszyłem w gąszcz podwórek.

Dogonił mnie już pod klatką schodową – jakąż błazenadą wydało mi się moje zachowanie służące zacieraniu śladów! „Pan zapomniał" – powiedział spokojnie. „To nie moje" – wymamrotałem. „Naprawiałem na balkonie rower syna" – rzekł takim tonem, jak gdyby w kole roweru znajdowało się magiczne lustro, zdolne do pokazania wszystkich łotrów w promieniu trzech kilometrów. „Pomylił się pan" – zabrzmiało to fałszywie, wkuliłem głowę w ramiona. „Naprawiałem rower i podniosłem się, żeby wytrzeć pot" – powiedział wesoło i wcisnął mi Karolinę do ręki. „Nie patrzyłem, co tam. A pan jest szpiegiem…" Zarechotał, a ja skrzywiłem usta. „Jestem porządnym człowiekiem." Widocznie czekał na jakąś nagrodę, ale ja chwyciłem Karolinę i odszedłem.

Po godzinie byłem na dworcu autobusowym. Spocony i wygłodniały wysiadłem na nieznanym przystanku niedaleko ro-

gatek. Minąłem skraj lasu pełen ludzkich odchodów, przemoczyłem nogi, pokonując rów, i niebawem znalazłem się w polu pomiędzy cmentarzem a wiejskim złomowiskiem nieznanych mi maszyn rolniczych. Karolina wypadła mi z rąk na śnieg. Pochyliłem się, podniosłem ją i po kilku gorączkowych próbach podpaliłem. Paliła się niechętnie, powoli, dymiąc. Podsycałem ogień znowu i znowu. Karolina zwilgotniała. „No tak – usłyszałem nagle nad samym uchem. – Nie umie pan czytać? Tu nie wolno palić ogniska…" Dwaj mężczyźni – Bóg wie, jak im się udało podejść do mnie tak bezszelestnie. „Zima przecież…" – wydusiłem żałośnie. Trochę dalej, błyszcząc w słońcu drzwiami, stał samochód. „Jedźmy sporządzić protokół" – zaprosił czule jeden, a drugi fachowym ruchem wyrwał mi nadpaloną Karolinę i wsadził ją sobie pod pachę.

W samochodzie pozwolono mi trzymać Karolinę. Prędko dotarliśmy do miasta, nie zwracając uwagi na światła przemknęliśmy jego ulicami i wyjechaliśmy na trasę północną. Bałem się zapytać moich towarzyszy podróży, dokąd pędzimy, choć wkrótce przestałem patrzeć w okno. Jechaliśmy bez przerwy dzień, drugi, trzeci... Minął miesiąc, daleko za nami pozostał nowy rok i utopione marzanny, i wianki świętojańskie w atrapach wsi… Karolina zbutwiała w moich rękach, a my cały czas pędzimy na północ – koło się kręci: śnieżynka, pączek, motylek, liść – na północ, tam, gdzie woda jest ciężka jak mazut i lepiej od nas wie, co z nami robić.

Tłumaczyła Maryja Łucewicz-Napałkow

ZAGROŻENIE

Nie pozwólcie mu wstać z miejsca!

Za późno.

Kałtunou wysiada z trolejbusu, patrzy, czy ma portmonetkę, telefon, klucze. Uspokoiwszy się, robi kilka zdecydowanych kroków, a potem znowu, jak gdyby poprzedni sprawdzian mógł być podstępnym snem, zatrzymuje się, macając niespokojnie. Klepie się po piersiach, głaszcze suwak na torbie. Ma na sobie skafander made in China, wydymający się na wszystkie strony tak, że Kałtunou nie widzi, co ma pod nogami. Jest już bardzo blisko domu, klatki schodowej, nad wejściem do której dzień i noc pali się słabym, rachitycznym światłem żółta żarówka. Przebiec pod gwiazdozbiorami latarni, ominąć łukiem szkołę i zejść po schodach wypolerowanych sankami. Nurkuje w szalik i śmiga naprzód między pryzmami porozbijanego lodu.

Odkąd pamięta, zawsze chciał mieszkać niedaleko metra. Tak blisko, aby uszy nie zdążyły zmarznąć w drodze od klatki schodowej do stacji. Jednak w krecich grach, w które ostatnio bawiły się miejskie władze, nie było miejsca dla Kałtunoua. Gdy tylko opuścił dom rodziców, wymarzona przerywana linia z planów metra zmaterializowała się akurat w rodzinnej dzielnicy. Obok stalinki[8] teściowej, do której musiał się przenieść, czasami też coś rozkopywali, lecz tylko po to, aby wydobyć spod ziemi jakieś echo wojny. A tam, gdzie z żoną cudem nabyli w końcu własne „M", metro miało pojawić się wkrótce, czyli za jakieś pół wieku.

(„Niedaleko metra? – posępnie pytała matka. – Swego czasu z twoim ojcem marzyliśmy nie o tym gdzie, a o tym co!" Kałtunou marszczył brwi i jednym haustem dopijał herbatę. Takich jak matka nie można przekonać. Ci, którzy urodzili się w komunałce, na szlachetnym powojennym bezchlebiu, do końca

[8] Nazwa domów budowanych w Związku Radzieckim od końca lat 30. do końca lat 50. XX w. (szczególnie za rządów Józefa Stalina). Najczęściej zamieszkiwali je sowieccy liderzy partyjni i dyrektorzy przedsiębiorstw. Cechą szczególną mieszkań jest ich znaczna wysokość (niekiedy ponad trzy metry), duże okna, drewniane podłogi i duży metraż (z gabinetem, biblioteką, pokojem dziecięcym i pomieszczeniem dla służby). Zdarzały się też szeregowe stalinki dla robotników (przyp. tłum.).

życia będą zagracać mieszkanie meblami, ratując się w ten sposób przed straszną, niemoralnie zbędną przestrzenią; chleb dla nich – nawet dietetyczny – to zawsze podstawa, a zapasu zapałek wystarczy do maja 2045 roku.)

Żarówka nad klatką schodową ospale odpędzała od siebie ciemność. Kałtunou z nadzieją popatrzył w okna swojego mieszkania i zawiedziony zaczął tupać nogami, zrzucając śnieg. Żony znowu nie było w domu i chociaż dokładnie wiedział, gdzie jest i z kim, miał poczucie, że został okrutnie okłamany. Droga z pracy do domu przez całe zimowe i nieprzyjazne miasto, z trzema przesiadkami, była niełatwa – widział siebie jako bohatera-polarnika, który prawie zginął wśród zwałów lodu i oto jest w domu – i po co?

Nie mógł narzekać na lekceważenie swej osoby. Mieszkanie zostało troskliwie przygotowane z myślą o jego wygodzie: jeszcze ciepła kolacja obok mikrofalówki, pozmywane naczynia, ani jednego pyłku na podłodze, w łazience schnie jego ulubiona koszula. Kałtunou zjadł z apetytem, zaparzył sobie kawę, pomyślał i dodał do niej kilka kropli koniaku. Włączył telewizor i popatrzył w okno. Niegasnąca żarówka nad klatką schodową ledwo sięgała swoim światłem chodnika. W domu po drugiej stronie ulicy, na drugim piętrze, żona spędzała jego, Kałtunoua, wieczór.

Muzykanta Lisicę poznała dzień po ich parapetówce. Kałtunou nie wierzył, że żona go zdradza, sądził, że z tym gburowatym i rozmownym obibokiem zaspokaja raczej jakieś swoje instynkty duchowe: takie sformułowanie nie do końca mu się podobało, ale w głębi duszy rozumiał, że o to chodzi. Na początku wpadała do Lisicy na kwadrans po pracy, potem zaczęła spędzać z nim weekendy, dokarmiać go z ich stołu – zanosiła a to kotlety mielone, a to kawałek ciasta z rodzynkami albo zupę w termosie. Oddała mu stare dżinsy Kałtunoua i dżinsową kurtkę, do tego dorzuciła puszkę mleka skondensowanego. Według słów żony, Lisica odwdzięczał się domowymi koncertami, bo przecież grał niepowtarzalnie – ale Kałtunou nie miał jeszcze okazji posłuchać wykonania geniusza-samotnika. Pewnego razu nie wytrzymał, wyraził słowami swoją krzywdę i chociaż o nic żony nie podejrzewał, pozwolił sobie na różne aluzje… W odpowiedzi usłyszał wiele: o sztuce, człowieczeń-

stwie i patologicznej zazdrości, o swojej przyziemności i obojętności, o cudzej biedzie. Żona miała szczęście: rozmowa przypadła na krytyczne dni, gdy Kałtunou zapadł na przykrą anginę egzystencjalną – któż z nas na nią nie chorował? – z powodu której za rozwiązanie każdego problemu brał się nie z tej strony co trzeba. Do rana bił się z myślami i doszedł do wniosku, że przecież nic się nie stało. Czyżby do tego stopnia popadł w rutynę, że nie potrafi odróżnić miłości bliźniego od niesmacznego cudzołóstwa? Tak oto Lisica stał się dla Kałtunoua kimś w rodzaju adoptowanego syna.

Widzieć synka jednak Kałtunou wcale się nie palił. Żona o tym wiedziała i przyprowadziła Lisicę tylko raz, na Stary Nowy Rok. Kałtunou obserwował go z obrzydliwą zazdrością. Lisica albo bez przerwy ziewał, ponuro spoglądając na podwórko, albo nagle puszczał palce w burzliwy bieg po niewidocznych klawiszach na kuchennym stole, a jego nogi w kapciach Kałtunoua wygniatały obicie kanapy. Najwidoczniej gość tylko bezwstydnie grał biednego geniusza, przynajmniej tamtego wieczoru – kto wie, może w swojej kawalerce wyglądał szczerzej. Żona z kolei pilnie udawała, że też słyszy tę muzykę, którą przyniósł do ich niedawno wyremontowanej kuchni obiekt jej współczucia – przyniósł jakby niepostrzeżenie, razem z błotem na spuchniętych butach. Tak właśnie siedzieli i niesłyszalnie grali na cztery ręce, a Kałtunou postanowił: oleję to i będę jadł indyka. Nie słyszał żadnej muzyki. Słyszał, jak w samochodzie sąsiada włączył się alarm, jak obudził się zakatarzony duch lodówki, jak mruczy radio i potrzaskuje świeca za butelką wina. Żadnej muzyki.

– Jesteście jednak dziennikarzynami, obsługą tylko – powiedział Lisica po pół godzinie, żując mięso Kałtunoua. – Nie da się o was powiedzieć „twórcy". Jeden obywatel karmi kebabem, drugi pracuje w pralni, a ktoś inny dostarcza informacji. Codzienne usługi.

Kałtunou natychmiast się obraził; już od dawna w tajemnicy coś tam notował, marzyło mu się napisanie powieści. Nie teraz oczywiście, może za jakieś dziesięć lat. Żona zauważyła, uwiesiła się mu na szyi, mimochodem liznęła w ucho. „Tylko dla niej" – poskromił się Kałtunou i wydusił z siebie:

– A pan w jaki sposób na chleb zarabia, jeśli wolno wiedzieć?

Nie wiadomo dlaczego, od samego początku rozmowy z Lisicą przybrał taki ton i nie potrafił go zmienić.

– Hoffman podzielił wszystkich ludzi na muzyków i nie-muzyków – tajemniczo rzekł Lisica, nakładając sobie kapusty Kałtunoua, a potem dobrodusznie się zaśmiał. – Wie pan, nie stoję rano w kolejkach, by zająć miejsce w trolejbusie. Dziesięć wiernych służących… Moje palce nie pozwalają mi umrzeć z głodu.

Żona popatrzyła na palce Lisicy i prawie niedostrzegalnie się uśmiechnęła. Kałtunou z kwaśną miną kiwnął głową. Wieczór nijak nie chciał się skończyć.

– Ta wasza niegasnąca żarówka to po prostu bzdura – drwiąco mówił Lisica, popijając wino. – Znałem jedną babkę, która miała licznik prądu kręcący się w odwrotną stronę. Wyobraźcie sobie, ile był jej winien zakład energetyczny!

Żona ubrała się, żeby odprowadzić Lisicę, chcieli jeszcze odpalić petardy obok szkoły, wypić szampana na mrozie – zachęcali i Kałtunoua, jednak on się położył.

– Mój Boże, jak mi się znudził ten Lisica – ziewnęła żona po powrocie i senny Kałtunou zakaszlał ze złośliwą radością. Ale nazajutrz znowu spędzał wieczór samotnie.

Wspominając to wszystko, Kałtunou tak się zdenerwował, że poszedł do szafy po papierosy. Razem z żoną pozwalali sobie niekiedy na tę przyjemność. Otworzył lufcik, zapalił i nieumiejętnie strzepał popiół do fusów po kawie. Okno Lisicy zgasło i od razu znowu się zaświeciło.

Potem była jeszcze rewizyta. Kałtunou był pod autentycznym wrażeniem tego, jak biednie żył natrętny przyjaciel żony. Lisica nie miał nawet kuchenki.

– Jak pan…? Przecież… – ze zdziwieniem pokręcił głową Kałtunou, zaś Lisica machnął ręką ze znużeniem:

– W domu jem rzadko… A jeśli już, to wrzątek mogę wziąć od sąsiadki i zupka z torebki gotowa.

– A gdzie jest pana instrument?

Lisica od niechcenia ściągnął z czegoś, co wydało się Kałtunouowi dużą wytartą komodą, kupę szmat. Podniósł pokrywę, najeżył klawisze – czarno-biały rząd na chwilę zamigotał i zniknął.

– Nie mam humoru. Tutaj mam muszkatel, ser…

Kałtunou z rozpaczą słuchał, jak zamierają nieznajome dźwięki. Być może była to informacja, informacja w języku mu-

zyki dla niego, Kałtunoua, krótki szyderczy tekst. Odwrócił się do żony. Kroiła ser, podniosła głowę, patrząc na niego z wesołym pytaniem w oczach.

Było też trzecie spotkanie. Trochę pijany (redaktor naczelny miał urodziny) Kałtunou biegł do domu swoją zwykłą wieczorną trasą i obok szkoły, tam, gdzie za krzakiem leszczyny jak peryskop łodzi podwodnej sterczał ze śniegu zardzewiały dźwig, spotkał Lisicę, który krokiem kosmonauty pokonywał oblodzoną ścieżkę.

– Żywy mi się pan bardziej podoba – powiedział Lisica zamiast powitania. Kałtunou zatrzymał się i rzucił wyzywająco:

– Musimy pogadać.

– Co pan mówi? Mamrocze pan coś do swojego grubego szalika i słowa plączą się w nitkach.

Balansując na lodzie i co pewien czas chwytając się siebie nawzajem, żeby zachować równowagę, zaczęli męską rozmowę. Kałtunou starał się trzymać fason, lecz wkrótce zaczął krzyczeć i echo błądziło po wewnętrznym podwórku szkoły, jak gdyby tam, w egipskich ciemnościach, odbywał się apel.

– Ciszej, ciszej – nie podejmował na razie rękawicy Lisica, podnosił tylko palec do uśmiechniętych, cienkich ust. Kałtunou przepraszał zakłopotanym szeptem, a potem znowu wrzeszczał. Rzucał na Lisicę białe strzępy pary i oskarżeń, a tamten milczał i tylko jego nogi nerwowo jeździły po szarym lodzie.

A kiedy Kałtunou skończył, Lisica nabrał powietrza i zaczął niezbyt głośno mówić. Ten łajdak myślał, że odszczeknie się swoimi głupimi żarcikami, a kiedy Kałtunou przysunął się bliżej, zaczął po prostu pleść bzdury. I nagle, widząc ponury zielony błysk w oczach Lisicy, słysząc świństwa, które ten szybko wypowiadał, jakby chciał czym prędzej schować się za spiętrzeniem niesamowitych, nieistniejących w przyrodzie rzeczy, Kałtunou nagle zrozumiał: rację ma on i rola okłamywanego męża mu nie zagraża, czy Lisica tego chce, czy nie.

Kałtunou zgasił papierosa, poszedł do sypialni, rozebrał się i położył. Włączył telewizor. Sen natychmiast rzucił się na niego, zdusił, posadził mu na powiekach białe ptaki, pochował w miejskiej zmarzlinie… Kałtunou zobaczył siebie pod olbrzymim stołem, z którego na miękki dywan powoli opadają strzępy gorącego popiołu – osiadają na włosiu, duże, szare, niosące ze sobą różową pamięć ognia… Dywan zapala się i mieszkanie

napełnia się dymem. Kałtunou biega pod stołem, po którego nóżkach już wdrapuje się płomień, krzyczy z całych sił, jednak nikt go nie słyszy. Czy naprawdę zgasił papierosa?

W końcu wyzwolił się ze snu. Na ekranie naprawdę ktoś krzyczał – właśnie to pomogło mu się obudzić. Ruszył pędem do kuchni, która nieprzyjemnie pachniała kawą. Mały trup peta powoli pogrążał się w bagnie niedopitej kawy. Kałtunou otworzył lufcik i chlusnął na śnieg zawartością kubka.

Kilka dni temu Lisica zachorował – nic dziwnego, przecież nie miał nawet zimowego obuwia, póki żona nie zaniosła do szewca starych futrzanych butów Kałtunoua, które tam, za podwójną opłatą, reanimowano na jeszcze jeden sezon. Następnego rana, przed pójściem do pracy, Kałtunou musiał iść do apteki. Raczej by tego nie zrobił, lecz jeśli o siódmej rano żona traktuje cię tak czule – ciebie, ciebie, którego widzi każdego dnia już od ośmiu lat i ośmiu miesięcy, ciebie, który wieczorem zasypia od razu po przyjęciu pozycji horyzontalnej, ciebie, który… Lisicę, według słów żony, naprawdę wzięło: trzeba było nawet zadzwonić na pogotowie.

Kałtunou przypomniał sobie, jak wczoraj, kiedy ubierał się do pracy, żona powiedziała mu, czesząc się w łazience:

– Wiesz, wczoraj… w końcu zasnął i wydało mi się – akurat siedziałam u wezgłowia… wydało mi się…

– Co?

– Jego palce poruszały się, jak gdyby… jak gdyby w tym momencie grał. Jestem ciekawa, jaką muzykę słyszał?

Kałtunou założył skafander i wysmarkał się z ulgą. Wcisnął na głowę futrzany kapelusz i zajrzał do łazienki:

– A kiedy ja będę się wylegiwał z czterdziestostopniową gorączką, to też będziesz siedziała u mojego wezgłowia?

Odwróciła się i wyciągnęła błagalnie ręce:

– Co ty gadasz! Będę! Będę! I u twojego, i u Kasi, i u ojca, i u pana Michała będę! Bo jeśli mogę ulżyć… – w oczach żony błysnęły długo wstrzymywane łzy. – Przecież jest w tym mieście całkiem sam…

Kałtunou pocałował ją i poszedł do pracy.

U wezgłowia. Wezgłowie. Kołdra. Łóżko. Poduszka. Minutę później już spał, zwinięty w pozycji, w której oczekują swego przyjścia na świat wszystkie embriony na świecie, od ludzkich po rybie.

Nazajutrz długo nie mógł wstać, jak gdyby trzymały go czyjeś białe, ciepłe łapy schowane pod prześcieradłem. Musiał zrezygnować ze śniadania, ogarnął się błyskawicznie i zdążyłby do pracy, gdyby nie poranny lęk, który codziennie zabierał mu sporo czasu: wciąż wydawało mu się, że zapomniał wyłączyć gaz, wobec czego nieustannie wracał i wracał do kuchni, już w butach, i dopóki nie zaczynały boleć go oczy, wpatrywał się w przeklęte pokrętła na kuchence. Kiedy w końcu zamierzał przekroczyć próg, już opuszczającego mieszkanie znowu dosięgał lęk: z niezwykłą wyrazistością wyobrażał sobie żonę, która beztrosko śpi, a powietrze wokół niej wypełnia niewidzialna i straszna trucizna. Kałtunou otwierał drzwi, wracał i ponownie wbijał wzrok w szereg nieszkodliwych na pozór kółek, na których punkciki – wydawałoby się – tylko czekały, żeby podskoczyć do góry tuż po wyjściu Kałtunoua.

Jakże łatwe były poranki, kiedy żona budziła się wraz z nim! Nie musiał marnować czasu na uspokajanie swoich fobii. Najczęściej jednak żona jeszcze spała. I dzisiaj zegarek pokazywał już ósmą, gdy Kałtunou, w myślach płacząc na pogrzebie żony, wyszedł na mróz, pod światło niegasnącej żarówki.

– No właśnie, jak się ją gasi? – pomyślał sennie, pokonując pagórek przed szkołą. Dalej czekała go kontynuacja porannych koszmarów – przystanek trolejbusowy. W wyobraźni Kałtunoua miejskie rogi tych bestii już kołysały się w dole, już stukały zębami ich drapieżne szczęki… Kałtunou ominął łukiem szkołę i ujrzał nowe poważne zagrożenie. Z żelaznego kurka sterczącego obok ścieżki za wiciami zmarzniętej leszczyny tryskał cienki strumyk gorącej wody. Opadała na śnieg, powoli tworząc pod kurkiem szeroką czapę lodową, przejrzysty placek z małym wirem wrzątku pośrodku. Kałtunou zafrapowany najpierw minął kurek, ale potem wrócił i spróbował go zakręcić. Ręce w rękawicach ześlizgiwały się i trafiły pod strumień wody. Zdjął rękawice. Przed oczami stanęły mu pokrętła kuchenki. Okrutne zimno, które jednak sadystycznie obiecywało palącą wieczną ciepłotę za kilka minut – oby tylko wytrwać! – przeszyło dłonie. Kurek chyba się poddał, ale tylko na kilka centymetrów. Kałtunou wciągnął w płuca gorącą parę i ruszył na przystanek.

– Dzisiaj w nocy powiedziała, że jest mu lepiej – podzielił się informacją z Kością, kolegą wtajemniczony w jego problemy. Sie-

dzieli w stołówce placówki naukowo-badawczej, w której czasami jadali. Redakcja wynajmowała tu pomieszczenie piętro wyżej.

– Komu?

– No, temu muzykowi. Przyszła o północy, położyła się jak gdyby nigdy nic. Bulion, powiedziała, zjadł. – Kałtunou uśmiechnął się i w zamyśleniu dożuł parówkę. – Po raz pierwszy od trzech dni.

– Dzieci wam trzeba – powiedziała nagle Baszmakowa z działu reklamy. Kałtunou zaskoczony podniósł na nią oczy. – Po prostu chce się kimś opiekować, chce, żeby ktoś był kapryśny i hałaśliwy, po kim trzeba… A ty masz za mało potrzeb. Dzieci, tylko dzieci.

Kałtunou ze zdziwieniem zerknął na Kościę, lecz ten spuścił oczy i wziął tacę.

– Dzieci – krzyknęła za nimi Baszmakowa i zwycięsko zerknęła na skierowane ku niej głowy.

Żona zadzwoniła po południu. Kałtunou już miał postawić kropkę i schylony nad klawiaturą zastanawiał się, czy mimo wszystko nie dodać kilku krytycznych uwag.

– Znowu jest mu gorzej – powiedziała i jakby przepraszając, dodała: – Posiedzę dzisiaj u niego do rana, dobrze?

Kałtunou chrząknął coś niezrozumiałego; na monitorze, za czarnymi linijkami, które wydobyły się z niego w ciągu kilku popołudniowych godzin, zobaczył kurek w rudej łusce rdzy i wodę spadającą w śnieg jak mocz. W słuchawce usłyszał sygnał. Długo zamykał drzwi, znowu i znowu sprawdzając, czy w dziurce od klucza błyszczy metalowy języczek.

Idąc obok szkoły, tym razem postanowił nie patrzeć w stronę krzaków, jednak ktoś zawołał z ciemności, właśnie stamtąd, gdzie dzisiaj o ósmej uprawiał poranną gimnastykę.

– Proszę pana, czy mogę prosić o pomoc?

Kałtunou przyśpieszył, ale zawołano znowu.

Obok kurka stał z rozłożonymi rękami w nienaturalnie dużych rękawicach dziadek z rodzaju tych, co zawsze wtrącają się w nie swoje sprawy.

– Co to się dzieje, prawda?

Napierając całym ciałem i słysząc przekleństwa dziadka, Kałtunou znowu spróbował zakręcić kurek. Przemoczył jednak spodnie, więc do klatki schodowej podchodził już z lodową

skorupą na kolanach. Zanim się położył, wrzucił do torby klucz do nakrętek.

Żona wróciła, kiedy rano zakładał już buty: miała podkrążone oczy, byle co na głowie, jakąś chustę.

– Nie wiem, co robić – pośpiesznie ucałowała go i znużona poszła do kuchni. – Powiedziałam mu: musisz iść do szpitala, a on nie. Trzeba będzie zwolnić się dzisiaj z pracy.

Kałtunou bez słowa wyszedł z domu.

Tym razem ominął szkołę z innej strony i w ten sposób mógł chyłkiem podejść do kurka. Po jakichś dwudziestu minutach udało mu się zakręcić go prawie do połowy; jakaś nauczycielka, idąc zamarzniętą ścieżką w kierunku wejścia, krzyknęła z aprobatą:

– Trzeba tak było już dawno!

Strumień rzeczywiście bił z mniejszą siłą. Spocony Kałtunou schował klucz do torby i pobiegł na przystanek, czując niesamowity zapał. Trolejbus był w połowie pusty, metro wydało się przestronniejsze. Kałtunou spóźnił się do pracy ponad półtorej godziny. W korytarzu spotkał redaktora, a ten nawet go nie pozdrowił.

Wieczorem znalazł na stole kartkę od żony: „Przyjeżdżała Kaśka. Liska jest w szpitalu. Pierogi masz w lodówce. PS Tam jest napisane, jak je ugotować”. Kałtunou długo brał prysznic. Cały czas wydawało mu się, że woda nie jest wystarczająco gorąca, więc kręcił i kręcił kurkiem, dopóki nie poczuł, że jeszcze trochę i żywcem się ugotuje. W pewnym momencie usłyszał, że ktoś dzwoni do drzwi, ale nie chciało mu się wyłazić spod prysznica, jakby ten był ciepłą kołdrą. Owinął się w szlafrok, napił koniaku i prawie zasnął w kuchni.

Następnego dnia kurek bronił się jeszcze skuteczniej. W pewnej chwili Kałtunou chciał nawet zrezygnować z walki, zrozpaczony chwycił klucz i już miał iść na przystanek, gdy nagły powiew wiatru skierował strumyczek wody akurat na jego buty, co zmusiło go do jeszcze jednego wysiłku i pozwoliło wygrać o kilka milimetrów. Żona zadzwoniła do pracy. Postanowiła, że dopóki Lisica jest w szpitalu, zamieszka u Kaśki – stamtąd do szpitala obwodowego były dwie przecznice. Kałtunou zadziwiająco spokojnie wysłuchał wyników badań – niestety, na razie nie napawały optymizmem – i przekazując Kaśce pozdrowienia, odłożył słuchawkę.

Nazajutrz z przyzwyczajenia, po siedmiokrotnym sprawdzeniu pokręteł na kuchence, pobiegł do kurka. Mróz znacznie osłabł, śnieg stał się łamliwy jak czekolada, ale mimo to Kałtunou kilka razy poślizgnął się zanim doszedł do krzaków. Na szkolnym boisku stały oparte o drążek narty, obok krążył jakiś drab. Pracując przy kurku na zmianę, osiągnęli to, że woda już tylko kapała. Wieczorem zmartwiony Kałtunou dwa razy chodził do szkoły sprawdzić, czy jutro nie trzeba będzie zaczynać wszystkiego od nowa. Jednak z kurka z przyjemnymi i możliwymi do przyjęcia przerwami kapały na topniejący, rozmiękczony lód wciąż takie same ciężkie krople.

Rano na klatce schodowej spotkał sąsiada. Ten był widocznie zadowolony, że na przystanek pójdą razem, i zaczął coś opowiadać o swoim nowym samochodzie. Jednak pod żarówką Kałtunou pożegnał się i ruszył ulicą w dół. Odczekawszy, aż rozczarowany sąsiad pokona mokre schody, sprytnie poszedł wzdłuż szkoły i postał chwilę, chowając się za jej długą ścianą. Zaciekawione dzieci przyglądały mu się przez okno, a młoda nauczycielka z rozdrażnieniem zaciągnęła zasłony. Kałtunou powoli podszedł do kurka i zdjął skafander. Lód prawie się roztopił i wystawała spod niego goła wyspa brudnej, brunatnej trawy, na którą padały mętne krople. Zmrużył oczy, postał chwilę, a potem obiema rękami złapał i obrócił zawór. Ogarnęła go niewiarygodna ulga, pochwyciła, rzuciła gdzieś w bok i poniosła nad ulicą, nad wszystkim tym ruchomym, falującym, nieustannym i hałaśliwym, ciepłokrwistym i wibrującym, co nieuchronnie podążało w kierunku metra.

Tłumaczyła Maryja Łucewicz-Napałkow

SŁUCH ABSOLUTNY

W łacinie medycznej nosi nazwę *tragus*. Jest to chrząstka pokryta skórą, dekoracyjny strażnik wejścia do jaskini ludzkiego ucha, w której swoją uroczystą pracę wykonuje najdziwniejsza z istniejących na świecie kuźni. Prawie bezużyteczna, prawie atawistyczna, czasem wcale niedostrzegalna, tym niemniej wykorzystywana jeszcze przez niektórych z nas w określonych celach; z absolutną wiernością powtórzona w niewidocznej bliskości od swojego posterunku, pomyślana raczej na wypadek nieubłaganej pustyni niż zawsze gotowych do kompromisu ciasnych miast w lusterku wstecznym; kropla barbarzyństwa w barokowej małżowinie ucha zewnętrznego – tragus. Można przycisnąć palcem jeden z nich, ściszając otaczający świat, pozbawiając go na jakiś czas dźwięku stereo; można jednocześnie obydwa. Można też przeganiać swoje tragusy tam i z powrotem, raz zabierając palce, a raz wpychając je do uszu, zmuszając ulicę do obrzydliwego kwakania, przekształcając wszystko w kawał, w śmiechu wartą, niedorzeczną grę.

Oto ja, naiwny, z napięciem przyciskam teraz obydwa swoje tragusy, próbując chociaż na chwilę wyłączyć ten nieznośny krzyk za ścianą. Przyciskam, zapominając o tym, że dźwięki raz usłyszane mogą brzmieć w uszach przez długie lata. Bo tragus to żołnierz z rekwizytów teatralnych, natychmiast zapomina o przybyszach z narzędziami tortur, którzy prześlizgnęli się obok. Wrzask słyszany zza ściany rozdziera mnie od środka. A ja przyciskam i przyciskam tragusy dopóty, dopóki nie zaczynają swędzieć do bólu, ale mimo wszystko z dźwięcznej ratowniczej waty powoli wysuwa się wycieńczony pysk okropnego krzyku.

Siedząc tak przy stole i trzymając swoją ciężką głowę w rękach niczym piłkę do gry w koszykówkę przed rzuceniem jej do kosza, nie od razu rozumiem, co tym razem mówi do mnie Albinos: jego twarz podpływa ku mnie z boku, pochylona niemal dotyka do mojego nosa; usta Albinosa poruszają się i błąkający się na nich obrzydliwy, jednokomórkowy uśmiech powoli zastyga:

– Co? – spiesząc się, przechwytuję go w cudzysłowie: – Co? Dłużej nie mogę! Zaraz umrę! Powiedz im, żeby przestali! Proszę cię, powiedz im!

Zabieram palce ze skroni. Na kilka chwil zrobiło się cicho, jak gdyby specjalnie po to, abym mógł wypowiedzieć te pokorne słowa. Jednak gdy tylko zamilkłem, jęk za ścianą rozległ się z nową siłą. Albinos z uśmiechem siada przede mną na krześle, napiera piersiami na oparcie, kładzie na nim ręce, patrzy na mnie czule-drwiąco; nie ma brwi.

– Czyżbyś słyszał? Myślałem już, że ogłuchłeś. Tak zaciskałeś uszy, myślałem, że ci dziurki zarosną!

Śmiech Albinosa jest chrupiący, suchy – taki dźwięk wydaje gnieciona pusta, nowa reklamówka. On toczy czerwonawymi oczkami i tupie nogą z zadowoleniem w takt krzyku z sąsiedniego pokoju. Albinos ma na sobie podkoszulek zapaśniczy i granatowe szorty, tak szerokie, że kiedy siada, nadymają się pomiędzy nogami jak prawdziwy balon. O, gdy przebywaliśmy razem, zdążyłem dobrze przyswoić sobie jego wygląd wiecznego chłopaczka. Zapach jego drogich perfum wsiąkał w każdą fałdę mojej skromnej garderoby, przyzwyczaiłem się do tego, że często szczypie się za lewy sutek, rozmawiając przez telefon, zdążyłem znienawidzić jego ciało pozbawione jakichkolwiek cech roślinności – jedno moje nozdrze ma więcej włosów niż on cały. „Nieudacznik" – powiada Albinos czule i szarpie mnie za płatek ucha, dopóki ja – za trzecim razem – nie zatykam swoimi tragusami storturowanych kanałów słuchowych. Daje mi to chociaż iluzję, że nic nie słyszę.

Nieudacznik. To prawda, że zawsze miałem pecha. To prawda (niepohamowany krzyk) (buja się) zawsze (pomiędzy moimi) miałem pecha (tragusami), to prawda (jak akrobata), że (pod kopułą cyrku) zawsze (na trapezie) miałem pecha (rytmicznie pukając w czaszkę). Nawet jestem zadowolony, że się nie ożeniłem, że nie mam dzieci, że traciłem przyjaciół jednego po drugim, jak gdyby w mojej duszy ziała dziura, do której wpadali z godną pozazdroszczenia konsekwencją – jestem zadowolony, bo cień mojego fatalnego pecha bez wątpienia dotknąłby także ich, a teraz źle jest tylko mnie, podążającemu zakurzoną polną drogą, pozostali wybrali się pociągiem. Apogeum mojego pecha przypadło na dzień, kiedy staliśmy w bojaźliwym tłumie, tam na dole, na ganku: brudno-brunatne posągi w cienkich koszulach ze śniegu, obok których opowiadaliśmy sobie wtedy wulgarne kawały – i teraz mogę je zobaczyć, wystarczy tylko unieść się nad biurkiem i odsunąć firankę. Al-

binos przybył chyba z ostatnią grupą, miał na sobie te same szorty i podkoszulek. Zachowywał się tak bezceremonialnie, że nasza paczka zamilkła: każdy bał się mieć go za sąsiada. A ja, od razu gdy tylko go zobaczyłem, natychmiast zrozumiałem: to będę właśnie ja. „Czego się gapisz?" – rzucił mi, kiedy zaczęto dzielić nas na pary. A ja nie mogłem oderwać wzroku od jego czerwonych jak na zdjęciach oczu.

– Powiedz im! No powiedz im! Niech przestaną! To jest nie do wytrzymania!

– Nie do wytrzymania? – Albinos wzrusza ramionami. – Nie powiedziałbym. Zresztą możesz przecież wyjść z pokoju. Nikt cię nie trzyma.

Bezsilnie i cicho wyję, zamykając książkę. Krzyki trwają nadal, przeraźliwe, bolesne. Nawet w tym momencie jest mi przykro z tego powodu, że znowu zapomniałem założyć stronę – potem trzeba szukać, a przecież nie są numerowane, kilka tysięcy stron grubaśnej książki. Pozostaje tylko, jak zawsze, ważyć na dłoni papier, żeby chociaż w przybliżeniu określić umiejscowienie wyrazów, na których się zatrzymałem. Trudne zajęcie, wymaga w dodatku skupienia, a tego prawie nie da się osiągnąć w pokoju, gdzie za ścianą ktoś tak rozpaczliwie wrzeszczy. Wyobrażam sobie, że jestem plecami, obnażonymi plecami, które bezlitośnie chłoszcze automatyczny bat. Nagle Albinos podnosi się z krzesła – jedynie po to, aby zerwać kiść winogron nad łóżkiem.

– Chcesz? – patrzy na mnie pytająco. – No to jak chcesz. Też wolę ciemne, ale nie wypada wybrzydzać, prawda?

Otwiera usta, a mnie się wydaje, że owoce same wskakują mu między zęby. Kładę głowę na książce.

Już pierwszego wieczoru naszego pobytu tutaj wyjaśniło się, że Albinos najbardziej lubi grać i zwyciężać. Byłem niezmiernie zdziwiony, gdy ta przysadzista istota nagle wyjęła z niedużej walizki mnóstwo rozmaitych fantów: miał tam malutkie szachy podróżne na magnesy i takie same warcaby, miał tryktrak i go, karty pornograficzne i grę „Zapędź kulkę", tamagotchi i domino, rzutki z kompletem tarcz, różne gierki dziecięce podobne do wyścigów samochodowych i całą torebkę kości, stołową piłkę nożną i nawet plastikowy rewolwer z sześcioma kulami. Cóż, chcąc, żeby Albinos jak najszybciej się ode mnie odczepił, przegrałem z nim w każdej z tych gier po kolei: w warcaby gra-

liśmy głęboką nocą, chociaż strasznie chciało mi się spać, tym bardziej że obydwaj mieliśmy za sobą naprawdę długą drogę. Po stwierdzeniu, że żaden ze mnie gracz, zasmucony Albinos zaproponował siłowanie się i wygrał ze dwadzieścia razy z rzędu. Wtedy wpadł we wściekłość i zawołał administrację, domagając się bardziej konkurencyjnego sąsiada. Oczywiście odmówiono mu. Żeby dogodzić Albinosowi, szczerze starałem się o rewanż w szachach, najbardziej intelektualnej, jak sądziłem, grze z nam dostępnych – i dostałem mata już w trzecim ruchu.

Takie wspomnienia trochę pomagają mi wytrzymywać krzyk. Kiedyś lubiłem swoje ciało, które odczuwałem jako zwinne i wytrzymałe, ale teraz sporo bym w nim zmienił. Tak, zmieniłbym. Na przykład zamieniłbym swoje tragusy na coś bardziej przydatnego. Organizm ludzki posiada ważną cechę: jeśli przez długi czas oddziaływać na dany narząd zmysłu, przestaje on reagować na bodziec albo przynajmniej reaguje coraz słabiej. W ten sposób życie chroni się przed przeciążeniami. No nie wiem, nie wiem: na razie wrzask zza ściany w żaden sposób nie stępił mojej wrażliwości – przeciwnie, wyostrzył biedny słuch do granic wytrzymałości. Bez końca strzepuję z kolan metalowy kurz. Przecież nie można przywyknąć do okrzyków bólu?

Wypluwając w pięść ostatnią pestkę, Albinos kładzie się na moim łóżku i zamierza chyba uciąć sobie drzemkę. Nie mam żadnych wątpliwości, że jest to krzyk bólu – niczym muzyk mogę dzisiaj rozpisać dźwięki tortur na partie. Za ich podstawę służy pierwotny, prymitywny i wszechobecny ból, proste i jednoznaczne zawiadomienie świata o tym, że jedną jego cząsteczkę opuściła harmonia, wzleciała gdzieś do góry, rozwinęła skrzydła – i zniknęła. To nie jest zbyt interesujące, lecz dalej następują szczegóły: fantazyjnym, dziwacznym splotem, cyklicznym wzorem na białym bólu wycięty jest wiersz o tej diabelskiej soli, którą posypuje się pierwotną ranę – właśnie owa sól nadaje krzykowi różnorodne modulacje i piskliwe nutki, zachłystywanie się i ryczenie. I wreszcie to, dokąd prowadzi ofiarę drogowskaz bólu – nienawiść do wszystkiego, co mogłoby być źródłem męki, co znajduje się poza bólem, co go nie odczuwa, co jest go pozbawione. Stan, w którym ofiara staje się niesterowalna.

– Ale co muszę zrobić, aby to się skończyło? Powiedz, co? Czego ode mnie chcesz?

Albinos otwiera jedno oko i patrzy na mnie sennie, potem z rozczarowaniem je zamyka i odwraca się na drugi bok, jak gdyby mówił: „O czym z tobą gadać?".

– Jeśli chcesz, urządzę histerię jak baba – o to ci chodzi?

Albinos pochrząkuje z pogardą.

– Jeśli chcesz, obetnę sobie uszy. Czy muszę dobijać się do drzwi, żeby zobaczyć, kogo wy tam…? Powiedz im, Albinosie, przecież to ty im kazałeś, no nie?

Albinos milczy. Jedna jego noga leniwie ściąga z drugiej kapeć. Nieustanne krzyki zza ściany przeszkadzają mi, wszystkie te pełne wyrzutu słowa wymawiam z trudem. Aż mnie boli, chyba dlatego że właściwie też powinienem lamentować, a nie zajmować się głupim gadaniem. Bezsilnie ogarnąłem spojrzeniem pokój, jego granatowy kolor nie pozwala mi przypomnieć sobie, jak nazywają się inne kolory: przede mną stół i krzesło, pod parapetem niska szafa, na prawo od niej umywalka, krok dalej łóżko, na którym leży odwrócony plecami mój sąsiad. To, że ma na sobie wszystko granatowe i niebieskie, od dawna nasuwa mi podejrzenia, że Albinos znalazł się tu nieprzypadkowo. Wiem, że jego pokój wygląda dokładnie tak samo. Prześlizguję spojrzeniem po fioletowym parkiecie.

– Słuchaj, zagrajmy w coś, a jeśli wygram…

Nie wiem, czemu to powiedziałem. Moje słowa zagłuszył kolejny dziki krzyk – tak chyba krzyczą ludzie zarzynani nożem i Albinos mógł wcale nie usłyszeć, co powiedziałem. Jednak usłyszał, sprężyna wszechwładnego hazardu wyprostowała go na łóżku. Wstaje gwałtownie i kieruje się ku drzwiom do swojego legowiska, mamrocząc coś z satysfakcją. Pewnie idzie po walizkę.

– Poczekaj! – schylam się ku podłodze. – Patrz!

Na górze już od dawna ktoś denerwująco stuka – widocznie rozmawiamy zbyt głośno, próbując przekrzyczeć ciągły wrzask. Na mojej dłoni leży prosta biała kostka do gry, ze sztucznego tworzywa, daleka spadkobierczyni rzymskich kostek. Chyba wtoczyła się do mojego pokoju podczas jakichś ćwiczeń Albinosa. A może mój sąsiad upuścił ją i nie chciało mu się jej szukać – często chodzi tam i z powrotem, potrząsając kostką w dłoniach: ćwiczy w oczekiwaniu na mocnych przeciwników, god-

nych konkurentów. Krzyki za ścianą znowu się nasilają, na sekundę dotykam swoich tragusów, tak jest mi łatwiej.

Kostka leżała szóstką do góry. Podnoszę dłoń do samego podbródka Albinosa, nabieram w płuca więcej powietrza i mówię:

– Wyrzucę sześć razy szóstkę…

Śmieje się i chce coś powiedzieć, ja jednak mrużę oczy i kontynuuję:

– Sześć razy szóstkę i jeśli to zrobię, za ścianą będzie… będzie…

Nagła łza kręci mi się w oku, czyniąc wszystko dookoła nierzeczywistym i chwiejnym:

– Cicho! Cicho, cicho – uspokaja mnie Albinos, jednocześnie przyglądając się kostce podejrzliwie: czy nie ma żadnych występów, wgnieceń, pęknięć, tego wszystkiego, co mogłoby pomóc mi zwyciężyć. Kładę rękę na książce, jakbym chciał złożyć przysięgę, jakbym prosił o wsparcie siły wyższe. Co za bzdury.

– Zgoda – Albinos zwraca mi kostkę i wygładza błękitny jak niebo obrus na stole. – Zaczynaj. Tak *á propos*, wygrałeś coś kiedyś na loterii?

Patrzę na Albinosa, nie rozumiejąc. Kostka w moich złączonych dłoniach wywija swe arabskie tańce. Nie potrafię odpowiedzieć. Nie będę mu przecież tłumaczył, że nigdy nie brałem udziału w żadnej loterii z tego prostego i śmiesznego – być może – powodu, że było mi wstyd i nie chciałem niepokoić losu z tak błahego powodu. Rozluźniam dłonie. Kostka podskakuje i prawie spada ze stołu.

Albinos się śmieje.

– Szczęściarz! No, głupki zawsze mają szczęście. Na początku.

Mówi coś jeszcze, już na serio, widzę, jak mu drga dolna warga. Kiedy ten głos wreszcie zamilknie, kiedy przejdzie w chrypienie z bólu, bólu bez końca, bólu bez celu. Bez celu? Czyżbym minutę temu stał się jego sensem, jego usprawiedliwieniem? Czyżbym dał mu nadzieję na złożenie ofiary, która zniszczy nas obydwu, gdy tylko poluzują się pęta? Albinos siada na krześle.

– Bardzo chcę wierzyć – słyszę – że jest to *fair play*. Czysta gra. Że grasz za siebie, a nie za…

Wskazuje kciukiem za plecy.

– W przeciwnym razie to walka… a ja nie zamierzam z nikim walczyć. Jestem graczem, rozumiesz? Graczem!

Dumnie podnosi głowę.

– Możesz być spokojny – moje błagalnie złożone dłonie mimowolnie wpadają w dziwny rytm, którego wcale nie chce mi się zakłócać. – Możesz być spokojny. Po prostu chcę, by zrobiło się cicho. Gram sam za siebie. Wszystko mi jedno, co tam robią twoi… Po prostu muszę się skon-cen-tro-wać!

– Rzucaj – ze złością odpowiada Albinos. – Rzucaj już, przecież to nie karty do tasowania. Sześć. No, kurcze.

Ni stąd ni zowąd zawiązuje się między nami niepojęta, przejrzysta nić życzliwości – grubawa, krótkotrwała, ale mimo wszystko życzliwości, duchowa więź kata i ofiary. Albinos kładzie rękę na moim ramieniu i gdyby nie krzyki, które z nową siłą rozbijają się o wątłą burtę mojego rozumu, naprawdę żartobliwie trąciłbym go pod żebra. Pokój nagle zaczyna pląsać mi przed oczami, chwytam się rękami brzegu stołu, zamykam oczy. Dobrze słychać uderzenie kostki o stół, dokładnie między dwoma krzykami – jeden o ton wyższy od drugiego, piekielna gama.

– A niech cię! – stęka zachwycony Albinos. – Sześć! Chodź, niech cię ucałuję!

Powoli otwieram oczy. Granatowa odzież Albinosa brudną plamą rozpełza się po moim pokoju koloru młodej trawy, nadając otoczeniu charakter czegoś błotnistego, grząskiego i przydennego. Za oknem robi się ciemno, nieprzytomnie, drętwo i już nie widać drogi, którą kiedyś przywiózł nas tutaj stary autokar. Albinos kręci w rękach kostkę, potem chowa ją do kieszeni.

– Nigdy nie pracowałeś w szpitalu? – biorę się za tragusy. – Lub w rzeźni?

– Nie – nieuważnie rzuca Albinos i wyjmuje skądś inną kostkę. – Rzucaj teraz tę. Jest taka sama. Nawiasem mówiąc, paskudnie od ciebie jedzie. Kozłem…

Nie patrząc, rzucam i zaglądam Albinosowi w oczy:

– Cztery do zera.

– To się nie liczy! – wrzeszczy. – Rzucaj zgodnie z regułami.

I kostka znowu skacze w moich dłoniach. Wiem, choć nie wiem skąd, że i ta kostka mnie nie zdradzi – i tak jest, bestia o sześciu plecach upada jak trzeba. Albinos spluwa mi pod nogi.

– Za kogo mnie uważasz? Mądry jesteś, co? Myślisz, że nie znam waszej braci? Chcesz mnie zrobić w konia?

Jednak potem Albinos się uspokaja, bezsilnie siada na krześle i nieuważnie śledzi, jak wyrzucam drobniaki zwycięstwa z kieszeni losu. Kostka toczy się do krawędzi stołu, ani moja ręka, ani ręka Albinosa nie zdążają jej przykryć, chwytają się na żółtym obrusie, stykają się, splatają palce… Dotykając się czołami, słuchamy jak kostka toczy się po podłodze. Zatrzymała się metr od drzwi do pokoju Albinosa. Wstaję, ale gruba ruda ręka chwyta mnie w poprzek piersi i odpycha od łóżka – zresztą dosyć ostrożnie. Padam zbyt długo – zdążam się uśmiechnąć i zaszlochać, i wytrzeć z policzka coś podobnego do żółtego kogla-mogla, a kiedy się podnoszę, dookoła mnie z przestrachem wirują suche liście. Jednym krokiem doganiam Albinosa i chwytam go za kark – już schylił się nad kostką i wyciąga ku niej łapę. Traci równowagę – moim zdaniem zbyt efektownie. Walimy się na podłogę i czuję jego ciężar, wreszcie siada mi na brzuchu i łapie za szyję. Jeszcze chwila – i jesteśmy pod stołem, ugniatamy jeden drugiego, lepimy siebie nawzajem, porządnie szarpiąc wystające części swoich ciał.

– Co to? – nieoczekiwanie chrypi Albinos. – Co tu masz? – i luzuje chwyt.

– Po łacinie nazywa się *tragus* – szepczę, wpatrując się w jego przestraszone źrenice. – To taka chrząstka, pokryta skórą…

Tłumaczyła Maryja Łucewicz-Napałkow

DZIEJE NAJNOWSZE POLESIA[9]

Rzecz jasna domyślam się, dlaczego mojej osobie poświęca się tyle uwagi. Chodzi o to, że ja – i to nie przypadek, o nie, lecz czyjeś prostopadłe podanie, wykonane ponad mokrym boiskiem tablic chronologicznych, ponad linią obrony czasu, podanie, które w okamgnieniu pozbawia mnie uciążliwego krycia i pozostawia samego w polu karnym przeciwnika – a zatem to właśnie ja jako pierwszy student naszego niewielkiego kraju mam odpowiadać na zestaw pytań nr 50.

Egzaminatorów jest troje i każdy z nich udaje, że nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Nic się nie stało, wszystko jest do tego stopnia trywialne, że nawet gdy nieoczekiwanie podnoszę wzrok znad ławki, ci trzej mężczyźni z przestrachem odwracają ode mnie swoje badawcze spojrzenia, jednak nie dość szybko, dlatego zawstydzeni, teatralnym szeptem, zaczynają rozmowę o wynikach wyborów w Rosji. Wszystko jest tak zwyczajne, że wkrótce do sali wchodzi dziekan wydziału historycznego i siada dokładnie za moimi plecami. Wszystko jest do tego stopnia nudne, że asystent, którego zupełnie przez przypadek wzywają do siebie członkowie komisji, zostawia na ławce rozłożony podręcznik, otwarty dokładnie na tej stronie co trzeba – dając do zrozumienia, że mógłbym z niego bezkarnie skorzystać. A tak naprawdę wszyscy ci ludzie aż drżą z podniecenia, bo bardzo dobrze zdają sobie sprawę, że są świadkami historycznej chwili.

[9] Opowiadanie *Dzieje najnowsze Polesia* to nie tylko sarkastyczny komentarz do białoruskich prób osiągnięcia prawdziwej wolności i niepodległości politycznej, ale także aluzja do pewnych wydarzeń i tekstów, o których wiedzą i pamiętają raczej tylko Białorusini. W połowie lat 80. na białoruskim Polesiu poczyniono próby utworzenia odrębnego (mikro)języka literackiego – poleskiego. Próby te trwały do początku burzliwych lat 90., gdy zostały zmanipulowane przez KGB w kierunku nadania czysto kulturowemu ruchowi poleskiemu zabarwienia politycznego, w celu doprowadzenia do konfrontacji białoruskich działaczy odrodzeniowych „z Północy" z Poleszukami „z Południa". Manipulacja powiodła się całkowicie. Ruch poleski – który w międzyczasie próbował nadać sobie „jaćwieską tożsamość" – rozpadł się i zamarł. W roku 2000 Andrej Dyńko, jeden z uczestników ruchu, opublikował artykuł, analizujący to zjawisko z pozycji insidera. Artykuł miał żartobliwy tytuł *Dzieje najnowsze Jaćwingów* i Bacharewicz z pewnością nawiązuje do niego w tytule swojego opowiadania (przyp. Jan Maksymiuk).

To wszystko, o czym opowiadam, nie ma zbyt wiele wspólnego z piłką nożną.

Można ich zrozumieć, tych dorosłych, łysiejących, mądrych ludzi. Dla tej chwili, którą im niebawem – oho, już za niecałe dziesięć minut – podaruję, ludzie ci latami marzli na mityngach, z humorem wykłócali się z milicjantami na posterunkach, dziekali i ciekali[10], bali się o swoje dzieci i żony, płakali, pili wódkę, a przede wszystkim – codziennie wyciskali z siebie wrzód wątpliwości, który zawsze nabrzmiewał w najtajniejszych zakamarkach ich dusz, tam, gdzie w cieniu zewnętrznej pewności bezpiecznie ukrywa się dowolna słabość. A wątpliwości wciąż nabrzmiewały, zaogniały się, swędziały: czy warto o to walczyć?... czy warto kontynuować?... czy nie lepiej rzucić to wszystko dla dobra dzieci i uszczelnić okna na zimę? Tych fanatyków można zrozumieć, bo nasze małe państewko uosabia wszystkie ich marzenia. Ileż to nocy pod rząd surfowali po wolnej sieci, by wyłowić ten oto sen: student zdaje egzamin, przygotowując się do odpowiedzi na zestaw pytań nr 50, i musi odpowiadać po białorusku, i musi mówić prawdę, co zresztą sprawia mu przyjemność, bo widzi przez okno, jak na maszcie brzeskiego ratusza powiewa biało... tak, tak, biało-czerwono-białe płótno. I może cieszyć swe ucho odgłosem miarowego, równego marszu dobrodusznych żołnierzy wojsk NATO. A uczy się ten student, wbrew temu co twierdzą w Mińsku, praktycznie za darmo, w ubiegłym roku otrzymał od państwa stypendium, prawie tysiąc talarów, co wystarcza mu i na edukację, i na wynajęcie mieszkania w Prużanach – choć naturalnie nie wszystkim tak się wiedzie.

Kraj, w którym się urodziłem, przypominał boisko do piłki nożnej bez bramek, gdzie z trybun huczały więzienne śpiewki – to była kraina moich lat dziecinnych: chrupki kukurydziane w cukrze, mama i tata, w tym wieku człowiek jeszcze nie ma uformowanego organu do odczuwania nienawiści; kraj, w którym poszedłem na studia, był mniejszy i bardziej stra-

[10] Oznacza to, że uczestnicy demonstracji mówili po białorusku. Słowa te są określeniem autora na jedną z podstawowych cech odróżniających język białoruski od rosyjskiego: dziekanie – w miejscu rosyjskiego „d” występuje białoruskie „dz” lub „dź”, ciekanie – w miejscu rosyjskiego „t” występuje białoruskie „c”.

szny: kawalerka w chruszczowce[11] przerobiona na pokój tortur – o tak, tego kraju, o ile dobrze pamiętam, nienawidziłem już świadomie, z przekonaniem średniowiecznego fanatyka religijnego, nienawidziłem go od zawsze. Ciężko nawet opisać, jak bardzo nienawidziłem jego mieszkańców, języka, zwyczajów, potraw, krajobrazów. Odkąd pamiętam, zawsze czułem się tam nieuleczalnie chory na syndrom wrodzonego eurodeficytu, dusiłem się ściśnięty pośladkami ojczyzny. Fizyczna odraza do jej szarych kadrów niszczyła każdą próbę miłości, jej stalinowskie *empire*[12] ciążyło na piersi jak kamień; każde wydarzenie w tym państwie widziałem jako śliskiego płaza, obrzydliwego, z kawałkiem człowieczego mięsa w zębach, zwisającym z jego straszliwych, wilgotnych niczym podłoga w szalecie miejskim, nabrzmiałych warg, i ten płaz zawsze kręcił się dookoła własnej osi, plugawiąc osłupiałe otoczenie – do dziś uważam, że to najtrafniejsza, choć banalna metafora dla każdego, nawet najbardziej pokojowego przejawu istnienia mojego kraju. Na Twaroga i wszystkich mleczarnianych świętych, jak ja go nienawidziłem! Katastrofalnie brakowało mi Europy! Marzyłem tylko o jednym – przejść z plecakiem przez zachodnią granicę. Gotowy byłem stać się kimkolwiek: Polakiem, Niemcem, Grekiem, Włochem, Baskiem, Irlandczykiem, Litwinem, Węgrem, Farerem – byle tylko zmyć z siebie prawdziwe pochodzenie. Zacząłem się garbić od przygniatającego poczucia wstydu za dziesięć milionów swych rodaków. Mówili mi: fuj, Europa, nic tylko izolacja, globalizacja, dewaluacja, duma i uprzedzenie, międzynarodowe korporacje, bezduszni filistrzy, dla których jesteśmy niższą rasą, zachciało ci się Europy, tej sklerotycznej Fröken Bock[13]; mówiono mi: nigdy nie byłeś, nie widziałeś, więc naiwnie idealizujesz, wierzysz w bujdy, w bajki, a te bajki to często bójki z policją.

Nie słuchałem. A raczej zafundowałem sobie trzecie ucho, maskując je w gąszczu swojej czupryny, i całą gorzką truciznę

[11] Chruszczowka – nazwa ciasnych mieszkań w blokach, zwykle ze ślepą kuchnią, budowanych w ZSRR na przełomie lat 50. i 60. XX wieku, gdy I sekretarzem KPZR był Nikita Chruszczow.

[12] Ironiczne określenie budynków nawiązujących do stylu francuskiego cesarstwa, wzniesionych w Mińsku u schyłku epoki stalinowskiej.

[13] Fröken Bock (Panna Bock) – wychowawczyni Braciszka z serii opowieści o Karlssonie z Dachu Astrid Lindgren; niezwykle surowa stara panna.

moich rozmówców, całą ich nieprzyswajalną żółć zlewałem za jego pomocą do bezpiecznej komory nad mózgiem, gdzie rozkładała się na nieszkodliwe i obojętne substancje, ulatujące zaraz po zakończeniu tej krótkiej reakcji w uniformizujące, mdłe białoruskie powietrze. W tym czasie moje naturalne, przyrodzone uszy słyszały jedynie to, co chciały. Książki i Internet dawały mi może nieco wypaczony, tym niemniej atrakcyjny obraz Zachodniej Europy, który, jak sądzę, udawało mi się wyprostować do czegoś podobnego do rzeczywistości. Zgadzając się z faktem, że świat nie jest czarno-biały, a ludzkie wartości powstają jedynie w wyniku koniecznych wyborów, ze zgrozą zauważałem, że wszystko, co budziło moje zaciekawienie i sympatię, znajdowało się tam, w moim Eldorado. Wszystko, co chciałbym kupić na tym ogromnym targowisku rzeczy i uczuć[14], zwanym naszą planetą, znajduje się wszędzie, tylko nie tu; wszystko, co kocham, stworzono za granicą. Tam, gdzie żyłem, na półdzikie istoty człekokształtne polowały tylko ohyda, degradacja i gwałt; państwo z trzaskiem chrząstek dojadało trupy, sojusz bratnich narodów; kiedyś nawet widziałem tego trzygłowego mutanta z piaszczystej wydmy: zębate paszcze, dzida w ręku i stercząca pała, a powietrze wypełniały nie kończące się jęki hien i przewodniczących komitetów lokalnego szczebla. Szczerze starałem się odnaleźć na tym spustoszonym terytorium, na którym przyszło mi żyć, choćby ślad po czymś czystym i jasnym, lecz oprócz kamiennych bożków i baraków z pustaków, gęsto porozrzucanych po ojczyźnie, nie znalazłem niczego.

Wkrótce przyjaciele odwrócili się ode mnie, gdyż moja histerycznie entuzjastyczna reakcja na każdego przybysza stamtąd wydawała im się patologią. Cudzoziemcy doprowadzali mnie do bolesnej rozpaczy, byłem na granicy – jeszcze jednej szczęśliwej granicy, po drugiej stronie której świeci słońce – na granicy obłędu. Moje życie wyznaczał cosekundowy rytm wybijany gdzieś za plecami: Europa, Europa, tam, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem, gdzie samotność i wyobcowanie, gdzie nie ma przyjaźni i dobrosąsiedztwa, swojactwa i próżniactwa,

[14] W oryginale aluzja do VDNCh (Выставка Достижений Народного Хозяйства – Wystawa Osiągnięć Narodowej Gospodarki) – Rosyjskiego Centrum Wystawienniczego w Moskwie.

kolektywizmu i rękarękęmyjizmu. Nie wytrzymywałem do końca wyliczanki i już przy rękarękęmyje mnie ponosiło. Odwracałem się i wrzeszczałem: chcę bez sąsiedztwa, bez kolektywizmu, bez rękarękęmyjizmu... chcę bez was...! Ludzie milczeli i patrzyli na mnie ze współczuciem. Pewnego razu spędziłem wieczór w towarzystwie Holendrów, było ich ze dwudziestu, nie rozumieli ni w ząb po rosyjsku, rozmawiałem z nimi w raczkującej, kreolskiej angielszczyźnie – w roli tłumaczy z sukcesem wystąpiło dziesięć butelek białowieskiej i tyleż baterii piwa. Siedziałem podpity między rodakami i szlag mnie trafiał, że między sobą bez przerwy obrabiali Holendrom tyłki. A drodzy cudzoziemcy wzruszająco machali kończynami, uśmiechając się do nas życzliwie. A potem pożegnali się z gospodarzami i wyszli. Po kwadransie wyszedłem i ja. W metrze zasnąłem. Obudził mnie żywiołowy śmiech tuż nad moją głową i czyjaś wesoła rozmowa. Podniosłem wzrok. To rozmawiali moi Holendrzy, po rosyjsku, bez akcentu. Całą drogę do domu przesiedziałem ze wzrokiem wbitym w ziemię, oddychając w szalik, na końcowej stacji wyhaczył mnie milicjant.

Obłęd... obłęd... – ustępował na jakiś czas, gdy znikali cudzoziemcy. Wtedy grałem w piłkę. Może ktoś zna – FIFA’99, gra komputerowa. Cudowny symulator, choć dziś już nieco trąci myszką. Zacząłem zupełnie niewinnie, jakieś towarzyskie mecze bez chęci wygrania, pół żartem, pół serio, ale bezwiednie się wciągnąłem i wkrótce spędzałem godziny na wprawianiu sklonowanych debilów w ruch po zielonej, wirtualnej trawce. Szczerze mówiąc, do piłki nożnej i sportu miałem wtedy stosunek bardziej niż obojętny – w tamtym, minionym kraju sport pełnił rolę czegoś w rodzaju religii, więc naturalnie odpłacałem mu nienawiścią. Moja gra na wirtualnej murawie była czymś więcej niż futbolem. Pewnego wieczoru przed Bożym Narodzeniem odkryłem, że sam mogę tworzyć drużyny i wymyślać dla nich narodowe barwy, że mogę nawet zostać Matką Futbolu i rodzić wciąż nowe, zapłodnione moją fantazją drużyny, chrzcząc je według swojego widzimisię. Białorusi w spisie drużyn nie było, starłem więc z powierzchni ziemi Belgię i odtąd w belgijskich barwach biegała drużyna, której graczy ochrzciłem nazwiskami moich przyjaciół i ich krewnych. A następnego dnia na świecie zjawiła się Republika Poleska. Pod biało-

czerwono-białym sztandarem grało 16 drużyn: od Brześcia do Homla. Na wzór koreański nieliczne demokratyczne siły mojej rodzimej pustyni utworzyły na południu wolny i europejski kraj – tak oto dokonała się MOJA historia świata. Wyobraźnia w mig podsuwała potrzebne szczegóły. W Lidze Mistrzów nasz „Vitaut" konkurował z „Realem". Poleska drużyna narodowa walczyła o wejście do finału Mistrzostw Świata, naszego kraju nie uznawała już tylko Białoruś, Rosja i jakieś państewka na wschodzie w stanie permanentnej rewolucji. Polska telewizja informowała o ostrym kryzysie – nasi północni sąsiedzi próbowali siłą zawrócić Poleszuków do starego koryta. NATO po długich wahaniach wzięło nas pod swoje skrzydła. „Republika Czarnobylska" – tak nazywają mój kraj w serwisach informacyjnych na północy. Na początku było ciężko, ale wkrótce talar się umocnił, pojawił się wolny rynek – nigdy nie poruszałem się sprawnie w tych ekonomicznych gęstwinach. Ja tylko grałem w wirtualny futbol, a niewidzialny bakcyl wolności działał sam.

– Pytanie numer 50 – zaczynam cicho, ale pewnym głosem – „Powstanie Republiki Poleskiej i jej uznanie na arenie międzynarodowej". A więc w 2021 roku...

Słuchają mnie, przymknąwszy zmęczone oczy. Na kolejnych twarzach, jak piłka tocząca się od gracza do gracza, pojawia się ekstaza. Zwyciężyli. Jestem symbolem tego zwycięstwa. Opowiadam o wizycie amerykańskiego prezydenta, zapominam, w którym roku zaczęto wydawać poleskie paszporty, ale sprytnie to omijam, przechodząc do krytyki Rady. Twarze egzaminatorów zasępiają się – każdy z nich jest przecież jej deputowanym. Kraj mądrych historyków i marnych poetów, ale czego można się spodziewać, jeśli nasz prezydent jest autorem powieści historycznych. Dostaję ocenę, chyba najwyższą z możliwych, ale mało mnie to obchodzi. W Republice Poleskiej dyplom studiów wyższych to nie świętość. Dogania mnie dziekan z gratulacjami. To trzeci kraj, w którym przyszło mi żyć. Mam nadzieję, że ostatni. Rodzice zostali w tamtej, straszliwej krainie na północy. Tam mógłbym zostać malarzem albo muzykiem, pisarzem albo zabójcą. Tu będę menedżerem korporacji „Puma–Polesie" albo copywriterem w agencji reklamowej za czterysta dolarów tygodniowo.

Staję w drzwiach, odwracam się w kierunku egzaminatorów. Patrzą na mnie zdziwieni, prostacka, graficznie regulowana radość jeszcze świeci na ich pyskach – komputerowych pyskach z gry starej generacji.

Tłumaczyła Katarzyna Kwiatkowska

ТАЛЕНТ ЗАІКАНЬНЯ

ТАЛЕНТ ЗАІКАНЬНЯ

Я заікаюся. Усім тым нецярплівым, роспачным словам – вялікаму мноству словаў! – якія я хаваю ў сабе, вельмі рэдка надараецца магчымасьць пакінуць маю гартань безь перашкодаў. Я мог бы быць надзвычай красамоўным, стаць выбітным адвакатам або тэлежурналістам, пераконваць самых упартых моцаю свайго красамоўства, караць ці мілаваць – як пажадаю! – калі б ня гэтая непрыкметная, сапсаваная дэталь у маім арганізму, якая бразгае ўнутры, калі я, спатыкаючыся, бягу наўздагон адыходзячаму аўтобусу размовы.

Усё адбываецца так. Які-небудзь капрызны гук, найчасьцей *к* альбо *л*, што паслухмяна рушыць наперадзе падрыхтаванай фразы, раптам упіраецца шкоднымі лапкамі ў сьценкі гартані, моршчыцца, хныкае. Тыя, што йдуць ззаду, раздражнёна напіраюць, ціснуць небараку ў сьпіну, але паганы гук не здаецца. Ладны шэраг руйнуецца, суразмоўца адводзіць вочы ці наадварот, заахвочвальна хітае галавой, ветліва чакаючы, пакуль я ўсё ж выкажу тое, што хацеў. Але думкі ягоныя ўжо не перасякаюцца з маімі, ён думае адно пра маё заіканьне. Я адчуваю, што не магу выказаць неабходнае гэтак прыгожа і абгрунтавана, як хацеў, і мяне трасе ад панічнага страху. Ліхаманкава я спрабую сказаць тое самае іншымі словамі, і часам гэта атрымліваецца. Але куды падзелася мая гіронія, прыцэльная дарэчнасьць сказаў, дасьціпнасьць і спакой у голасе, якія толькі што гатовыя былі напавал ачараваць суразмоўцу? Гутарка страчвае сэнс, чалавек насупраць недаўменна глядзіць на мяне, шкадуючы й пагарджаючы адначасова, і неўзабаве сыходзіць, уносячы з сабой свой дар вымаўляць гукі гэтак жа лёгка й натуральна як дыхаць, — вялікі дар, усё шчасьце якога яму ня дадзена ўсьвядоміць ніколі.

“Гэта не хвароба... так, — дэфэкт маўленьня,”–кажа мне сябра майго прыяцеля. “Імпатэнцыя – значна больш страшная рэч,” – адгукаецца на гэта, усьміхаючыся брыдка ў вусы, мой далёкі сваяк. “Лепш бы я заікаўся,”–шэпча мне сьляпы. “Ад гэтага яшчэ ніхто не паміраў,”–кладзе сваю руку на маю знаёмая майго знаёмага. Як я ненавіджу гэтае спачуваньне!

Я сьмяюся разам з усімі, калі распавядаюць показкі пра заікаў, але ў гэты момант мне пакутліва карціць давесьці ўсім вам, што маё заіканьне – гэта часова, гэта толькі калі я ўсхваляваны, а так я гэткі ж балбатун, як і вы. Але сам распавесьці показку я ня

здольны. Спрабаваў – успамін пра тую ганьбу дагэтуль прымушае мяне заікацца яшчэ мацней. Часам я забываюся і пачынаю трэсьці языком: “Слухайце анэкдот...”, але тут жа сяброўская рука мякка кладзецца мне на плячо – лепей ня трэба. Той натужны, фальшывы сьмех, які яны выціскалі зь сябе, зь цяжкасьцю дачакаўшыся фіналу, надоўга адбіў у мяне ахвоту размаўляць навогул. Але ж мой анэкдот быў сьмешны. Дужа сьмешны. Я належу да праклятага племені заікаў, да тых людзей, мову якіх на пісьме, як жаўнеры ў ачапленьні, найбольш удала перадаюць значкі, што адзьдзяляюць літару ад літары:”л-л-л-літару ад л-л-л-літары”... Нашая мова ў тэксьце гэтак жа кідаецца ў вочы, настолькі ж прыкметная, быццам двое з нас гучна загаварылі, стоячы ў самай гушчыні натоўпу. Нас заўжды абіраюць нікчэмныя пісьменьнікі, каб ачалавечыць нейкі пэрсанаж, які зусім не атрымліваецца жывым. Вось гэты будзе лысы, гэты – з хранічным насмаркам, а гэты будзе заікацца. Глядзіш – і паверыць чытач.

І ўсё ж пісьмо прыдуманае дзеля нас. Тут мы адрываемся напоўніцу, тут для нашай дасьціпнасьці, нашага гумару, нашай чуласьці да мовы – прастор і воля, тут нашае каралеўства. Літары вынайшаў заіка. Але паспрабуй пачытаць услых перад уважліва замерлай аудыторыяй напісанае табой – якімі б таленавітымі не былі створаныя табой радкі, праз колькі хвілінаў слухачы пацягнуцца да выйсьця. Нават тыя, хто, накшталт цябе, адзначаныя таўром заіканьня.

Ад заіканьня яшчэ ніхто не паміраў...

Неяк я цэлы год жыў са сваім дзедам у ягонай прапахлай лекамі, аблезлай аднапакаёвай кватэры. Дзеда маё заіканьне аніяк не кранала, ён зусім звар’яцеў, амаль не ўставаў, не адказваў на пытаньні, еў адно бульбяное пюрэ, якое я з тае пары зьнелюбіў страшэнна – столькі давялося перамясіць варанай бульбы, што я ўскокваў па начах, з намаганьнем выдзіраючы сябе з аднаго й таго ж сну: ляжу на сваёй канапе ля халадзільніку на кухні, ня у стане паварушыць рукамі, залепленымі цьвярдзеючым, як цэмэнт, пюрэ, а са столі зьвісаюць і гайдаюцца па-нада мною нейкія жалезныя трубкі, зь якіх паўзуць каўбаскі ўсё той жа густой жоўтай кашыцы. Дзед рос у сваім ложку як пустазельле, глыбока пусьціўшы ў прасьціну карэньне. Уражаньне было яшчэ мацнейшым ад таго, што нават рукі дзед уздымаў загорнутымі ў коўдру, а калі ён варочаў галавой, разам зь ёй, як цьвікамі прыбітая, варочалася й падушка. Улюбёным ягоным заняткам было разглядваць столь з-

пад сваіх густых брэжнеўскіх броваў. Я мяркую, што ў столі, зацягнутай па кутох павуціньнем, ён знаходзіў сэнс жыцьця, адказы на ўсе пытаньні. Магчыма, у глыбіні столі, на паверхні якой плаваў падобны на кулак цень жырандолі, дзед бачыў сваю будучыню. Бывала, ён гутарыў са столяй на таямнічым арго ўсіх звар'яцелых дзядоў сусьвету, і тады я пачуваўся бессэнсоўнай аблачынкай у тым небе, адкуль дзед узіраўся ў нетры свайго існаваньня Тым ня менш дзеда я любіў, і шчыра радаваўся, калі доктар казаў, што дзед пражыве яшчэ доўга, а пры добрым даглядзе можа пайсьці на папраўку. Але доктар пакідаў пасьля сябе рэцэпты й сьляды каля дзедавага ложку, якія не высыхалі да раньня, і ў мяне было адчуваньне, што гэта сьмерць прыходзіла ўначы праверыць, ці не гатовы стары пайсьці зь ёю.

Дні мае міналі так. А дзевятай я падымаўся, рабіў укол дзеду, зазіраў у ягоныя неміргаючыя вочы ды йшоў гатаваць сьняданак. Пюрэ для дзеда, куды я дадаваў калі-нікалі й дзіцячы мясны паштэт, бутэрброд для сябе. Ставіў імбрык, глядзеў у вакно. Мы сьнедалі, я йшоў на пошту за грашыма, якія дасылаў бацька, або накіроўваўся ў краму. Прыйшоўшы дахаты, я чытаў да першай гадзіны, гатаваў абед, рабіў дзеду яшчэ адзін укол, карміў яго й затым да вечара глядзеў тэлевізар. А сёмай пюрэ зноў вымушала мяне апынуцца на кухні, варыць апошнія пяць бульбінаў з абабраных уранку пятнаццаці, ускрываць круглыя маленькія бляшанкі мяснога паштэту – імі была даверху застаўленая шафа ў вітальні – і стрымліваючы нудоту, начыняць дзеда гэтай небясьпечнай сумесьсю. Здаралася, я сядзеў зь дзедам пасьля вячэры гадзіну-паўтары, мне падавалася, што ягоныя амаль нябачныя вусны і вузлаватыя, у бялёсых плямах рукі кажуць мне, сыгналізуюць:"Застанься, пасядзі", і я сядзеў, думаючы, што гэтым падаўжаю яму жыцьцё.

У прыбіральню, дарэчы, дзед хадзіў сам. Паглыблены ў кнігу, я заўсёды губляў той таямнічы момант, калі стары падымаўся з ложку – было вельмі жудасна чуць у паралітычнай цішыні кватэры раптоўны шум унітазу – быццам тузін ледзяных статуэтак абрынуўся з высокай паліцы. На экране дзьвярнога праёму зьяўляўся дзед, рабіў крок ды зьнікаў. Я зноў пагружаўся ў кнігу, але ўжо не разумеў нічога на адгорнутай старонцы, і мне даводзілася вяртацца на пару старонак назад. За год нашага суіснаваньня я так і ня здолеў звыкнуцца з гэтымі нечаканымі, але такімі натуральнымі дзедавымі хаджамі.

Такім чынам, пасьля нашай маўклівай размовы я зноў валіўся на канапу ў кухні й браўся за чытаньне. Але чаканьне заўтрашняга пюрэ, цёплы подых нары паміж расстаўленых ног, уваход у якую быў закрыты кнігай, утульнасьць канапы, лямпа, што грэла патыліцу, рука, што, быццам выпадкова, запаўзла за пас джынсаў, тактыльная галюцынацыя пасмы жаночых валасоў ля скроні, аднолькавасьць усіх дзён гэтага году не давалі засяродзіцца, ясна ўказваючы, што гэты вечар скончыцца таксама, як і ўчорашні, заўчорашні, пазаўчорашні, як і... Я кідаўся ў вітальню, зарываўся тварам у глуханямую кампанію плашчоў ды паліто, якія пасьля сьмерці бабулі ніхто не апранаў. Толькі гэтак можна было заглушыць прыступ пякучага жаданьня, каб дзед памёр. Тады... тады можна будзе патраціць рэшту грошай на віно й мяса, садавіну ды чакаляду, і калі не сабой – слабым прыдаткам магутнага дзеда, то хаця б гэтай аднаразовай раскошаю завабіць у пустую кватэру якую-небудзь жанчыну й да болю ўнюхвацца ў выдзяляемы ёй вуглякіслы газ. Гатовы забіць сябе за гэткія думкі, я накідваў паліто ды йшоў у горад.

На што я разьлічваў? На выпадковае знаёмства, на тое, што ў мяне спытаюць цыгарэту (у мяне заўсёды быў пачак у кішэні, хаця я й не паліў), на пальчатку, якая выпадзе з маленькай і спакусьлівай рукі, на ўважлівы погляд, на гаваркую спадарожніцу ў паўпустым аўтобусе – на ўсё, з чаго мог бы завязацца хаця б нейкі вузельчык. На маркотную студэнтку, на дзяўчыну, якая сыйшла з дому, пасварыўшыся з бацькамі й цяпер ня ведае, дзе б пераначаваць, на выгнаную з дому п’яным мужам жонку, на шукальніцу прыгодаў, урэшце. Мне нічога адмысловага ад іх ня трэба было – толькі бачыць, чуць, адчуваць водар, ляжаць побач – блізкаблізка – на канапе ў маёй кухні, абдымаючы адной рукой гарачы выгін сьпіны, які мроіўся мне цяпер у ва ўсім, нават у падлакотніках вунь тых крэслаў. Дзед не заўважыў бы нічога – яго цікавілі адно высокія сфэры. Я хадзіў па зьзяючых вуліцах і цёмных завулках, я ўваходзіў у тралейбусы, якія рушылі невядома куды, я вар’яцеў, спускаючыся па прыступках, падобных на клявішы, што паўтараюць адзін і той жа матыў. Я шэршэляфаміў на ўсю катушку. Магу сабе ўявіць, якім прагным і жахлівым падаваўся ім мой позірк, калі на твар мне падала сьвятло ліхтара або вітрыны. Ніхто не рэагаваў на маю не эрэгаваную, але надта далёка закінутую вуду. Апоўначы я быў згодны ўжо на любую істоту жаночага полу, нават на гэтых двух таўстух. Я ляжаў бы паміж імі,

заплюшчыўшы вочы, і на раніцу ператварыўся б у шчасьлівае шашлычаня. Але ні ў вадзін з гэтых дзікіх вечароў я так і не знайшоў у сабе моцы з кім-небудзь загаварыць. Я вяртаўся дахаты й засынаў.

Але аднойчы загаварыў дзед. Гэтак я цешыўся толькі пятнаццаць год таму, недзе на саракавой хвіліне фільму “Вяртаньне Шэрлака Холмса”. Дзед ажыў. Гэта здарылася апоўдні. Я якраз наліваў гарбату ў вялікі патрэсканы кубак, калі за маёй сьпінаю пачуўся ціхі голас:”Я хачу агуркоў. Сьвежых агуркоў.” Я павярнуўся. Дзед стаяў ля дзьвярэй і глядзеў на мяне з папрокам. Я засьмяяўся, я сьціснуу дзеда ў вабдымках гэтак, што ён ледзь ня страціў прытомнасьць. Яму лепш, ён папраўляецца! Я пасадзіў яго на канапу, я паабяцаў хутка быць з самымі сьвежымі агуркамі на сьвеце. Адзіная праблема была ў тым, што агуркі ў гэтую пару году прадавалі толькі ў вадной краме, дзе неабходна размаўляць з прадаўцом. Я ненавідзу гэткія крамы – яны, відаць, створаныя адмыслова дзеля майго мэтанакіраванага прыніжэньня. Мне даспадобы тыя крамы, дзе можна ўзяць тавар і моўчкі заплаціць за яго на касе. Але рабіць было няма чаго. Узрушаны уваскрашэньнем дзеда, я доўга вычвараўся перад прадаўцом, спрабуючы патлумачыць мэту майго візыту, пакуль ня страціў цярпеньне, не перагнуўся праз прылавак і ня тыцнуў пальцам у купку запаветных агуркоў. На гэты абед я не забудуся ніколі. Мы елі пюрэ ды салат са сьмятанаю й гаманілі, выдатна разумеючы адзін аднаго. Потым дзеду захацелася паляжаць. Я зрабіў яму ўкол, перасьцяліў ложак і пайшоў на сваю канапу.

Увечары дзеду зрабілася блага. Белы й голы, як накрэсьленыя на адпрасаванай прасьціне контуры чалавечага цела, ён ляжаў і задыхаўся. Я зрабіў некалькі спробаў выправіць становішча, аднак неўзабаве зразумеў – трэба выклікаць хуткую дапамогу. З маім заіканьнем гэта было цяжка, але магчыма. Я крутнуў дыск тэлефону, але ледзь на другім канцы зьнялі слухаўку, я ўжо ведаў, што сказаць анічога ня здолею. Я тужыўся й напінаўся, я рыкаў іікаў у гэтае паўтараючае сваё алё чорнае сіта, але сказаць нічога так і ня змог. Я зрабіў яшчэ тры ці чатыры спробы, ня памятаю. Безвынікова. Я патэлефанаваў бацьку, ён бы ў любым выпадку правільна зразумеў бы мае сутаргі. Але яго, на злосьць, не было ні на працы, ні дома.

У вадчаі я кінуўся басанож, у вадных джынсах, да суседзяў. Але было яшчэ надта рана, усе былі хто на вучобе, хто на працы. Адно

толькі ў крайняй справа кватэры мне адчыніла зусім незнаёмая жанчына ў белым махравым халаце. “Ішоў бы ты спаць, дружа,”–сказала яна ласкава й бразнула дзьвярыма. Я цісную званок яшчэ і яшчэ, але вочка, дагэтуль жоўтае й поўнае надзеі, цямнела цяпер на сьветлым блакіце дзьвярэй. Я пабег уніз, але на пляцоўцы між паверхамі ўспомніў, што стары дома адзін, і можа, яму ўжо лепш, а можа... Рэзка павярнуўшыся, я пабег назад, адчуваючы, як ліпне да босых ступакоў тынк, што сыпаўся са сьценаў. У некалькі скачкоў я апынуўся ля ложку, пад расхістанай, узьнятай на дыбкі столяй. Але стары быў ужо м-м-м-м...

зіма 2001

БЕЛАРУСЫ
НА КРЫШТАЛЬНЫХ ШАРАХ

1.

Малады Уладар падкраўся да Барліса ззаду, асьцярожна ўзьняў лазэрны меч, і раптам зьверху на іх абрынуліся цітры. Пайшла рэкляма, загарэлыя твары ўсьміхаліся, рытмічна рухаліся сківіцы. Хлопчык, не адводзячы ад экрану вачэй, правёў рукой па падлозе, намацаў сваю шкарпэтку, потым пісталет і падушку. Давялося агледзецца вакол. Пульт ляжаў ля самай нагі – ня дзіва, што ён яго не знайшоў.

Хлопчык сядзеў у пустой кватэры, на дыване, прысланіўшыся сьпінаю да канапы. Дзьверы на балькон былі адчыненыя, варушыліся фіранкі, ля самых прутоў бальконных кратаў дрэвы гайдалі гальлё ў хрусткіх абгортках. За бэтоннай агароджаю на тым баку вуліцы чулася песьня, там месьцілася вайсковая частка. Хлопчык звыкся з тым, што песьня заўжды пачынае гучаць незадоўга да заканчэньня чарговае сэрыі. Гэтак выйшла й на гэты раз. Аднастайна шаргатала гальлё, унізе, у двары, кагосьці абстрэльвалі каштанамі. У хлопчыка каштанаў было трыццаць сем, некаторыя былі схаваныя ў пісьмовым стале, некаторыя – у заплечніку, быў яшчэ некрануты запас у каробцы пад ложкам. Галоўныя каштаны ляжалі ў нагавіцах. Каштаны былі каштоўнымі прадметамі – іх можна было і перабіраць, засунуўшы руку ў кішэню. Каштаны трэба берагчы – узімку іх ня знойдзеш.

Лета, вядома, было цудоўным вынаходніцтвам чалавецтва, але быў у яго і адзін мінус. Улетку не было сьвятаў, для дарослых яны, натуральна, былі – выходныя напачатку ліпеня, калі бацька не хадзіў на працу нават у панядзелак, і маці тырчэла тры дні запар дома. Але ў хлопчыка ж і так былі вакацыі. Да таго ж у гэтыя летнія як быццам сьвяты ніхто не дарыў яму падарункаў. Тое лета, якое нядаўна мінула, навогул было нібы сон, кароткі, зімовы, сон, кропку ў якім ставіць будзільнік, і ты зьдзіўляешся – пашкадуйце, я ж вочы заплюшчыў хвіліну таму. Іншая справа зіма і вясна. Новы год, стары Новы год, восьмага сакавіка, потым дзень народзінаў, два вялікадні, вельмі зручна, бо адна бабуля праваслаўная, другая – польскай веры, дзяды ўсякія, затым – заканчэньне школы, на якое хлопчык заўсёды што-небудзь атрымліваў. Сёлета, напры-

клад, свайго Кашкіна, зусім новага. У бацькоў Кашкін быў ужо стары, паношаны, крычаў надта гучна і ўвесь чамусьці жаўцеў. А лета хлопчыку не спадабалася, і ён нават быў задаволены, што зноў пайшоў у школу. Яна нагадвала яму фае перад увaходам у залю сьвятаў.

Хлопчык нераключыў тэлевізар на другі канал. Там панылыя чорна-белыя людзі катавалі скрыпкі. Ён пасьпешліва націснуў кнопку яшчэ раз. Тут якраз скончылася перадача пра нейкія дыетычныя хлябцы, і зноў пайшла рэкляма, але ўжо не расейская, а свая. На экране зьявіўся чалавек, на выгляд – сапраўдны забойца, зь вялізным аранжавым гальштукам у сініх зорках.

– Увага! Увага! Увага! – Дзяржаўны цырк адкрывае свой чарговы, трыццаць восьмы сэзн!– закрычаў чалавек, махаючы палачкай, з-пад якой выскоквалі, адзін за другім, трус, мартышка, галава клоўна, ахапак зьнічак, малюсенькі жанглёр у цыліндры.– Мы пачынаем яго з самага захапляльнага, самага прыгожага прадстаўленьня,– чалавек загаварыў цішэй, голас ягоны стаў хітрым і саладжавым.– Калі ты напраўду любіш цырк, гэтае прадстаўленьне – для цябе. Гэткага ты яшчэ ня бачыў...

Чалавек пагладзіў хлопчыка па галаве, дакрануўся палачкай ягонага вуха, нахіліўся, абдаўшы пахам мокрай замшы.

– ... і наўрад ці ўбачыш калі-небудзь яшчэ! Толькі ў верасні – унікальная праграма... Беларусы на крыштальных шарах!– нечакана залямантаваў чалавек і зьнік.

Бліскучыя кропкі, якія ўвесь час міргалі на экране,ператварыліся ў сьляпучае зьзяньне. Яно імкліва набліжалася да хопчыка. Тысячы пераліўчатых трохкутнікаў, падмінаючы пад сябе чорную дугу залі, сталіся раптам агромністымі коламі, што быццам маятнікі загайдаліся пад купалам. Пранізьліва-белы прамень вырас зь цемры, ударыў у гэтыя колы, зьліўся зь імі. Звыкнуўшыся з асьвятленьнем, якое пастаянна зьмянялася, хлопчык заўважыў нарэшце постаці людзей над гэтымі коламі. Апранутыя ў дзіўныя, зеленаватыя, струмяністыя строі, людзі брылі па пякучым паветры, па шчыкалатку ўтапаючы ў сьвятле. Гэта было так прыгожа, што ў хлопчыка забалелі вочы. Беларусы на крыштальных шарах.

2.

Цудоўнае цыркавое прадстаўленьне да вечара не выходзіла ў хлопчыка з галавы. Прыйшлі бацькі, маці сыйшла на кухню, зачыніўшы за сабой дзьверы, бацька, расьціраючы ногі, сеў ля тэлевізара. Хлопчык доўга выбіраў, да каго пайсьці са сваёй просьбай, і адправіўся ў рэшце рэшт на кухню. “Ты ж ведаеш,”– сказала маці, шмыгаючы носам і аціраючы крысом халату сьлёзы, да якіх яе давяла цыбуля. “Такія пытаньні трэба вырашаць з бацькам.” Хлопчык схапіў са стала апякаючы рукі дранік і рушыў у залю.

– Цырк – гэта добра,– сказаў бацька, пагладжваючы жывот.– Сланы, удавы! Толькі клоўнаў не люблю. Вось у наш час былі клоўны! Як цяпер памятаю – Пончык і Чэмберлен.

Хлопчык распавёў бацьку, што справа зусім не ў сланах або клоўнах. Ён паспрабаваў патлумачыць, як гэта прыгожа – беларусы на крыштальных шарах, але заблытаўся й неўзабаве заўважыў: бацька толькі ўдае, што слухае, а насамрэч глядзіць сэрыял пра міліцыю. Хлопчык і сам любіў гэты сэрыял, любіў уладкавацца на канапе, пагладжваць жывот, як бацька, і з захапленьнем назіраць, як вясёлыя сябры забіваюць злых бізнэсмэнаў. Ён любіў гэты сэрыял да сёньняшняга дня, калі зразумеў – прыгоды міліцыянтаў – казка для немаўлятаў у параўнаньні зь Беларусамі на крыштальных шарах.

На шчасьце, надыйшла рэклямная паўза, і першы ж яе ролік абвясьціў пра цудоўную цыркавую праграму. “Глядзі, глядзі, во пра што я казаў!”– узрушана прамовіў хлопчык. Бацька зь неахвотаю пачаў услухвацца. Ролік скончыўся. Хлопчык, поўны надзеі, вачыма ўпіўся ў твар бацькі: “Ну што, спадабалася? Я ж табе казаў? Пойдзем?”

Бацька раптам стаў вельмі сур’ёзны. Ён пасадзіў хлопчыка сабе на калені, і той уцяміў, што зараз адбудзецца нешта надзвычай важнае. “Паслухай,”– сказаў бацька нерашуча, а потым уважліва паглядзеў кудысьці праз хлопчыка.– “Ты ўжо дарослы, а хутка будзеш зусім мужчынам, у цябе зьявіцца свая сям’я, і ты будзеш распараджацца грашыма... сямейным бюджэтам. Ты бачыў лічбы ў самым куце экрану? Гэткія маленькія лічбы? Гэтыя лічбы – кошт квіткоў. Разумееш, гэта надзвычай дорага. Мы ж падарылі табе Кашкіна, а ці ведаеш ты, што твой тата працаваў паўгады, каб набыць яго?”

Ад гэтых словаў патыхнула чымсьці надта дарослым, кшталту

бабуліных лекаў. Хлопчык сам не заўважыў, як у вачох ягоных выступілі сьлёзы. Ён кінуўся ў свой пакой, зачыніў дзьверы, упаў на ложак і даў сьлязам волю. Потым ён доўга, да крыві малаціў свайго Кашкіна.

3.

Аднак на наступную раніцу, калі хлопчык выйшаў са свайго пакою, каб памыцца й пасьнедаць перад школай, бацька, які нацягваў куртку ля дзьвярэй, спыніў яго, узяў за плечы і ўрачыста прамовіў: “Ты ведаеш, мы тут з мамай падумалі...”

Далей можна было не казаць. Хлопчык заскакаў па вітальні, засьпяваў песьню з мульціка пра Барлісаў і Форана, і маці ўсьміхнулася, гледзячы, як падскоквае ў ягоных майтках ужо зусім сфармаваны стручок. У школе хлопчык здолеў ухапіць адразу дзьве адзнакі ў Аляізы Цішкаўны – пяць за адказ у дошкі і два – за паводзіны, а плюс да ўсяго – чатыры ў Бісэктрысы Катэтаўны і яшчэ пяцёрку ў Магнія Формальдэгідавіча. Дахаты ён ішоў, роўна трымаючы сьпіну, і нават прыбраў у сваім пакоі – прапыласосіў дыван і выкінуў каштаны.

4.

У нядзелю ўся сям’я паднялася рана, не было яшчэ дзевяці, калі мама, у станіку і трыко, выдастала з шафы прыгожую чырвона-зялёную сукенку, а бацька расклаў на канапе свой пацёрты, але яшчэ цалкам прыстойны касьцюм, і пачаў заклапочана яго разглядваць. Дзень мінуў у пакутлівым чаканьні. А пятай гадзіне яны, бліскучыя і напружаны, выйшлі з дому. Зрэшты, хлопчыку давялося вярнуцца, бо мама забыла, ці выключыла яна прас. Прас яна, натуральна, выключыла, але хлопчык, выходзячы з кватэры, прышчаміў сабе дзьвярмі палец. На дзіва, ён нават не адчуў болю, настолькі перабівала ўсе пачуцці зьзяньне хуткага прадстаўленьня.

Ля цырку было шматлюдна, у касу стаялі даўжэзныя чэргі, але ім гэта не пагражала, бацька набыў квіткі яшчэ ў сераду. Вуліца каля цырку была ўся застаўленая самымі рознымі машынамі. Зь іх, круцячы плячыма, выбіраліся іншыя хлопчыкі, увешаныя золатам, усе лакіраваныя й добра змайстраваныя. Яны пагардліва акідвалі позіркамі пралетарскіх дзяцей і накіроўваліся ў будынак, звысака ківаючы натоўпу, у той час як іх бацькі, выставіўшы ненармальна белыя зубы, як малпы крыўляліся ў слухаўкі сотавых тэлефонаў:

"Ды вось малога ў цырк вяду..." Хударлявыя дзяўчынкі пацягвалі аголенымі плячыма, быццам ім было халодна, хаця на двары быў вельмі цёплы, утульны верасьнёўскі вечар. Нейкі дзіцёнак, трымаючы за руку масыўнага лысага тату, стрэліў у хлопчыка зь пісталету. Хлопчык зарубіў яго лазэрным мечам і пабег даганяць бацькоў.

Фае віравала. "За лёдавам станавіцца няма сэнсу,"– сказала маці, спалохана азіраючыся па баках. Смурныя дамы аглядалі з пагардаю яе чырвоную зь зялёным сукенку й зьнікалі ў залі. "А памойму, яна вельмі ёй пасуе,"– падумаў хлопчык.

Яны занялі свае мейсцы, і пах мокрае замшы тут жа прапітаў іх. Гэта быў прыемны і хвалюючы пах, і хлопчыку захацелася, каб ён не выветрываўся ніколі. Ён нават панюхаў рукаво свайго швэдру. Пах быў усепераможны.

Нарэшце згасла сьвятло, заіржала, як конь, які узьняўся на дыбкі, музыка. Той самы чалавек, якога хлопчык бачыў па тэлевізары ў рэклямным роліку, выйшаў на арэну і абвясьціў першы нумар. Гэта былі танцуючыя сабакі. Дзеці навокал з захапленьнем лізалі лёдава, яно крапала ім на прарэхі й туфлі. Дзяўчынкі захоўвалі пыхлівы выгляд, часта-часта, быццам міргаючы падносілі да доўгіх вейкаў біноклі. "Наташы Растовы"– чамусьці падумаў хлопчык.

Сабакі саступілі мейсца малпам, потым былі сумныя жанглёры, якія выклікалі ў вачох рабізну. Пасьля жанглёраў на арэну выйшаў фокусьнік, які ператварыў яйка – у курыцу, шыла – у мыла, а чорнае – у белае. Хлопчык зь нецярпеньнем чакаў запаветнай хвіліны. Але пасьля фокусніка выступалі акрабаты, якія, выкарыстоўваючы даўгія вяроўкі, напалі на дзяцей з супрацьлеглага сэктару. "Калі ж будуць беларусы?"– грыз пазногці хлопчык. Але й на мейсца акрабатаў прыйшлі два клоўны, якія ўсіх папросту замучылі. Спачатку яны павыторгвалі дзяцей зь ніжніх радоў, паставілі ўсіх на арэне ў шарэнгу й надавалі кожнаму па попе, а потым доўга й нясьмешна жартавалі, скончыўшы зусім ужо непрыстойным жартам пра насосы, засосы і адсосы. Нават у цемры хлопчык заўважыў, як пачырванела мама і кінула на яго зьбянтэжаны, просячы прабачэньня позірк. Клоўны сыйшлі, у залі запалілася сьвятло.

– А дзе ж беларусы?– Хлопчык ледзь не расплакаўся ад расчараваньня.

– Антракт,– працадзіў праз зубы ягоны добра парублены лазэрным мечам сусед.

Такім чынам, мінула ўжо гадзіна, хлопчык ужо адседзеў сабе азадак, а запаветнага відовішча ўсё не было. У антракце яны ся-

дзелі на сваіх мейсцах, вырашыўшы, што абавязкова згубяцца, калі выйдуць у перапоўненае фае. Стракаталі тэлефоны, гучна сьмяяліся бліскучыя, быццам навагоднія елкі, жанчыны. Стагодзьдзе мінула, пакуль сьвятло згасла зноў.

Усё было так, як у рэкляме, толькі ў мільён разоў больш цудоўна. Як іншаплянэтнікі, беларусы йшлі па рассыпчатай серабрыстай дарозе, якая зьнікала ў космасе. Нібы вельмі багаты дзядзька набыў Млечны шлях і выпусьціў на яго гэтых сумуючых па волі зьвяркоў. Іх грацыёзнасьць зачароўвала. Было жудаснае і невыразнае адчуваньне, што зараз увесь Сусьвет упадзе на галаву. “Гэта ж трэба так выдрэсыраваць,”– гучна сказаў нехта за сьпінай хлопчыка. У поўнай цішыні беларусы рухаліся, як міражы, у паветры, то зьнікаючы, то зьяўляючыся зноў. Нейкая дзяўчынка ўскрыкнула ад захапленьня. Сьвятло мякка ападала на сьцены цырку, расступалася перад яркай дарогай, якая вяла ў нязьведаныя касьмічныя далечы. Беларусы йшлі, павольна круцячы лапамі зьзяючыя шары, але ў гэтым не адчувалася аніякага прымусу. І на самым грэбні хвалі захапленьня, якая захінула цырк, нечакана і ў той жа час вельмі дарэчы загучала ціхая музыка. Такой хлопчык ня чуў яшчэ ніколі. Ад ні з чым не параўнальнага відовішча і плаўных, не вясёлых, не маркотных гукаў хацелася плакаць ды любіць. Маму, радзіму, бабулю, Бісэктрысу Катэтаўну, бацьку, дзяўчынку, якая сядзела ў ніжнім радзе, адкрыўшы рот і не заўважаючы лёдава, якое рапала ёй на сукенку. Як гэта было казачна!

Музыка абарвалася, беларусы замерлі й вельмі лёгка, як пухіры, апусьціліся на арэну. Запалілі сьвятло, выйшаў дзядзька ў чорным і павёў беларусаў за кулісы, груба торгаючы за паваดкі. Заля выбухнула апладысментамі. Кагосьці апырсквалі джын-тонікам, вяртаючы ў прытомнасьць. Хлопчык, карыстаючыся тым, што маці й бацька ўсё яшчэ глядзелі ўніз, ціхенька споўз са свайго крэсла й пабег – паміж ног-ног-ног – туды, дзе яшчэ калыхалася заслона. Ён па-майстэрску праскочыў міма чалавека ў аранжавым гальштуку й хутка дагнаў дзядзьку ў чорным, які вёў беларусаў да клетак. Беларусы былі ўсе мокрыя й зблізку не такія прыгожыя, але нічога, такая ў іх праца. Хлопчык падыйшоў да іх. “Можна пагладзіць?”– запытаў ён, дрыжучы ад нецярпеньня. “Ты як сюды прапоўз?”– вохнуў дзядзька. Але насамрэч ён быў добрым і чулым чалавекам, які любіў ня толькі жывёлаў, але й дзяцей. Хлопчыку нават дазволілі пакарміць беларусаў праз клетку.

лістапад 2001

ДЗЬВЕ ТЫСЯЧЫ СЛОВАЎ ПРА ЗАВАЛЮХІНА

Ён сядзіць непрыемна блізка, без супынку гаворыць і ўвесь час хістаецца – ён хістаецца так энэргічна, што лавачка пад намі ажно ходзіць хадуном: я сяджу побач і пакорліва трываю гэтую марскую хваробу. Аднак самае жахлівае ў тым, што хістаньне лавачкі вымушае мяне аднастайна ківаць галавой, і таму звонку ўсё выглядае такім чынам, быццам я згодны зь ягонай балбатнёй. Насамрэч нават паралізаваны й нямы Завалюхін выклікаў бы ў мяне гарачы пратэст.

Хістаньне Завалюхіна – той жа прыроды, што і грукат пальцамі па стале, пагрызаньне ўласных пазногцяў, хрумсьценьне косткамі або вышлёпваньне на губах папулярных песенек (а то, бывае, яшчэ хто-небудзь са знаёмых, сымпатычны, здавалася б, чалавек, сярод вясёлай размовы пусьціць зьнянацку ў скокі сваё правае калена – далібог, у такія хвіліны хочацца па-галівудзку спыніць жыццё як форд мустанг і званітаваць у фортку), гэтае хістаньне – найбрутальнейшы від такіх вычварэньняў. Сам Завалюхін, натуральна, не ўсьведамляе таго, што адбываецца зь ягоным целам падчас хістаньня...а можа быць, яму падаецца, што ягоны торс, які абдымаюць пад рэбрамі безвалосыя, кароткапалыя рукі, грацыёзна й ледзь прыкметна рухаецца ў такт нячутнай чароўнай музыцы – дык вось не: Завалюхін папросту сядзіць і тупа хістаецца ўперад-назад, а пры гэтым яшчэ й гаворыць. Ня ведаю: у мяне большую прыхільнасьць выклікае чалавек, які п’е ацэтон, чым пажыральнік уласных пальцаў, я хутчэй абняў бы забойцу, чым таго, хто мае звычку стукаць костачкамі пальцаў, напрыклад, па шкле. Напэўна, гэта нэрвы. У іх нэрвы. І ў мяне.

Завалюхіну, вядома ж, я нічога падобнага ніколі не казаў. Мы зь ім, здаецца, сябры. Прынамсі, ён так думае. Што ж, нядаўна я нарэшце ўцяміў значэньне гэтага слова. Сяброўства – гнюснае спараджэньне калектывізму. На думку Завалюхіна, наколькі я разумею, сяброўства – гэта гарэлка, пяльмені й потым задушэўная размова, якая мусіць складацца зь ягонага п’янага трызьненьня й майго спачувальнага маўчаньня. Беражы мяне божа ад сяброў і сяброўства.

І ўсё ж я распавяду пра яго.

Напрыклад, Завалюхін і жанчыны. Рэч у тым, што мой сябра

мае рэпутацыю вялікага жартаўніка. Ня памятаю ўжо, зь якіх часоў гэта павялося, але ў нас заўжды было прынята ўсё, што б ні казаў Завалюхін, лічыць неверагодна сьмешным і дасьціпным. Яму такое становішча, натуральна, да спадобы – хто з нас ня марыў пра пажыццёвую ролю душы кампаніі? Аднак мы ўздыхаем і адыходзім убок, да сваіх страхаў, сьлёзаў і расчараваньняў, у абдымкі сваёй ненавіснай і таму яшчэ больш мілай слабасьці. Завалюхін жа даўно ня мае на гэта права. Ён абавязаны жартаваць. Завалюхін упэўнены, што ўсе навокал толькі й чакаюць ад яго што ўдалага жарту. Думаю, гэты чалавек ніводнага разу не дазволіў сабе сумненьня ў трапнасьці свайго гумару. Аднак доля штатнага жартаўніка пачынае ціснуць на Завалюхіна. Яму хочацца плакаць. Ды вось толькі гэта веселунам забаронена. Увечары, на лесьвічнай пляцоўцы, Завалюхін трывожна абкурвае сваё рагочучае сэрца й нечакана ловіць сябе на тым, што баіцца – баіцца таго, што адмовіўшыся ад акладу жартаўніка, стане для нас пустым месцам. Жартаўнікам, якімі б пляскатымі й пошлымі ні былі іхныя жарты, плоцяць прыстойна. Іх нязьменна запрашаюць у госьці, частуюць гарэлкай, жанчыны падсаджваюцца да іх бліжэй, і калі ты, на сваё шчасьце, ня быў абраны жартаўніком у якасьці сёньняшняй ахвяры для яго кпінаў, то ты таксама будзеш аж да разьвітаньня на аўтобусным прыпынку расьцягваць вусны ў звыкла балючай для сябе ўсьмешцы, нібыта на тваім твары засохлы клей, і паляпаеш зажартаванага і апляванага няўдачніка па плячы. А штатны гумарыст пойдзе праважаць дахаты рудавалосае хіхіканьне з маленькімі грудзьмі, і ты адчуеш палёгку, бо можаш спакойна выплюнуць прамінулы вечар у ракавіну на кухні, а Завалюхін будзе вымушаны яшчэ гадзіну запар гумарыць, гумарыць, гумарыць: у прамерзлым трамваі, на ўскраіне места, з пунсовымі вушамі, без цыгарэтаў, у цёмным пад’езьдзе, у цеснаце тамбуру, бо каму ён цікавы, смурны й маўклівы Завалюхін, мёртвы Завалюхін, не маўчы, Завалюхін, жартуй, і тады табе дадуць пацiскаць. Ну, я пайшла, Завалюхін. Патэлефануй мне, Завалюхін. І толькі ўнізе, адкуль чуецца такое выразнае бляяньне, можна будзе не жартаваць – трэба будзе бегчы.

Вядома ж, як толькі Завалюхін трапляе ў арбіту жаночага сьвету, ён адразу ж пачынае гіранізаваць і кідацца сваімі вострыцамі. Ён проста не ўяўляе сабе, як можна размаўляць з жанчынамі інакш. Ён ведае, што ён шыкоўны. Чароўны мужчына. Я назіраю за ім праз паўапушчаныя вейкі. Мне добра, бо мяне тут

ніхто не заўважае. Хвіліну таму мне кінулі: “Будзь прасьцей тварам і людзі да цябе пацягнуцца”, вось, бадай, і ўсё, што мне сказалі за сёньняшні вечар. А я не хачу быць прасьцей, бо усё няпроста, усё вельмі дрэнна, складана й трагічна. Я назіраю за сваім сябрам, гэта я прывёў яго сюды. Ён сядзіць між трох жанчын і жартуе. Завалюхін іскрыцца жартамі. Ён выбухае показкамі, як гарэзьлівы фэервэрк, ён асьцярожна заігрывае з пошласьцямі й робіць рызыкоўныя камплімэнты. Ён – душа кампаніі. Ён пачуваецца ўтульна, ён ганарыцца сабой. І раптам я заўважаю, што празь сьмех жанчын праступае неймаверная стома, што іхныя ірты зь цяжкасьцю ператвараюць ва ўсьмешкі прыгожыя шырокія позехі. Яны ж насамрэч не ідыёткі, гэтыя прывабныя й глупаватыя на выгляд кабеткі, яны ж разумеюць, што жарцікі Завалюхіна ня вартыя нават мімалётнай усьмешкападобнай здані, яны ведаюць, што прамоўленыя імгненьне таму словы Завалюхіна каштуюць менш, чым бурая вада, што зьнікае ў адтуліне ванны, — але яны жанчыны, і ім загадана згодна зь нейкімі дзікімі тысячагадовымі законамі сьмяяцца ў вадказ на мужчынскія жарты, а Завалюхіну загадана прыкладна тымі ж цыркулярамі й дэкрэтамі жартаваць, гумарыць, кпіць. Я бачу, што насамрэч жанчынам хацелася б сесьці з намі на падлогу й, скінуўшы ўсе гэтыя гіпсавыя маскі, пагаварыць з намі як зь сябрамі, проста шчыра пагаварыць – але яны ніколі ня пойдуць на гэта, і апускаюць вочы, і натужна чырванеюць, і Завалюхін заліваецца закіпелым імбрыкам. Паміж імі глухой сьцяною стаяць сэксуальнасьць і Завалюхінская пасада штатнага жартаўніка.

Па дарозе дамоў я раблю памылку й распавядаю яму пра гэта. Завалюхін мярзотна шчоўкае пальцамі па сваёй шчацэ й жартуе. Я ўзгадваю, як глядзелі на Завалюхіна мужчыны. З зайздрасьцю. Тым ня менш дахаты мы вяртаемся ўдваіх. Ня тая кампанія. Трошкі разумнейшая, чым звычайна. Жанчын мне шкада, а з Завалюхіным я стараюся хутчэй разьвітацца. Дарэчы, я ведаю, што ён цнатлівец, а цнатліўцы выклікаюць у мяне алергію. Разумею, што гэта дурата, але калі я дакладна ведаю, што мужчына цнатлівы, мне гідка нават паціскаць яму руку – мне здаецца, што дакранаючыся да яго, я дакранаюся да ягоных тых самых ворганаў.

Карацей, гэта адно з самых панылых відовішчаў на сьвеце – жартаўнік, які вымушаны жартаваць.

Завалюхін любіць гаварыць пра тое, што ён мой лепшы сябра. Тое, што ён лічыць сябе ім, дазваляе Завалюхіну прыпірацца да нас

ў дзьве гадзіны ночы й спаць на кухні, атручваючы нашае сандалавае паветра сваім перагарам. Назаўтра ён падымаецца на досьвітку, ідзе ў краму і ўрачыста прыносіць адтуль бутэльку гарэлкі, такой салодкай для таго, хто пахмяляецца, і такой ванітоўнай для мяне, які толькі прачнуўся. Завалюхін прымушае мяне выпіць і пакуль мы яго кормім, распавядае нам зьмест учорашняга кавээну. Вось яшчэ адна рэч, адно ўзгадваньне якой здольнае адбіць у мяне апэтыт да жыцьця. Я сапраўды не разумею, што вясёлага можа быць у сузіраньні сотні завалюхіных, якія б'юцца ў параксызму свайго жартаваньня, а да таго ж яшчэ сьпяваюць, хто ведае навошта, нейкія перайначаныя песенькі, і самае вар'яцкае – заля надрываецца ад рогату, і сцэна трасецца: грошы патрачаны не дарэмна! Завалюхін у сваёй стыхіі. Аднак я ветліва сьмяюся. Жонка, ледзь стрымліваючыся, ідзе ў залю, я ведаю, што яна трывае ўсё гэта толькі дзеля мяне, а наш мілы сябра патрабуе гітару.

Вось яшчэ адна жарсьць Завалюхіна. Ён любіць музыку. Ён любіць сьлязьлівую, патэтычную калярокавую эстраду савецкіх часоў, але гэта яшчэ ня самае жахлівае. Завалюхін сам піша песьні й сьпявае іх пад уласны акампанімэнт. Ён б'е па струнах, і наша гітара, не вытрымліваючы, пачынае румзаць – яна добра ведае, што такое апынуцца ва ўмелых завалюхінскіх руках. Правая кісьць Завалюхіна сутаргава торгаецца, левая ўчапілася ў струны як у маё горла. Прыгожа фальшывячы, Завалюхін енчыць нешта псэўдарамантычнае, хаця мне здаецца, што песьня пра інцэст. Мэлёдыя, згодна з уяўленьнямі Завалюхіна – гэта калі голас неадступна сьледуе за ўдарамі пальцаў па струнах, нібы пад строгім канвоем, такім чынам, завалюхінскія песьні – гэта занудныя рэчытатывы пра каханьне, якія выконваюцца казьліным голасам і з п'янай сьлязою ў хітрым кутку правага вока – трагедыя! Я сяджу побач і пазіраю на гарэлку ўжо без усялякае агіды, як на паратунак. Завалюхін заводзіць новую, на гэты раз не сваю, хаця, па шчырасьці, кожная песьня, якую ён выконвае, падаецца напісанай маім адданым сябрам. У вачох Завалюхіна я бачу, што яму ажно карціць, каб я падцягнуў у прыпеве. Я куляю ў сябе гарэлку й бадзёра стараюся ўдаць такі ж казьліны голас: "У комнаце зь белым паталком!..", аднак, кажучы напраўду, мой прыродны голас не казьліны, ён хутчэй мядзьвежы, а ім, медзьведзям, як вядома з славянскага фальклёру, некалі пераехала вушы дагістарычным камбайнам. Па тым, зь якім грукатам жонка зачыняе дзьверы ў залю, я здага-

дваюся пра посьпех нашага дуэту. Котка хаваецца ў шафу, падалей ад завалюхінскіх мадуляцыяў. Завалюхін просіць мэдыятар. Божа, навошта я гэта трываю? Вазьмі, вазьмі вострую брытву, Завалюхін, і ўнясі ў сябе праўкі! Аднак мяне чакае новая бяда. Завалюхін, мой дружочак, жадае даведацца, якая ягоная песьня мая ўлюбёная. Я пакутліва перабіраю ягоныя шэдэўры ў галаве й нарэшце называю нешта самае кароткае. Натуральна, Завалюхін прасьпявае лепшаму сябру ягоную ўлюбёную песьню. Нам вельмі весела, вельмі.

Завалюхін лічыць сябе надзвычай таленавітым. Неяк ён прызнаўся мне, што ягоны паэтычны талент, напэўна, усё ж пераўзыходзіць ягоны талент кампазытара. Што ж, магчыма. Калі я думаю пра гэтыя два асноўныя, бо Завалюхін, натуральна, мае і яшчэ безьліч іншых талентаў, *проста яны ня так кідаюцца ў вочы*, — дык вось, пра гэтыя два асноўныя таленты Завалюхіна, я чамусьці заўсёды зьбіваюся на думкі пра сіямскіх блізьнятаў. Будучы, скажу шчыра, поўнай бяздарнасьцю, Завалюхін не жадае дасягаць чагосьці й вучобай. Больш за тое, пра страшэнныя правалы ў будынку сваёй асобы ён гаворыць як пра разумна зробленыя вакенцы. Ён упэўнены ў сваім інтэлекце. Ён марыць пра тое, каб выдаць зборнік вершаў, хаця дагэтуль сьвята верыць, што "малако" рыфмуецца з "кімано" (Завалюхін прытрымліваецца погляду, што рыфма – "гэта калі два словы сканчаюцца на адну й тую ж літару") – справа ўскладняецца тым, што для Завалюхіна ўсё, што ня ў рыфму, ёсьць прозай. Прозу Завалюхін піша таксама, але казаць пра гэта ў мяне ўжо не стае моцы. Прачытаўшы кніжку пра Суворава, Завалюхін пачаў лічыць сябе знаўцам гісторыі й выклікае мяне зрэдзьчас на навуковыя дыспуты – ці варта казаць, што я заўсёды іх прайграю.

Вось тое, што мой сябра папросту паталягічна няздольны вывучаць замежныя мовы, факт сапраўды неаспрэчны. Запомніць дзесяць нямецкіх дзеясловаў для яго непасільная задача. Само па сабе гэта, натуральна, ня страшна, ня ўсе траглядыты – паліглоты, але мяне прыводзіць у шаленства тое, што Завалюхін гаворыць пра такое бясьсільле як пра цікавую ўласьцівасьць сваёй творчай натуры, пра нешта кшталту разынкі ўласнай псыхікі. Я думаю, што гэта істотны недахоп, але госпадзе! — паводле ягоных словаў, гэта "забавно". Мяне, прыводзіць, у, шаленства, — у ціхае шаленства, спадарства, у ціхае шаленства, нямое шаленства, бо я ніколі не казаў Завалюхіну нічога падобнага.

Завалюхін мае безьліч люмпэнскіх звычак, гідкіх, савецкіх,

звычак у маім ўяўленьні антрапаморфных, бо кожная зь іх нагадвае сваёй самастойнасьцю тлустую базарную бабу, якая можа і з Парыжу за адзін дзень зрабіць калгас. Завалюхін не разумее, што кепскага ў сьмярдзючых піўнухах, футбольных фанатах, піянэрскіх лягерах, расейскіх акупантах, паленьні недапалкаў, сэнтымэнтальных балядах, кавээну, антысэміцкіх кнігах, мацернай лаянцы, шпалерных цьвяточках, жоўтай прэсе, сьвежых анэкдотах, не разумее, што такое тактоўнасьць, гігіена, воля, адзінота, літаратура, густ, сям'я, сэкс, годнасьць, маўчаньне. Яму, нягледзячы ні на што, лёгка жыць на сьвеце. А мне страшэнна няўтульна, пагатоў зь ім; я адчуваю, што на маім целе вырас тоўсты шанкр пад назвай Завалюхін, і я ня ведаю, як мне пазбавіцца ад яго. Напэўна, я ня маю пачуцьця гумару. Але калі я ўспамінаю, наколькі верны сябра мой Завалюхін, мяне ахоплівае роспач.

Верагодна, мы самі вінаватыя ў тым, што ён упэўнены ў сваёй выключнасьці. Бо ніколі не асьмельваліся сказаць яму праўду. Бо шкадавалі яго, нават калі ня мелі для гэтага нагодаў. Бо замянялі справядлівасьць сяброўствам. І Завалюхін жывіўся нашым маўчаньнем, нашымі фальшывымі ўсьмешкамі, ухваленьнем кожнага ягонага выбрыку. Але сёньня позна зьмяняць яго – любое слова супраць ён успрымае як зайздрасьць. Ды й вось што мне хочацца сказаць: мой сябра, калі напраўду, быў такім ад пачатку. Бо такімі ж былі цэлыя генэрацыі Завалюхіных, генэрацыі хамаў і паразытаў. А апошнія пяць гадоў адзіным, што нас аб'ядноўвала, была гарэлка. Нашыя дарогі мусяць разысьціся, няхай для гэтага спатрэбіцца і хірургічнае ўмяшальніцтва. Я мяркую, што калі пасадзіць у вадну турэмную камэру таленавітага чалавека й Завалюхіна, то яны нават падземны ход для ўцёкаў будуць капаць у розных месцах.

Цяпер Завалюхіну вельмі пагана, ягонае жыцьцё руйнуецца, і мне салодка назіраць, як ён дэградуе проста на вачах. Самы час прымаць рашэньне. Ён заўсёды паразытаваў на мне, дык нашто пазбаўляць чалавека права несьці за гэта адказнасьць? Завалюхін сядзіць непрыемна блізка, без супынку гаворыць і ўвесь час хістаецца. Я гляджу проста перад сабой і пасьміхаюся. У пэўны момант Завалюхін паварочваецца да мяне й нешта раззлавана бурчыць.

— Што? – прамаўляю я пасьля паўзы зусім абыякава. – Ты штосьці казаў ці мне падалося?

Ён лаецца, а я падымаюся і іду наперад, не абарочваючыся. Бывай, Завалюхін! Бывай назаўсёды. Свае дзьве тысячы словаў ты заслужыў.

ЦЁПЛЫЯ РЭЧЫ, ХАЛОДНЫЯ РЭЧЫ

Джым Хігінс каўтануў віскі, абыякава зірнуў на сваю баявую сяброўку, якая ўсё яшчэ спала, ды схаваў цыгарэты ў кішэнь скуранай курткі. Пры гэтым бляклым ранішнім сьвятле сяброўка ўжо не здавалася такой бліскучай бляндынкай, як учора, проста – пацяганая голая лялька з пазалеташнім грымам, ды Джым ужо й ня памятаў, у якім бары ён яе падчапіў. Бутэльку з яблычным джын-тонікам Джым выкінуў у вакно, а часопіс схаваў пад падушку – і, як высьветлілася, вельмі своечасова, бо ў пакой зазірнула маці, прытрымліваючы на грудзёх халат, і, натуральна ж, завяла сваё:

— Зноў ён паліў у фортку... Дзіма, я колькі табе казала? Я ж бачу, вунь на падваконьні попел. Гэта агідна! Сьмярдзіць на ўсю кватэру. І выключы нарэшце сваіх дэбілаў, увесь дом разбудзіў.

— Адкуль ты ведаеш, што гэта агідна, — змрочна прабурчаў Джым, нацягваючы джынсы. – Ты ж не паліла ніколі ў жыцьці. Паспрабавала б хаця б раз, перш чым нудзець.

Маці пакачала галавой, паклікала бацьку ды пайшла гатаваць сьняданак. “Скажы яму, я ўжо не магу болей” – і бацька прамармытаў нешта ды схаваўся ў прыбіральні. “Ты надоўга?” – Джым нехаця пайшоў у лазьніцу, і пастаяў там трохі са шчоткай у роце, каб забіць час, а калі выйшаў на кухню, то бацькі ўсё яшчэ не было. “Калі ты нарэшце ўцяміш, што бацька ў цябе адзін, і я адна?” – сказала маці ўжо спакайнейшым голасам, пераварочваючы на патэльні каўбасу. З радыёкропкі ліліся пахавальныя маршы. “Прыбіральня ў нас у кватэры таксама адна”, — парыраваў Джым і зазірнуў у лядоўню.

— Ну, паехалі, ці што? – бацька змахнуў са стала крошкі.

— Куды гэта? – падазрона запытаўся Джым, адсунуўшы ад сябе кубак з гарбатай. Але тут да яго дайшло, і настрой адразу ж палепшыўся, і ён нават прайшоўся з бацькам да стаянкі. Ля апошняга пад’езду на лавачцы паныла сядзелі, відавочна ня ведаючы, куды сябе падзець, трое прыдуркаў, зь якімі Джым зьбіраўся запісваць альбом, Джым адмахнуўся ад іх, уяўляючы, аднак, з прыемнасьцю, як прыйдзе ў панядзелак на рэпэтыцыю ў новых, суворых, смаліста-чорных... Як сёньня будзе крочыць у іх па праспэкце... Адзін з прыдуркаў, якому бацькі падарылі нядаўна бас-гітару, нейк назваў гэты абутак даволі ўдала – яны якраз учацьвярох сядзелі тады ў цэнтры гораду ды пілі піва, і тут перад імі лянотнай паходкай сьвятога прафляніраваў Сам, пальцы ды вушы ў пярсьцёнках,

грыву трэпле вецер, скура падзыньквае, ведама ж, столькі жалезьзя, на крывых мускулістых нагах напінаецца чорны аксаміт, побач сапраўдная Кэці Вампайр на высачэзных абцасах: акупантусы – вось як ён іх назваў, акупантусы, на шнуроўцы, з мэталічнымі мыскамі, на якіх танчаць забойчыя промні, высокія, магутныя, як два чорныя вершнікі, бадай, па дзесяць кіляграмаў у кожным, такімі забіць можна, з плятформамі нібы пратэктары на шынах джыпу. Абутак для такога, як я. Толькі б удалося іх уламаць, гэта складана, але магчыма. І тады па праспэкце, з Аляксандраю і расшпіленай курткай, з-пад якой паказвала ўсяму сьвету безыменны палец шэрая зацёртая байка. І на лекцыях з-пад парты ногі ў акупантусах незнарок высунуць таксама няблага, няхай іхныя погляды спатыкаюцца, што яны наогул пра мяне ведаюць.

Яны падабралі ля прыпынку маці ды, пратырчаўшы колькі хвілінаў у пробцы, выпаўзьлі на кальцавую. Іхны шлях ляжаў на адзін з тых рынкаў за горадам, падобных да ракетных ангараў, дзе ёсьць усё, што душа пажадае, калі, вядома, душа жадае таннага і аднолькавага. Рынкаў-гарадоў, дзе не патрэбныя візы, дзе ў завешаных моднымі рэчамі лаўках адбываюцца драмы ды камэдыі, дзе ў палатках за хісткімі прылаўкамі можна пражыць жыцьцё, нават не заўважыўшы, прычым гэта тычыцца як прадаўца, так і пакупніка; дзе ёсьць свае кварталы чырвоных ліхтароў, у якіх можна за бясцэнак падгледзець, як бессаромна прымервае станік студэнтка пэдагагічнага ці багатая матрона; стракатых вольных гарадоў, якім віетнамскія і азэрбайджанскія закусачныя надаюць непаўторны дзіўна-усходні калярыт, дзе маецца свая тапаніміка і дзе дзейнічае толькі адзін закон – эканамічны, перад якім усе роўныя і якому падпарадкоўваюцца нават жабракі; гарадоў-рэспублік, у якіх сканчаецца рублёвая зона, у якіх можна без праблемаў завербавацца жаўнерам або піратам, куды імкнуць з усяе краіны бяздомныя сабакі й коткі, гарадоў, дзе заўжды лета, гарадоў, дзе неахвотна плоцяць даніну мэтраполіі. Гарадоў, дзе ніводная рэч не бывае лішняй, дзе суд адвеку зьдзяйсьняецца хутка й незваротна, тэрыторый, дзе не бывае ночы; пярэстых выспаў, на якія хаця б раз у жыцьці даводзіцца высаджвацца.

Маці й бацька Джыма пачуваліся тут у сваёй стыхіі – прынамсі, ім зусім не замінаў натоўп, які безвач ляцеў насустрач, бачачы толькі тое, што хацеў бачыць, і чуючы толькі сябе. Нахіляючы галовы і ўсё адно адчуваючы, як па карку ды сьпіне праводзяць

сьляпымі лапамі сукенкі ды кашулі, яны прабраліся нарэшце да абутковага кварталу. Прадаўцы таропка сьнедалі з плястыкавых талерак, з поўнымі іртамі называючы цэны, каціў свой камень кудысьці смуглявы Сызыф, раз-пораз весела выгукаючы: “Пабэрэгіс!”, палаткі былі сырымі ад туману; як і заўсёды за гарадзкой рысай, тут яшчэ там-сям ляжаў шэрымі плямамі нераспрададзены сьнег, на рэдкіх пустуючых месцах крэслы няўпэўнена трымалі на плячох адно аднаго. Пахла скурай і фарбай, чабурэкамі й чамусьці серай. На адным з прылаўкаў стаялі беспрытульныя, жахлівыя ў сваёй жаласьлівасьці туфлі, два дзясяткі туфляў, і ўсе на адну нагу. Дамскі абутак выглядаў весялейшым – напэўна, праз большую разнастайнасьць формаў. Джым прабег усьлед за бацькамі яшчэ дзьве вуліцы, грэючы ў рукавах рукі. З агромністага корабу квадратны чалавек даставаў зваленыя як папала чаравікі, і не было чаравікам ні канца, ні краю. “Вось,” – абрадавалася маці, — “Глядзі якія сымпатычныя”. Джым матлянуў зь нянавісьцю галавой. “Табе трэба купіць карычневыя”, — сказала маці, з жалем азіраючыся. “І лепш на замку, так практычней. Да лета спакойна паходзіш”. Яны завярнулі за рог Чаравічнай вулачкі, “Вось тут мы абавязкова знойдзем”, праверашчала маці й схапіла яго ў захапленьні за руку – Джым зморшчыўся ды адразу забраў руку назад, але рука была ўжо заплямленая, і ён пасьпеў заўважыць, як пагардліва на яго паглядзела маладая, можа, на пару толькі гадоў старэйшая за яго прадавачка, і ўсьміхнулася, а маці ўжо цягнула Джыма да яе ў бардовы паўзмрок, і ён вырываўся, і прадавачка сказала нешта з мацярынскай інтанацыяй, і грузін з суседняй палаткі махаў яму рукой, ратуючы ды робячы адначасова свой бізнэс, і невядома, што было больш ганебна; у грузіна таксама, як і скрозь тут, у гэтым тупа рагочучым квартале, быў абутак для будучых мамаў і татаў, для юных кар’ерыстаў і надзеяў спорту, для дыскатэк і пасьля дыскатэк, для маленькіх дарослых і для дарослых падлеткаў, і дарэмна Джым спрабаваў угледзець у вунь тых высокіх чаравіках намінку на акупантусы, марна ён намагаўся захоўваць незалежны выгляд – уся бясконцая вуліца зь яе абыякавымі ці празьмерна навязлівымі прадаўцамі зьвярнула ўвагу на Джыма, і, ацэньваючы спрытным вокам плацёжаздольнасьць бацькоў, зазірала яму насьмешліва ў твар: ну выбяры ты што-небудзь, пацан, давай, не засмучай тату й маму. Джым спыніўся, і тут жа яго паманілі пальцам: тлустая баба, падобная да гарылы, вылезла з-за свайго ўкрыцьця ды сказала гучна: не дурыце хлопцу галаву, у мяне ў са-

мой такі, суеце яму ўсялякую дрэнь, вось, я маю тое, што ты хочаш, і ў Джыма задрыжэлі вусны, а баба села яму пад ногі і ўжо хацела разьвязаць падраныя матузкі на Джымавых ботах, а ў руках у яе былі карычневыя вузканосыя калекі, з замкамі нібы ад авосек, з надпісам "God Boy!" збоку. Ён падняў нагу, вырваўшы яе з абдымкаў бабы, якая ашчэрылася пакрыўджана ды потым абмянялася поглядам з маці Джыма: як я вас разумею. Бацька сумаваў побач, яму таксама хацелася, каб гэтае катаваньне як найхутчэй скончылася, але, праўда, з іншых прычынаў, бацька зьбіраўся яшчэ прабегчыся па блашыным рынку, пашукаць нейкія дэталі для іхнага старога мэрсэдэсу. Непрыкметна вызірнула сонца, і па гандлёвых радох ужо разносілі гарачыя трохпакаёвыя абеды, а яны не прайшлі яшчэ й паловы Абутковага раёну. Джыму невыносна захацелася выйсьці адсюль нарэшце, але ён ня ведаў нават, дзе выхад, бо вакол быў толькі абутак, рабунак, гандаль рабамі, прадаўцы паварочвалі да яго свае тупаносыя, востраносыя, модныя й лакіраваныя пысы з натуральнай скуры, карычневыя, чорныя, белыя, жоўтыя, колеру какавы, плямістыя, з кіслотнымі разводамі, і на мысках распарвалася шво, і мыскі шапялявілі: шамыя нішкія чэны, Турчыя, шкідкі, а ў глыбіні туфляў і чаравікаў пакачваліся туды-сюды, як зьмеі, языкі-сьцелькі, і ў кожнага на канцы сьцякала сьлінай прагнае джала... "Ну няўжо тут няма ніводнае нармальнае палаткі?" – залямантаваў урэшце Джым, ён з надзеяй паглядаў на суседнія кварталы, яму ўжо пачало здавацца, што там ніхто яго ня ведае, і сярод майткаў ды каптуроў можна сабрацца зь сіламі, і вытрываць да канца, і можа быць, недзе на водшыбе, у кутку за платнай прыбіральняй, хаваецца той самы прылавак, на якім акупантусы розных памераў і вагі, але ўсе як на падбор, цяжкія, высокія, замерлыя ў чаканьні гаспадара... Ён крычаў, але ніхто ў горадзе-рынку не зьвяртае ўвагі на крык, а прадаўцы ўсё выхоплівалі яго, і менавіта яго з натоўпу, і глядзелі на яго зьдзекліва: давай, пацан, тата й мама ўжо замарыліся, дай жа ім патраціць кроўна зробленае, ня мучай!". Нібы з дапамогай адмысловага тэлеграфу па Абутковым раёне прабегла вестка: тут швэндаецца хлопчык Дзіма з ускраіны, з продкамі, і продкі шукаюць яму бахілы, прадайце гэтаму дзіцю бахілы, хто прадасьць яму бахілы, таму скідваемся на каньяк! Маці ўсё спынялася каля той ці іншай палаткі, ды тыцкала Джыму ў нос якімі-небудзь рабскімі вырабамі, убогімі як школьная прыбіральня, ні густу, ні стылю... Джым ужо вырашыў здацца ды прымерыў нешта, больш

падобнае да дзьвюх струпянелых жабаў. Маці заўсьміхалася, але потым з трывогай заявіла: “А ты будзеш іх насіць? Ці як у мінулы раз?” Джым зьняў гідоту ды асьцярожна паставіў у кут. Кіслыя усьмешкі, салодкія вочы... Ён круціў галавой ды курчыў такія фізіяноміі, што адна прадавачка не стрымалася й сказала: гэта паскудзтва, так крыўляцца ў такім узросьце, ты бы на сябе паглядзеў... “Капрызныя пайшлі дзеці”, — уздыхнула другая, дакрануўшыся спачувальна да рукі маці, “Ён у нас трохі не ад гэтага сьвету” – пачала маці апраўдвацца. “Але ня паліць і ня п’е”, — маці вырашыла перадыхнуць, і за Джыма ўзяўся бацька: “Што ты як не мужык? Выбірай ды ідзем. Не цягацца ж нам тут да абеду”. “Але гэта ня тое, што я хачу...”. “Хачу, не хачу, ты што, жонку выбіраеш?”.

— Добра, — прамовіла нарэшце маці. – Хадзі ў сваім ашмецьці. Няхай усе гавораць, што я не магу дзіцёнку боты купіць. Ідземце хаця б мінэралкі вып’ем.

Зьнясілены Джым з прыкрасьцю маўчаў. Яны выпілі мінэралкі й пайшлі шукаць выхад: бацька запратэставаў, але маці неўзабаве заткнула яму рот. Ня ведаючы дакладна, дзе стаянка, яны хутка апынуліся ў Цацачным раёне. Вось там, на самай ягонай мяжы, побач з заснулай тэлевізыйнай камбалой, ён і пабачыў запаветную палатку, на вяршыні якой лунаў пірацкі сьцяг. Моўчкі Джым увайшоў туды, ня слухаючы пярэчаньняў. На плястмасавым крэсьле сядзеў у навушніках Сам, паліў ды рамантычна калупаўся ў носе. А перад ім стаялі рыцарскім шыхтом яны, акупантусы, пяць бліскучых пагрозьлівых пар, да якіх было страшна дакрануцца. “Я знайшоў”, — прамармытаў Джым і схаваўся за сьпіны бацькоў.

— Што гэта? – зьбянтэжана спытала маці й выцерла лоб.

— Я такія на заводзе нашу, — патлумачыў бацька. – Бясплатна выдаюць. Хочаш, табе прыцягну?

Сам задуменна зірнуў на бацьку, але нічога не сказаў. Джым набраўся сьмеласьці й, намагаючыся не падымаць галавы, падыйшоў да прылаўку. “Ну і колькі?” – уздыхнуўшы, запытаўся бацька. Сам лянотна працадзіў нешта скрозь зубы.

— Ого, — бацьку ажно скаланула. – Чаго ж так дарага, за што тут плаціць?

Сам паціснуў плячыма ды зноў узяўся за свае ноздры. “Няўжо ты будзеш у іх хадзіць?” – спытала маці незадаволена. “Яны ж па тоне кожны”. Але па твары Джыма было відаць, што ад свайго ён не адступіцца. “Мерай”, — кінуў Сам, не паварочваючы галавы. І Джым

узяў у рукі халодныя, цьвёрдыя акупантусы, якія на ягонай назе адразу ажылі, і не марудзячы сталі прыстасоўвацца да звычак гаспадара, напрыклад, да звычкі без супынку варушыць пальцамі ног, – акупантусы падабраліся, даючы пальцам прастору, добры абутак, выдатны абутак, фантастычны абутак. Праўда, гэтая пара Джыму відавочна была замалая, але большых магло ня быць, і пра нязначны недахоп свайго шчасьця Джым вырашыў бацькам не казаць. “Не запраўляй ты ў іх джынсы”, – жуючы нешта, добразычліва сказаў Сам. “Так іх ня носяць”. “Як гэта не запраўляй,” – падумаў Джым пакрыўджана, – “гэта ж так...”. Але паслухмяна выпрастаў джынсы з акупантусаў, разьлічваючы зрабіць усё так, як хацеў, як толькі апынецца адзін. Бацька паглядзеў на маці, сьцяў вусны ды купіў.

У машыне ён пераабуўся ды патэлефанаваў, як і дамаўляліся, Аляксандры. Бацькі высадзілі яго на праспэкце, акупантусы ім, ён бачыў, былі зусім не да спадобы, але думаць пра гэта бацькі доўга не маглі, сёньня да іх мусіў прыйсьці далёкі сваяк, у якога яны хацелі пазычыць грошы на рамонт кватэры... Амаль шчасьлівы, Джым адчыніў дзьверцу. “Ты хаця б ня позна сёньня?” – маці пагладзіла яго па руцэ, і ён стрымаўся, выцярпеў. Грошай прасіць было няёмка, дый пасьля акупантусаў яму не хацелася пра гэта думаць.

Перш-наперш ён пачакаў, пакуль бацькоўскі мэрсэдэс зьнікне ў плыні машын, потым прысеў на лавачку ды заправіў джынсы, як хацеў. Палюбаваўся на свае ногі ў вітрынах, а ногі не хацелі ісьці паважна-лянотна, ногі несьлі далей, ногі ляцелі, а пальцы балелі, даводзілася іх пастаянна падціскаць пад ступак, і нацёртая пятка хутка засьвярбела, але Джыму было не да гэтых дробязяў. З Аляксандрай яны дамовіліся сустрэцца каля кінатэатру, ёй ад дому датуль было дзесяць хвілін пехатой, яна жыла тут, у цэнтры, і бацькі часта кпілі з Джыма: удала знайшоў нявесту, у прэстыжным раёне, хаця прэстыжныя раёны знаходзіліся хутчэй на ўскраіне, хто ж цяпер захоча жыць у цэнтры, калі машын у горадзе стала больш чым людзей. І сапраўды, калі Джым дакульгаў да кустоў, за якімі хаваліся бэтонныя прыступкі кінатэатру, Аляксандра ужо нэрвова хадзіла туды-сюды й паглядвала на тэлефон.

– Па-першае, выплюнь гэтую сваю цыгарэту, а па-другое, што гэта за страхоцьце ў цябе на нагах?..

З Аляксандрай яму заўсёды было цяжкавата, настрой у яе зьмяняўся ледзь не штохвіліны, заплюшчваць вочы на парушэньні гігіены яна была папросту ня ў стане, але затое заплюшчвала іх

звычайна ў самым натуральным сэньсе ў самы неспрыяльны для гэтага час, яна паліла сама, шмат і зь нейкім вычварэнскім задавальненьнем, але не любіла, калі паліць Джым, яна кпіла зь ягонай музыкі і ў той жа час была непрыхавана закаханая ў аднаго знакамітага рокера, прычым, як здагадваўся Джым, менавіта вопратка гэтага няголенага боўдзілы прываблівала Аляксандру больш за ўсё... Яна была зусім некіраваная, ягоная Аляксандра, але мела тры вартасьці, падзяліцца якімі Джым быў няздольны ані з кім: яна мела загарэлыя грудзі з маленькімі брунатнымі смочкамі, яна ўмела рабіць вамба-вамба як ніякая іншая і ўважліва выслухоўваць усе ягоныя скаргі.

Пасьля таго, як яна так адгукнулася пра ягоныя акупантусы, Джым увесь неяк панікнуў (той няголены боўдзіла, дарэчы, меў амаль такія ж, таму Джым губляўся ў здагадках). Ён стаў у кароткую чаргу па квіткі, якраз пачалася эпоха, калі маладыя людзі зноў пачалі хадзіць у кіно, – але Аляксандра, спахмурнеўшы, ужо спускалася па прыступках уніз. “Ды што з табой?” – ён кінуўся наўздагон ды пайшоў побач, падладжваючыся пад яе крок. “Нічога,” – ня гледзячы на яго прамовіла яна ды ўзяла Джыма пад руку. “Проста”. Яны павярнулі з праспэкту на яе вуліцу. Нешта было ня так, як гэта часта ўжо ў іх бывала, яны йшлі моўчкі, а Джым любаваўся сваімі акупантусамі й разважаў пра тое, у якім ён цяпер становішчы. Як заўсёды, ён казаў нешта нязначнае, і яна адказвала коратка: “так” або “не”, потым ён паспрабаваў іншы, больш дзейсны спосаб, пагаварыць пра яе любімую мыш – гэтая тэма эфэктыўна адбівала ў Аляксандры ахвоту крыўдзіцца, але й тут Джыма чакаў правал. Ён адчуваў, як зьвініць вакол яго паветра, бо ніхто не заглушаў гэтых тонкіх, на мяжы разрыву, гукаў; а Аляксандра крочыла побач у сваім доўгім паліто з крысом як кажанавы крылы, з кароткай стрыжкай, зь вечна незадаволенарухавым носам, і рукі трымала ў кішэнях – знак таго, што сёньня Джыму давядзецца цяжка...

Яе бацькі зьехалі на два дні на поўнач краіны, і Джым шмат чакаў ад гэтых выходных. Чакаў, што яго пакінуць начаваць, чакаў двух сутак цікавага фільму, дзе ён і яна, і сьвет, які будзе глядзець на ягоныя акупантусы, а нікога больш у фільме ня будзе, асабліва бацькоў і прадаўцоў з рынку – зрэшты, ён быў пэўны, што па-за рынкам ніхто яго не пазнае, на гэтых вуліцах і плошчах мэтраполіі... Ці варта казаць, што езьдзіць на рынак з бацькамі ён з таго дня зарокся.

Яны падыйшлі да яе дому, і яна сама адамкнула дзьверы, пазбавіўшы яго ганаровага права, зь якім Джым ужо амаль звыкся, а потым адразу пайшла на кухню ды пачала нешта жаваць. Ён пакорліва прысеў побач і цярпліва чакаў. Яна жавала наўмысна доўга, гледзячы на яго яснымі, сталёвымі вачыма... Маўчаньне станавілася невыносным. Ён раптам убачыў, як па-даросламу яна выглядае, – калі яны пазнаёміліся, Аляксандра была зусім дзяўчом, і толькі гуляла ў дарослую, вопытную, разважлівую... таму ён і пачаў адразу яе так называць, Аляксандра, і ёй, усьмешлівай, з вострымі зубамі, з доўгімі вейкамі, гэта падабалася... Аляксандра...

– Бог з вамі, Аляксандра Міхайлаўна, – сказаў нарэшце Джым. – Годзе вам сердаваць...

Яна выплюнула костачку ў далонь і паволі пайшла да сьметніцы, зусім блізка ад яго. Ён уявіў яе блакітнае сьцягно, дагледжаную скуру, круглае калена... прыцягнуў да сябе, пасадзіў – яна адкінулася на ягоныя грудзі, прымружылася...

– Так нельга, – яна падняла ўказальны палец перад самымі яго вачыма. – Ты пахнеш як парсюк. Ідзі ў ванну, потым пагаворым.

Ён паляжаў у ваньне, усё чакаючы, пакуль яна прасьлізьне да яго, круглы год загарэлыя грудзі, брунатныя смочкі, але потым вада астыла, ён насьпех памыўся й вылез. Апранацца было непрыемна. "Што гэта ў цябе?" – сказала яна, гідліва паказваючы на ягоныя ногі, трохі зьнявечаныя акупантусамі. "Кроў... Вух...". Яна прынесла яму бінт і таямнічы флякон, а сама схапіла цыгарэты й выйшла. Ён знайшоў яе на бальконе – яна сядзела, прысланіўшыся сьпінай да сьцяны, і строга глядзела на двор. "Сёньня субота, транспарт раней сканчае хадзіць..." – прасьпявала Аляксандра. Ён схапіўся за галаву:

– Добра! Можаш лічыць, што мяне ўжо няма...

Джым раздражнёна пачаў зьбірацца, але насамрэч не сьпяшаўся, чакаў. Ніхто да яго не йшоў, і толькі калі ён, мужна трываючы боль, стаў нацягваць акупантусы – яшчэ больш велічныя ды эфэктныя ў сьціплым сьвятле перадпакою – яна стала каля праймаў дзьвярэй – стомленая поза, хітрая ўсьмешка – ды правуркатала:

– І ў гэтых сьнегаходах больш не прыязджай да мяне, добра?..

Ён здагадваўся, што справа ў іх, у акупантусах, ня мог не здагадвацца, яны былі адзіным, што зьмянілася ў ім з учарашняга вечара. Джым задумаўся; адзін акупантус быў ужо на ім, другі стаяў чакальна побач, спакойна пабліскваючы. Выбар – гэта тое,

што мы будзем мець заўсёды. Як ні імкнуўся Джым прымусіць сябе ўзьненавідзець свой новы чароўны абутак, як ні стараўся адшукаць у ім заганы, зрабіць гэтага ён так і ня змог. З другога боку, адмовіцца ад вамба-вамба, калі навокал ніхто болей не выяўляў жаданьня рабіць яму вамба-вамба штотыдзень... “Ты надта доўга думаеш”, — сказала яна расчаравана ды з выглядам чалавека, які нарэшце ўсё зразумеў ды вырашыў, пайшла ў свой пакой, менавіта туды, дзе вамба-вамба адбывалася часьцей за ўсё... “Чорт”, — вылаяўся Джым па-ангельску. “Добра, нашто мне гэтыя сьнегаходы... Я іх брату аддам. Ці басісту падару на дзень нараджэньня. Вось шчасьце будзе ў чалавека...”. Яна не адказвала, і ён пайшоў, лёг побач – яна нібыта спала.

Рашэньне Джыма прайшло выпрабаваньне часам: неўзабаве Аляксандра ўскочыла, поўная энэргіі, як раней, і Джым уздыхнуў з палёгкай. “Ідэя”, — яна села яму на жывот. “Ты ж ня ведаеш, што зь імі рабіць. А я ведаю. Мы аддамо іх таму, хто насамрэч мае ў іх патрэбу”. Ён запытальна ўзьняў бровы. “Гэта ўсё адно ня твой памер, ты ж інвалідам у іх станеш,” – Аляксандра гучна, нэрвова засьмяялася. – “Мы паставім іх на дарозе, тут, пад балконам, і той, каму яны падыйдуць, забярэ іх сабе. Гэта будзе справядліва. Як у дзіцячай казцы.”

Джым быў вымушаны сам выйсьці на вуліцу ў тапачках і паставіць новенькія акупантусы на мокры асфальт. Ён зрабіў гэта зь цяжкай душой, і адзіным, што магло б вярнуць яму цяпер настрой, было добрае, прафесійнае вамба-вамба. Яны зручна ўладкаваліся на бальконе, Аляксандра зрабіла каву. Дзіўным чынам акупантусы не выглядалі на дарозе чымсьці забытым або выкінутым, ніхто не зьвяртаў на іх увагі, іх абыходзілі ці аб’язджалі, быццам боты стаялі там як папераджальны знак. Вось прайшоў школьнік, і акуратна абыйшоў акупантусы, і толькі абярнуўся на іх з адкрытым іртом; потым мажны дзядзька са слоікам разьліўнога піва пераступіў праз іх, глыбока задумаўшыся пра нешта сваё, саракаградуснае; дзьве жанчыны з калясамі аб’ехалі акупантусы, нават не прытармазіўшы, а калі па дарозе прабегла дзіцячая кампанія, якая панура штурхала перад сабой мяч (дванаццаць брудных ног у закасаных да калена трыко), і мяч гэты зьбіў нарэшце правы акупантус, адзін з мальцоў ахайна паставіў яго як належыць. Потым адбылося зусім ужо дзіва: вішнёвыя жыгулі тарганулiся перад самотнай парай акупантусаў і сталі, з машыны вылез маладзён, агледзеў акупантусы, падняў і чамусьці стаў унікліва

вывучаць месца, дзе яны знаходзіліся, потым паставіў іх на месца, і паправіў матузкі, каб ня пэцкаліся, і бачком, бачком, з прыглушаным ровам матору аб'ехаў загадкавую перашкоду.

Такім чынам, чакаць Джыму і Аляксандры давялося даволі доўга. "А яшчэ гавораць, што нашы людзі цягнуць усё, што кепска ляжыць," – сказала Аляксандра, і Джым кіўнуў, хаця ён ведаў: нельга было ні ў якім разе сказаць, што акупантусы дрэнна ляжалі, не, яны стаялі, нерухома й з пачуцьцём уласнае годнасьці, вершнікі, рыцары, ганаровая варта. Аднак надыйшлі прыцемкі, і ў рэшце рэшт да акупантусаў падыйшоў стары сьмярдзючы дзядоклесавічок з торбаю, якому было напляваць на эстэтыку: бязь лішніх думак, нават не азіраючыся па баках, ён падняў акупантусы ды кінуўся ў хмызы, за дом. Джым ледзь стрымліваўся, каб не крыкнуць яму што-небудзь, так крыкнуць, каб зь лесавічка выйшаў увесь ягоны сьмярдзючы прагнілы дух. Але Аляксандра сачыла за рухамі й перамяшчэньнямі дзядка, як за кабылай на скачках, на якую яна паставіла, Аляксандра нават перагнулася праз парэнчы, Джым заплюшчыў вочы й падумаў, што гэта канец.

Вамба-вамба яму ўсё-ткі перапала, перад самым ад'ездам, калі ён, у старых, дачных, але яшчэ цалкам прыстойных туфлях бацькі Аляксандры й горыччу прыкрасьці на вуснах пацалаваў яе на разьвітаньне. Яна абняла яго, шчыра, моцна, нібы захацеўшы прыдушыць, і Джым быў адпушчаны. Да самага прыпынку ён разважаў, а ці нельга было зрабіць так, каб у яго засталася і Аляксандра, і акупантусы, і вамба-вамба, і гэты дзіўны дом, насельнікі якога не кваяцца на чужое дабро, затое сочаць адно за адным з бальконаў... Ні да якой высновы ён так і не прыйшоў, а потым, калі тралейбус вёз ужо Джыма да мэтро, спакойна нешта абдумаць стала праблемай: спачатку за сьпіной расьселася зграя гопнікаў, натуральна, п'яных, і ў той небясьпечнай ступені ап'яненьня, калі сілы такіх жывёлаў прагнуць выхаду; затым невядома адкуль зьявіліся кантралёры, і давялося жаласьліва прасіць не чапаць яго; падумалася пра бацьку, які ўсё ж заплаціў за акупантусы са свайго небагатага заробку, а чаму падумалася? Таму што нядаўна бацька, калі яшчэ быў беспрацоўным, сам ганяў па аўтобусах зайцоў... Падумалася пра акупантусы, ён успомніў, як аддана яны сядзелі на ягоных нагах... У нагах гэтых тым часам вiравала кроў, разбэшчаная нядаўнім вамба-вамба. Потым у тралейбус зайшоў нейкі бомж, відаць, ці бамжыха, Джыму гідка было нават паварочвацца, акупантусы, акупантусы, акупантусы, паўтараў ён бяздум-

на, усё ж можна было абуваць іх, калі ён не плянаваў сустрэчаў з Аляксандраю... можна было, паддаўся, мягкацелы, паддаўся, дурны, асьлеплены, прагны, апантаны...

Ён усё ж азірнуўся, бо сьмярдзела ў тралейбусе так, што станавілася млосна. Каля акна за ягонай сьпінай сядзеў, нахіліўшыся й некаму злосна малячыся, той самы дзядок-лесавічок. На нагах ягоных былі акупантусы, яны выглядвалі з-пад брудных абмотак, запыленыя, залепленыя чымсьці жоўтым, але ўсё яшчэ захоўвалі былую веліч. Лесавічок паглядзеў на Джыма ды замоўк, утаропіўшыся ў вакно. Джым перасеў за сьпіну лесавічка, мімаходзь паглядзеўшы зьверху на ягонае нічым не прыкрытае, апрача клоку сівых валасоў, друзлае цемя, на зморшчаныя карычневыя рукі, што хаваліся між тоўстых, распухлых каленяў. І калі лесавічок, адчуўшы нешта нядобрае, пасьпешліва выйшаў на наступным прыпынку, Джым выскачыў усьлед за ім ды, то трохі адстаючы, то зноў наганяючы спалоханую постаць, пайшоў у бок застылай у тумане й цямрэчы будаўнічай пляцоўкі.

2007, Гамбург

ПАЗАЎЧОРА

Натуральна, яны займаліся гэтым, як жа інакш, за ўвесь той месяц, пакуль яны сустракаліся, яны зрабілі гэта прынамсі дзесяць разоў, калі лічыць першы раз, які, калі напраўду, мог лічыць толькі ён, а яна толькі ўсьміхацца, гэта адбывалася пераважна на ягонай клятчастай канапе, але аднойчы й на кухні, найвузейшай у сьвеце, дзе ў такой позе маглі зьмясьціцца хіба што куры перад адпраўкай у крэматорый, хаця пра які крэматорый мы кажам: у іх нічога ні разу не падгарэла, бо займацца гэтым ім ня тое каб вельмі карцела, проста раз ужо яны сустракаліся, гэта трэба было рабіць, яны й рабілі, прычым ён, вядома ж, меў фору, на якую яна ня надта зьвяртала ўвагу, – натуральна, яны гэтым займаліся, але рэч ня ў гэтым, і давайце пра гэта больш ня будзем, усё насамрэч значна складаней.

Яна была вельмі сучаснай, – ня ў тым сэньсе, што поўзала па падлозе, намагаючыся вызначыць, дзе толькі што высах сьлед моды: яна ставілася да сучаснасьці як да гадзіньніку, на які трэба раз-пораз пазіраць, і гора таму, хто забыўся перавесьці стрэлкі. Яна баялася спазьніцца, баялася праспаць тое, што сучаснасьць часам з такой шчодрасьцю раздае на сваіх перадвыбарчых шоў: мілыя пярэстыя футболкі з надпісам “Today is forever”, эліксыр вечнай маладосьці ў аднаразовых фляконах, карысныя спасылкі, кніжкі, гераіня кожнай зь якіх мае такое ж імя, такія ж праблемы й нават носіць такую ж бялізну, як і чытачка (цудоўнае вынаходніцтва аднаго маладога кампутарнага генія, прыгожы хлопчык, толькі мыецца відавочна рэдка, яна бачыла яго ў нейкім клюбе, дзе геній, як яму й належыць, сумаваў з пакетам чыпсаў). Як і ўсе мы ў свой час, яна баялася атрымаць толькі тое, чаго заслугоўвае, без дадатковых выплатаў і бонусаў. Сучаснасьць празрыста намякала, што жыць у такім узросьце ў адным вымярэньні папросту непрыстойна, і яна ляцела наперад, кожную сэкунду ляцела наперад у сваёй зручнай вопратцы, якую напэўна будуць насіць яшчэ некалькі гадоў... ляцела, не даслухаўшы адказаў, высноваў, прызнаньняў. Сучасна быць здаровай, заўважала мімаходзь сучаснасьць, і таму трэба паліць толькі найлягчэйшыя цыгарэты. Сучасна быць талерантнай, сьпявала сучаснасьць, і таму ты звычайная тупагаловая расістка, калі яшчэ ні разу не пераспала з афрыканцам. Сучасна глядзець элітарнае кіно, строга раз на месяц, і абавязкова на мове арыгіналу, балазе брат кампутарнага генія па-

рупіўся пра квіток для цябе, які ён успрымае адначасова і як квіток у цябе (лепш зрабіць усё самой, так хутчэй, але мы ж дамаўляліся: пра гэта больш ня будзем! — ну яшчэ адзін разок, калі ласка! Добра: сучасна займацца гэтым зь лепшай сяброўкай ды апісваць уражаньні ў сваім жывым дзёньніку, як быццам маеш яшчэ й нейкі мёртвы дзёньнік, але мёртвае ня можа быць сучасным), — і потым пакутліва думаць, што ж сказала тая псыхапатка ў сярэдзіне: адзіная прамоўленая фраза ў дзьвюхгадзінным фільме — і безь перакладу... Сучасна ведаць два словы: хайдэгер і хабермас, што б гэта ня значыла. Сучасна зрабіць сабе пірсінг і тату, калі раптам вельмі захочацца памаляваць. Сучасна слухаць мумумузыку. Сучасна самой зарабляць грошы й траціць іх на мягкія, лагодныя, такія прыемныя ў любое надвор’е, ненавязьлівыя лёгкія наркотыкі (вядома ж, сучаснасьць гэтага ніколі не гаварыла ўголас). Дый брат генія зусім неблагі варыянт, калі падумаць: пры ўсіх сваіх недахопах ён дакладна ведае, што жыве ў (паволі, грудным голасам, плаўна жэстыкулюючы) інфармацыйным соцыюме, грамадзтве спажываньня, тэлебачаньня, высокіх тэхналёгіяў і глямуру. Гэта надзвычай важна: ведаць, дзе жывеш, каб сябры, калі што, выклікалі табе таксі. Толькі вось яна ня была ўпэўненая, што брат генія – гэта больш, чым яна заслугоўвае, мусіў існаваць нехта яшчэ.

Калі яна пачула ўсё вышэйсказанае, ды наконт сваёй, а ня нейкай там іншай, пэрсоны, яна напачатку пакрыўдзілася ды вырашыла пайсьці, але кофта была яшчэ мокрая (не, ні пад які дождж у мэлядраматычнай блізкасьці ад яго дому яны не трапілі, вечар быў сухі ды бяз сонца, і лісьце на дрэвах шаргатала нібы папяровае, — проста мокрая кофта, мы ж дамаўляліся не згадваць болей пра гэта). Таму яна ўздыхнула й засталася. Праўда, пра пірсінг і тату Пазаўчорашні не казаў, ён быццам і ня ведаў, што гэта такое. І пра брата кампутарнага генія яна сама прыдумала. Але астатняе ён усё ж прамовіў, і быў вельмі задаволены. “А свае шкарпэткі ты сам мыеш?” – спытала яна зласьліва й, само сабою, выдыхнула дым яму ў твар, бо вельмі гэта любіла. Высьветлілася, што да яго прыходзіць прачка, і гэта пачынала быць даволі займальным. “Ты маеш на ўвазе сваю маму?” – не здавалася яна. Ён пачасаў лысаватую, коратка стрыжаную галаву, ягоныя босыя ступакі стаялі на белай кашулі, бязьлітасна распасьцёртай на падлозе, і адзін рукаў, які шукаў нешта пад канапай, чамусьці моцна раздражняў Сучасную. Яна паспрабавала разгледзець на ягонай руцэ сьлед ад дзіцячае прышчэпкі, і не змагла. Пазаўчорашні

ўсьміхаўся, ягоныя вусікі ледзь прыкметна рухаліся; дзіўна, што ў яе язык не паварочваўся назваць іх гітлераўскімі ці якімі-небудзь накшталт гэтага, вусікі неверагодным чынам пасавалі Пазаўчорашняму – а сказаць што-небудзь гідкае пра іх так хацелася. Яна адвярнулася й стала вывучаць абстаноўку ў кватэры. Кватэра як кватэра, трэба было быць даволі назіральным чалавекам, каб заўважыць адсутнасьць у ёй звычных хатніх жывёлаў з вадкакрышталічнымі пысамі. Аднак сучаснасьць ня вельмі давярае назіральнасьці, справядліва бачачы ў ёй пагрозу сваім ранішнім вясёлым прабежкам, вось і Сучасная не давярала. Яна спахмурнела й дастала з сумачкі тэлефон, хаця сама ня ведала, што будзе казаць і каму званіць. Пазаўчорашні з ідыёцкай дабрынёй назіраў за яе маніпуляцыямі. Яна набрала некалькі нумароў і ціха вылаялася.

— Ха, дык ён жа чамусьці не прымае сыгналу, — яна падазрона ўтаропілася ў Пазаўчорашняга, які нявінна ды засяроджана распальваў трубку. – Слухай, адкуль у цябе такія плечы?

Яна правяла па іх пазногцямі, стараючыся, каб засталіся палосы. Ён зачмокаў, надзьмуўшы шчокі, і трубка, як маленькі Норд-Экспрэс, менавіта Норд-Экспрэс, а не які-небудзь там дызэль, выпусьціла ў паветра воблачак сапраўднага тытунёвага дыму, з водарам жывое смалы й прыемнай гаркотай. Ёй падабаліся гладкаскурыя загарэлыя мужчыны, і гэты быў якраз з такіх. І яшчэ – добра, што ён так коратка стрыжэцца, можна сабе ўявіць, як бы ён выглядаў з лысінай ды гэтымі неперайнальнымі вусікамі.

— Лаўн-тэніс, — прамовіў Пазаўчорашні амаль горда, пераможна выставіўшы руку з трубкай перад сабой. Паўза была такой доўгай, што Сучасная пасьпела страціць інтарэс да плеч і прахаджвалася цяпер па пакоі, так што яна не адразу ўцяміла, пра што гаворка.

— Чаго-чаго тэніс? – яна прагна ўдыхнула паветра, якое пахла Пазаўчорашнім усё мацней, чыстым целам, радасным пасьля разрадкі; добрым тытунём, лёдам мужчынскае парфумы ды чымсьці яшчэ, незалежным ды спакойным. – А музыка ў цябе ёсьць? Грамафон які-небудзь?

Знаёмыя даўно пераконвалі яе прыйсьці неяк да іх у суботу, калі вузкае заезджанае кола гасьцей яны зьмянялі на больш шырокае, для прафіляктыкі, яна ўрэшце прыйшла, і была надзвычай зьдзіўленая, што ўсе ставяцца з павагаю да маўклівага чалавека гадоў трыццаці пяці ў пінжаку з хлясьцікам, гетрах ды сьмешных панталёнах, які праз адны свае клёўнскія вусікі, здавалася б, мусіў

бы стаць цьвіком праграмы. “О, гэта сапраўдная машына часу,” – шаптала ёй гаспадыня, – “часам бывае карысна пазнаёміцца з такімі бліжэй, добры асьвяжальнік. Кажуць, ён калісьці выклікаў Тарапанскага на дуэль”. Сучасная зацікавілася, яна ўявіла, як Пазаўчорашні забівае кагосьці напавал, і з рулі пісталета ўецца дым, такі самы, як вось цяпер з трубкі; калі б яна змагла пасядзець блізка-блізка, каля самага твару толькі што застрэленага чалавека, яна б нізавошта ня стала яму замінаць, яна б сядзела побач на кукішках ды як зачараваная назірала, як зацягваюцца ледзь бачнай плеўкай вочы й варушацца вусны. Толькі што быў і ўжо няма. Яна падышла да Пазаўчорашняга ды завяла зь ім зьдзеклівую размову пра палітыку, ён ахвотна адказваў, грэючы рукі пад пінжаком. “Вы гаворыце, быццам пішаце, гэта агідна”, – груба сказала яна яму. – “Гэта тупа й нявetліва. Назаўсёды запомніце мае словы.” Потым яны пайшлі пехатою да яго, і вось цяпер мокрая кофта, вымушанае “ты” й гэтае маўчаньне, якое становіцца невыносным.

Спачатку яна думала, што ягоная пазаўчорашнасьць – гэта такая форма сучаснасьці, ці рэакцыя на сучаснасьць. Але сучаснасьцю тут наогул ня пахла.

– Што гэта? – вохнула яна, схіліўшыся над друкавальнай машынкай. – Не, не адказвай, я сама ведаю.

Побач са сталом стаяла музэйная этажэрка, а на ёй былі раскіданыя газэты, прыціснутыя цяжкімі бронзавымі тыграмі, і яна хацела мімаходзь высьветліць, у якім жа часе жыве Пазаўчорашні, калі было гэтае пазаўчора, які парадкавы нумар мае гэтая гульня – але мімаходзь не атрымалася, тыгры ашчэрылі бяззубыя пашчы, Пазаўчорашні быў зануранны ў свой дым, і яна проста адчыніла фортку. На падваконьні ляжаў зашмальцаваны пашпарт, а пад ім яшчэ адзін, усё тыя ж тыгры ды арлы, яна не хацела выяўляць сваю цікавасьць, а спытаць значыла ўключыцца ў яго гульню.

– Неўзабаве я зьеду, бо ёсьць пэўныя справы ў калёніях, – ён усё ж заўважыў, што яна зацікавілася дакумэнтамі. – Я магу ўзяць цябе з сабой.

– На плянтацыі... І натуральна, мы паплывем параходам, – не стрымалася яна й села на падваконьне.

– На жаль, аэрапляны не лятаюць на такія адлегласьці, – адказаў ён зусім сур’ёзна й падняў з падлогі кашулю. – І ў мяне шмат багажу.

Кофта высахла, хаця й пахла цяпер мылам, што было проста жахліва, і Сучасная нецярпліва апранулася.

— Я адвязу цябе, — ён стаяў у дзьвярох вітальні ды зашпільваў гузікі.

— Уяўляю, на чым, — падціснула яна вусны, а потым пашкадавала, гэта было б весела, пракаціцца ў якой-небудзь снопавязалцы. Яна выходзіла зь ягонага стагодзьдзя ў сваё, выў ліфт, зазваніў мабільны, і загадкавая істота, загорнутая ў анучы, поўзала, крэкчучы, па падлозе лесьвічнай пляцоўкі, — Сучасная не адразу зразумела, дзе ў яе галава.

Сапраўды, роўна празь месяц Пазаўчорашні зьнік, перапыніўшы сваім ад'ездам доўгую ды, калі напраўду, надакучлівую чараду сустрэчаў, якія пачыналіся ў несучасных тэатрах, працягваліся ў несучасных рэстарацыях ды сканчаліся ў яго дома, і ад якіх яна даўно зьбіралася адмовіцца, ды неяк не пасьпявала. Прычым яна, паміраючы ад нудоты, усё намагалася скараціць праграму хаця б на першы, самы пакутлівы пункт, бо рэстарацыі прынамсі мелі прыемна несучаснае абслугоўваньне. Але без опэры Пазаўчорашні ня меў апэтыту. І вось ён зьехаў на свае Канары ці ў гэтыя невядомыя калёніі, як сапраўдны імпэрыяліст, і Сучасная нарэшце ўздыхнула з палёгкай. Кампутарны геній усё гэтак жа ня мыўся, і яна, пагаварыўшы з астролягам ды псыхолягам, у адзін па-паліцэйскаму марозны дзень выйшла замуж за ягонага брата. У яе жыцьці нічога нібыта не зьмянілася, але нешта здарылася з сучаснасьцю. Як быццам скончыўся дождж на лецішчы, і на зьмену барабаннаму, пругкаму, неўтаймаванаму грукату кропляў па бляшаным даху прыйшоў мерны, рэдкі, цяжкі постук над галавой...

Праз колькі гадоў яна, так пакуль і не наважыўшыся зацяжарыць, угаварыла мужа зьезьдзіць на тыдзень-два на Адрыятыку. Гатэль апынуўся зусім не такім, як яна сабе яго ўяўляла, — цеснаватым, задушлівым, ды яшчэ даволі далёка ад мора. З надвор'ем ім таксама не пашанцавала, яна толькі тройчы апранала купальнік. Да яе заляцаліся афіцыянты, кожны трохі гаварыў па-расейску, яечна-белы, пыльны гарадок, куды яны прыехалі, выглядаў зь пятага паверху як недавершаны малюнак, рознамоўныя старыя ў шортах ды швэдрах пазіралі на яе з-за шкла з загадкавым інтарэсам, пацягваючы безалькагольныя віктэйлі. Замовілі экскурсію, пасьля якой яна зараклася хадзіць куды-небудзь з гідам. На пяты дзень ёй стала неяк роспачна-сумна й захацелася дамоў. Муж, які ўжо да абеду звычайна пасьпяваў выпіць літр мясцовага віна, драмаў ля басэйну. А яму ж толькі дваццаць сем, разглядвала яна паз-

ногці. А назаўтра раніцай яна выпадкова пабачыла, жуючы вінаград, як ва ўнутраны двор выходзіць Пазаўчорашні ў адных толькі спартовых нагавіцах, ён шпарка скінуў іх і паспрабаваў нагой ваду. Сучасная ледзь стрымалася, каб ня кінуцца яму на шыю. Ён адразу ж пазнаў яе, яны дамовіліся паабедаць разам. Пазаўчорашні прыйшоў у тых жа самых нагавіцах ды кашулі навыпуск, муж Сучаснай падміргнуў ды дастаў бутэльку айчыннай гарэлкі. Сучасная ўсё маўчала ды разглядвала Пазаўчорашняга спадылба, але калі муж выправіўся да басэйну, ня вытрымала.

– А як твой пячорны век? Як параходы?

– Якія параходы?

Пазаўчорашні паглядзеў на яе калені ды зьедліва пасьміхнуўся.

– Слухай, ты што, насамрэч думала, што я буду ўсё жыцьцё гуляцца ў правінцыйнага дэндзі? Ну ты даеш... Та-а-ак, параходы, лаўн-тэніс... Файны быў час.

Ён нечакана зарагатаў, і толькі тады да яе дайшло, што ён п’яны.

– Добры ў цябе супруг... Ты пасядзі тут хвілінку, дамовіліся... А то нешта галава...

Ён цяжка падняўся, памахаў ёй ды пайшоў да басэйну, у якім, заліваючы ўвесь двор вадой і шумна адплёўваючыся, плаваў яе муж, раз-пораз павіскваючы як сьвіньня. З вуснаў Пазаўчорашняга не зьнікала нейкая дурнаватая, жаласьлівая ўсьмешка. Без адзеньня ён, здавалася, выглядаў зусім як калісьці, але тут якраз грымнула сонца, занадта ўладнае ды сьляпучае, каб разгледзець як сьлед усе падрабязнасьці.

Сакавік-красавік 2007, Гамбург

ПАЗБАВІЦЦА АД КАРАЛІНЫ

Цяпер мне ўжо цяжка ўзгадаць, калі ж я ўпершыню намаляваў Караліну. Навек прымерзлая да вобаду сьняжынка, аксамітная пупышка, кветачная экспэдыцыя сонечнага матылька, заштрыхаваны дажджом палы ліст, сьняжынка, пупышка, матылёк – гэтае кола з каляровымі карцінкамі даўно круціцца побач са мной з такой хуткасьцю, што мне застаецца хіба мружыць вочы й прыгладжваць валасы. Калісьці яно рухалася марудна, з музыкай, бы катрынка... Ветрык часу не нясе ні прахалоды, ні цеплыні; шчыра кажучы, я навучыўся не заўважаць ягоных раўнадушных дотыкаў да майго ўспацелага лба.

Затое я памятаю, пры якіх абставінах адбылося яе стварэньне. Незадоўга да гэтага дзядзька знайшоў у мяне фатаграфіі. Некалькі хвілінаў ён моўчкі глядзеў на мяне – дзіўны ягоны позірк, нібы дзядзька падпісаў з кімсьці кантракт, не прачытаўшы да канца дагавору, прымусіў мяне выбегчы з пакою. Увечары за сталом я не падымаў галавы: на талерцы ляжаў парэзаны на кавалкі язык, і ад выгляду сасочкаў на ім мне стала блага. “Я думала, ты любіш...” – расчаравана сказала дзядзькава каханка, узяла самы тоўсты марынаваны памідор, сакавіты й бессаромны, ды шумна ўцягнула ў сябе мякаць. “Эй, ты чаго, плачаш? Не, ты праўда?” Фатаграфій, набытых на вакзале за такія грошы, што жыві я на стыпэндыю, гэтая пакупка выракла б мяне на галодную сьмерць, я болей ня бачыў, ды й дзядзька пра іх ніколі не ўспамінаў. Маіх маленькіх чорна-белых суцяшальніц мне было зусім не шкада, а дзядзьку я быў удзячны – ён паводзіў сябе, быццам нічога не адбылося, так, што неўзабаве я зноў пакепліваў зь ягонай непісьменнасьці, а ён лупіў мяне па галаве крыжаванкай.

Такім чынам, фатаграфіі сталі толькі прыкрым непаразуменьнем, якое засталося без наступстваў, а значыць, яго й не было ўвогуле. Кола яшчэ раз зрабіла поўны абарот, я пасьпяхова перавёўся на другі курс, і ўпэўніўся, што падступны загадкавы ступар, які чамусьці апаноўвае на іспытах-допытах менавіта тых, хто дасканала валодае матэрыялам, болей мне не пагражае. Павага да мяне з боку дзядзькі ўзрасла, здавалася, ужо да неймаверных памераў – мне нават было дазволена не прыбірацца ў сваім пакоі, ягоная каханка рабіла гэта кожны дзень, пакуль я быў ва унівэрсытэце. Рэч у тым, што яны лічылі мяне надзвычай правільным маладым чалавекам, чалавекам, які абраў сабе жыцьцёвы шлях

і йдзе па ім цьвёрдым крокам. Небаракі, яны лічылі, што калі я не ўжываю алькаголю й не палю цыгарэтаў, калі я начую дома й засынаю з кніжкай, то арганізую ім калі-небудзь адпушчэньне грахоў. Вядома ж, адкуль ім было ведаць, што ў ва мне ўжо расла Караліна, хапалася пялёсткамі за стромы край абранага ёй берагу, ведаючы, што ніхто не наступіць на іх разважлівай і абачлівай нагой.

Летам я паехаў да бацькоў, тысячы вольных гадзінаў, якія чакалі юнака ў нашым правінцыйным гарадку, весела зьвінелі ў ва мне, і я марыў пра тое, што патрачу іх з шыкам. Мяне чакаў поўны правал: лета я праспаў ды праеў, і нават загарэць як сьлед ня здолеў. У верасьні я вярнуўся ў свой Бабілён. Дзядзька з каханкаю кожныя выходныя прападалі на лецішчы, а прыязджалі такія стомленыя, што некалькі начэй нават не займаліся каханьнем. Так прайшоў месяц. Неяк яны зноў выправіліся за горад, і ў мяне было амаль два дні, каб падрыхтавацца да першага сэмінару па мангольскім праве. З раніцы я выправіўся ў бібліятэку, схадзіў у кіно, а вяртаючыся ўвечары дахаты трапіў раптам пад несанкцыянаваны дождж, такі злы, нібы ён і праўда быў формай нечага пратэсту. На двары пасьпела сьцямнець, кватэра ўсё яшчэ пахла валяр’янкай, якую выпадкова разьліла раніцай перад парогам дзядзькава каханка. Я з агідай адляпіў ад сябе мокрае адзеньне й хутчэй пачуў, чым пабачыў, як праз адчыненае вакно вада залівае мой пісьмовы стол. Не ўключыўшы сьвятла, я падыйшоў да вакна і ўзяўся за халодную вільготную ручку. Зімны вецер абдаў маё аголенае цела, і так пакрытае гусінай скурай, я кашлянуў, але працягваў стаяць тут. Людзям на вуліцы або ў доме насупраць мяне магло быць відно хіба па пояс, аднак мне было прыемна, што я стаю вось так, адкрыты ўсяму сьвету, п’яны Адам, паміж зубоў якога застрала корка забароненага плоду. Я сеў на падваконьне, зьвесіў ногі ўніз. Па вуліцы сноўдалі парасоны. Я зірнуў на сябе і ўзбудзіўся. Нібы мэдузы ў каламутнай вадзе, пада мной пагойдвалася на прыдоньні гарадзкога мора жыцьцё. Раптам я ўзгадаў пра фатаграфіі, тыя, якія забраў дзядзька, і мне закарцела іх вярнуць. Я залез назад у пакой, зачыніў вакно й пайшоў у спачывальню, дзе спалі гаспадары. Выграб з шафы бялізну дзядзькавай каханкі, лянотна расправіў усе гэтыя майткі й станікі. Мне ніколі не падабалася яе парфума. Уключыў тэлевізар – як на злосьць, на другім канцы зямлі нешта выбухнула, і ўсе тэлеканалы толькі пра гэта й балбаталі. І тады я сеў за свой стол і намаляваў Караліну.

Я намаляваў яе ў поўны рост, простым алоўкам. Яна была

тоўстай – кіляграмаў сто жывое плоці, яна сядзела на плеценым крэсьле анфас, шырока расставіўшы ногі. Юны вычварэнец, я не асабліва клапаціўся пра яе твар, ён атрымаўся зусім схематычным, чатыры грубых рыскі, як расшчэпленыя трэскі. Затое запаветную сэрцавіну я пастараўся зрабіць жывой. Тады я зусім не любіў маляваць, і Караліна была самай непрыгожай з жанчын, якіх я ведаў – аднак мы пражылі зь ёй амаль двое сутак, якія я назваў бы шчасьлівымі, калі б не пачуцьцё няяснай трывогі, якое не пакідала мяне ажно да вяртаньня дзядзькі. Я ледзь пасьпеў зьнішчыць яе: як толькі Караліна была скручаная ў мікраскапічны шарык і адпраўленая ў нетры вадаправоду, у перадпакоі пачуўся званок.

Чаму я назваў яе менавіта гэтак, чаму замест цёплых сьветаў і жанаў мяне напаткала ў гэтай халоднай кватэры, дзе раз на два дні абавязкова гасла сьвятло, Караліна на таннай паперы? Мяркую, справа тут у нізкапробных замежных фільмах, якімі тады была інфікаваная душа ледзь ня кожнага майго суайчынньніка. Мы ўсе мелі тады комплекс уласнае непаўнавартасьці, і марылі ўпотай пра свае будучыя рэінкарнацыі ў джэкаў і джымаў. Нашыя імёны падаваліся нам вартымі хіба шкадобы. Караліна страціла б палову сваёй прыцягальнасьці, набудзь яна славянскае мяно. Што казаць – ды яна б, напэўна, не існавала ўвогуле.

Празь некалькі дзён ружавеючыя дзядзька і ягоная пасія абвясьцілі мне, што сабраліся законна аформіць свае даўнія адносіны. Занятыя мітусьлівымі вясельнымі турботамі, яны перасталі езьдзіць на лецішча, дома цяпер заўжды нехта быў. За ўсю зіму я змог намаляваць Караліну толькі аднойчы. Гэта адбылося ў чытальнай залі бібліятэкі: перада мной сядзела дзяўчына, якую я ведаў у твар, здаецца, яна вучылася на першым курсе, ды і на іншым факультэце. Відаць, яна была блізарукай, бо сядзела, нахіліўшыся да нейкага тому, які ляжаў на яе стале, амаль ушчыльную. Адну нагу яна падагнула пад сябе, джынсы спаўзьлі, адкрыўшы майму погляду салодкую частку яе вабнотаў, спакушальна падзеленую амаль нябачнай палоскай тканіны (тады якраз увайшла ў моду такая бялізна). Прыкрыўшыся вялізнай кнігай, ад утрыманьня якой балелі запясьці, я асадкай пасьпешліва стварыў сваю Караліну. Яна пагардліва глядзела на мяне, мышцы на яе лытках напружваліся, але ссунуць ногі яна была няздольная. Караліна. Я зайшоў за стэляж. “Мы скончаем працу празь пятнаццаць хвілінаў”, — гучна прамовіла бібліятэкарка.

Дзядзька перавез у кватэру сваю маці, яна стала жыць у пра-

хадным пакоі, кожную ноч мяне будзілі яе стогны. Ад Караліны давялося на нейкі час адмовіцца. Адурэлы ад колькасьці вызубранага, я часта клаўся на свой ложак і ўглядаўся ва ўзор на шпалерах: неўзабаве там зьяўлялася Караліна ў загаданай мной позе, хворы яе твар скажала нянавісьць. Так, гэтую, шпалерную Караліну я мог разглядваць да ачмурэньня – але яна прыходзіла не заўсёды. І як бы я ні хацеў, убачыць пад ёй плеценага крэсла я ня мог. А гэта было вельмі істотна, паверце.

Аднойчы дзядзька з маёй цёткай павезьлі старую ў лякарню. Як толькі яны пачалі спускацца па лесьвіцы, я адразу ж выклікаў Караліну. Мы правялі зь ёй пару маўклівых гадзінаў, пакуль я, дашчэнту аглухлы й зьнясілены, не пачуў крокі дзядзькі на кухні. Намацваючы сваю вісячую недзе ў навакольнай пустэчы прытомнасьць, я дрыжачымі рукамі адчыніў вакно й выкінуў Караліну вонкі. Зайшоў дзядзька. “Ты што, курыш?” – запытаўся ён падазрона. “Ты, канешне, як хочаш, але вось я, напрыклад...”. Ён яшчэ доўга размаўляў са мной, а я краем зьніякавелага вока назіраў, як вецер прыклеіў маю Караліну з таго боку вакна да шкла, і яна халодна сочыць сваім адверзлым вокам за тым, што адбываецца ў пакоі. Урэшце дзядзька выйшаў. Вецер хутка зьмяніўся, і Караліну панесла ў стратасфэру.

Музыка грала. Я скончыў унівэрсытэт, паехаў да бацькоў, якія ўставілі мой дыплём у рамку ды павесілі над тэлевізарам. Дома я маляваў Караліну, аднак ці то я зусім згубіў мастацкія здольнасьці, ці то мне ня вельмі хацелася, каб яна пасялілася ў доме, дзе я нарадзіўся – тая Караліна, якую я жадаў, не атрымлівалася. Толькі ўвосень, засохшы ад вымушанага лайдацтва, у мяне нешта выйшла: Караліна стала ладнай, нібы прайшла курс пахудзеньня. А яшчэ падчас аднаго з нашых сэансаў у яе зьявіўся сад – гэта быў сад пры загарадным доме, за высокай агароджаю, каб ніхто не пабачыў оргіяў, якія яна тут арганізоўвала. Потым у садзе загучалі галасы гасьцей – яны таксама сядзелі ў плеценых крэслах, рознага полу, паўтараючы яе позу... Ці любіў я яе? Ці быў закаханы, стаўшы ў адну чаргу да некаторых пэрсанажаў жахлівых літаратурных пэрвэрсіяў? Не, адкажу я, не, усё наадварот – я ненавідзеў Караліну, як толькі ўмее ненавідзець чалавек тых, без каго ён ня можа абысьціся.

Я вярнуўся ў горад, дзе жыў дзядзька, зьняў там пакой у адной сям'і. Прыходзячы пасьля працы, я зачыняўся й займаўся чым хацеў: цяпер я ўжо не зьнішчаў Караліны і яе гасьцей, я набыў

вялікі ліст паперы й намаляваў там свой навязьлівы й прымітыўны сюжэт у фарбах. Захоўвалася Караліна сярод маіх асабістых рэчаў, і ўсё йшло нібыта цудоўна, пакуль не здарылася катастрофа. Я піў з гаспадарамі гарбату, мы мірна глядзелі тэлевізар. Іх дачка гадоў дзесяці сядзела за сталом у белым сачку лямпы й мазюкала нешта ў вучнёўскім сшытку. Гаспадыня зморана паднялася й пашыбавала на кухню. Мімаходзь яна зазірнула праз плячо дзяўчынкі й вохнула. Гаспадар паволі падняўся й пайшоў паглядзець. Ён вылаяўся, выхапіў сшытак з рук дзіцяці й пачаў біць яе па шчаках. Я пабляднеў. "Хто цябе навучыў маляваць такое?" – галасіла маці. Дзяўчынка моўчкі пабегла ў свой кут. Я сядзеў за сталом, калі ў мае дзьверы пагрукалі. "Я вымушаны праверыць", — усё яшчэ ветліва, але пагрозьліва прамовіў гасападар – да ягоных ног ціснулася дачка, зь цікавасьцю паглядваючы на мяне. Што й казаць – яны знайшлі Караліну; я спрабаваў бараніць свае права на недатыкальнасьць, але бацька дзяўчынкі заехаў мне ў зубы і ў той жа вечар выкінуў на вуліцу, забраўшы ўсе грошы – як ён выразіўся, "за маральныя страты".

Я знайшоў другое жытло, аднак цяпер заўсёды браў Караліну з сабою – новую Караліну, бо тая была ганебна зьнішчаная ў мяне на вачах. Мы хадзілі ў парк, і там, паклаўшы на калені спартовую газэту, я наведваў яе сад. У парку мы і сустрэліся з маёй нявестай. Калісьці яна сядзела ў той жа чытальнай залі, што і я, і часам мне здаецца, што менавіта яна была тады перада мной, калі я шаптаўся з маёй Каралінай за стэляжамі. У першую ж ноч яна засталася ў мяне начаваць – балазе, маім новым гаспадарам было напляваць, хто ходзіць да мяне ў пакой, ім навогул усё было да лямпачкі – а празь месяц зацяжарыла. Цяпер яна замінала маім сустрэчам з Каралінай, і тады я стаў пакутліва вырашаць: каго зь іх пакінуць са мной. Як ні дзіўна, зрабіць выбар мне дапамаглі зубы. Адзін зь іх раскрышыўся, я пайшоў да ўрача, і ў прыёмным пакоі зірнуў на сябе ў люстэрка. Маршчына паўзла праз мой лоб, раскрышаны зуб ныў, і статус будучага бацькі лямантуючай істоты, полу якой я нават ня ведаю, пасяляў у душы пачуцьцё безнадзейнага глупства майго існаваньня. І Караліне была наканаваная сьмерць.

Нявеста звольнілася з працы, і нават не выходзіла безь мяне з дому, скардзячыся на тое, што ёй страшна. Агаломшаны ад неабходнасьці ўзвальваць на сябе цяпер яшчэ і чужых прывідаў, я ў разгубленасьці сядзеў у сваёй падатковай інспэкцыі й ня ведаў, што рабіць. І вось момант надарыўся. Усё было проста: я прачнуўся

раней за маю нарачоную, таропка апрануўся й выскачыў на вуліцу з Каралінай пад пахаю. Спачатку я хацеў выкінуць яе ў сьметніцу, але на злосьць усе сьметніцы знаходзіліся якраз у тых месцах, дзе сямігадзінныя людзі, пасьлізгваючыся на першым лёдзе, сьпяшаюцца на працу. Тады я вырашыў спаліць яе, набыў запальнічку й потым да зьнямогі хадзіў коламі па сваім мікрараёне: гэта выклікала б падазрэньні – чалавек, які паліць нешта. Вы ж самі памятаеце тыя часіны: кожны другі сустрэчны на вуліцы – міліцыянт. Усё ж я наважыўся, абраў момант, калі прынамсі на мяне ніхто не глядзеў, паклаў Караліну пад адну з тых лавачак, на якіх з нагамі сядзяць юныя дэбілы, і пасьпешліва пайшоў ў гушчар двароў.

Ён дагнаў мяне амаль каля майго пад’езду, і якой клаунадай мне падалося маё зацярушваньне сьлядоў! “Вы забылі”, — сказаў ён спакойна. “Гэта не маё”, — прамармытаў я. “Я рамантаваў на бальконе сынаў ровар”, — прамовіў ён так, нібы кола ровару было чароўным люстэркам, што паказвае ўсіх злыдняў у радыюсе трох вёрстаў. “Вы памыліліся”, — сказаў я фальшыва і ўцягнуў галаву ў плечы. “Я рамантаваў ровар і падняўся, каб выцерці пот”, — сказаў ён весела й сунуў мне Караліну ў руку. “Я не глядзеў, што там. А вы шпіён...”. Ён зарагатаў, і я скрывіў вусны. “Я чэсны чалавек”. Ён, відавочна, чакаў нейкае ўзнагароды, але я схапіў Караліну й пайшоў прэч.

Праз гадзіну я быў на аўтобусным вакзале. Успацелае й згаладнелае маё цела выйшла на амаль безыменным прыпынку недалёка ад таго месца, дзе тырчыць гарадзкая рыса. Я прайшоў праз поўны чалавечых адкідаў узьлесак, прамачыў ногі, адольваючы бадай што абарончы роў, і неўзабаве апынуўся ў полі, заціснутым паміж могілкамі людзей і пагостам невядомых мне сельскагаспадарчых мэханізмаў. Караліна выпала з маіх рук на сьнег. Я нахіліўся, падняў яе й пасьля некалькіх сутапрговых спробаў запаліў. Караліна гарэла неахвотна, марудна, дымна. Я запальваў яе зноў і зноў, з розных канцоў. Адсырэлая Караліна. Караліна. “Так-так”, — пачуў я раптам каля самага свайго вуха. “Чытаць ня ўмееце... Тут ня тое месца, дзе агонь дарэчы...”. Іх было двое, і хто яго ведае, як яны здолелі падыйсьці да мяне так нячутна. “Дык зіма...”, — жаласьліва прамовіў я. Трохі воддаль ад гэтых дваіх, паблісквaючы на сонцы дзьверцамі, стаяў легкавік. “Паедземце складаць пратакол”, — ласкава сказаў адзін зь іх, а другі прафэсыйным рухам выхапіў у мяне абгарэлую Караліну й сунуў сабе пад паху.

У машыне мне было дазволена трымаць Караліну самому. Мы

шпарка даехалі да гораду, не зважаючы на сьветлафоры пранесьліся празь яго й выехалі на паўночную шашу. Я баяўся пацікавіцца ў маіх спадарожнікаў, куды мы імчым, ды неўзабаве й сам перастаў глядзець у вакно. Мы праехалі не спыняючыся дзень, і другі, і трэці... Прайшоў месяц, і недзе далёка застаўся новы год, і спаленыя чучалы зімы, і купальскія колы ў падробных вёсках, і Караліна спарахнела ў маіх руках, а мы ўсё яшчэ імчым на поўнач, — кола круціцца: сьняжынка, пупышка, матылёк, ліст, — на поўнач, туды, дзе вада, цяжкая як мазут, лепш за нас ведае, што з намі рабіць.

ПАГРОЗА

Ня дайце яму падняцца зь месца!

Позна.

Вось ён выходзіць з тралейбусу, Калтуноў: глядзіць, ці на месцы кашалёк, тэлефон, ключы, супакоена робіць некалькі рашучых крокаў і потым зноў, нібы папярэдняя праверка магла апынуцца падступным сном, спыняецца, устрывожана тыцкае сябе пад рэбры, ляпае па грудзёх, гладзіць маланку на сумцы. На ім скафандр кітайскай вытворчасьці, разьдзьмуты ва ўсе бакі так, што Калтуноў ня бачыць, што ў яго пад нагамі. Да дому, да ягонага пад’езду, над якім і дзень і ноч гарыць рэдкім хваравітым сьвятлом жоўтая лямпа, адсюль ужо зусім недалёка. Прабегчы пад ліхтарнымі сузор’ямі, абагнуць школу й спусьціцца па адпаліраванай санкамі лесьвіцы. Ён нырае ў шалік і мкне наперад між купак бітай ледзяной гонты.

Колькі ён сябе памятаў, яму заўсёды хацелася жыць паблізу ад мэтро. Так блізка, каб вушы не пасьпявалі замерзнуць, пакуль дойдзеш ад пад’езду да станцыі. Аднак у кратовых гульнях, якімі цешыліся апошні час гарадзкія ўлады, для Калтунова месца не знаходзілася. Варта было яму пакінуць бацькоўскі дом, як запаветны пункцір на схемах мэтрапалітэну прарос менавіта там, дзе месьціўся родны мікрараён. Каля цешчынай сталінкі, куды яму давялося перабрацца, зрэдзьчас таксама нешта капалі – але толькі затым, каб выдастаць з-пад зямлі якое-небудзь рэха вайны. А там, дзе яны з жонкай цудам прыдбалі ўрэшце ўласны кут, мэтро сапраўды мусіла неўзабаве зьявіцца – праз паўстагодзьдзя.

(Каля мэтро? – пахмурнела маці. – У свой час мы з тваім бацькам марылі не пра дзе, а пра што! Калтуноў моршчыўся і адным глытком дапіваў гарбату. Такіх, як маці, не пераканаеш. Тыя, хто нарадзіўся ў камуналцы, у высакароднай паваеннай нішчымніцы, да скону будуць загрувашчваць кватэру мэбляй, ратуючыся такім чынам ад страшнага, амаральнага лішку прасторы, хлеб у іх заўжды будзе ўсяму галава, нават дыетычны, а запасу запалак у кладоўцы хопіць да траўня 2045 году.)

Лямпа над пад’ездам вяла адганяла ад сябе цемру. Калтуноў са спадзяваньнем зірнуў на вокны сваёй кватэры й расчаравана затупаў нагамі, абтрасаючы сьнег. Жонкі зноў не было дома, і хаця ён дакладна ведаў, дзе яна і з кім, у Калтунова зьявілася такое адчуваньне, што яго жорстка падманулі. Дарога з працы дахаты

праз увесь горад, зімовы й нявеглы, з трыма перасадкамі, была нялёгкай – ён уяўляў сябе героем-палярнікам, які ледзь не загінуў сярод таросаў, і вось ён дома – а навошта?

Паскардзіцца на сваю закінутасьць ён ня мог. Кватэра была абачліва запраграмаваная на абагаўленьне Калтунова: яшчэ цёплая вячэра ля мікрахвалевай печкі, вымыты посуд, на падлозе ні пылінкі, у лазьніцы сохне ягоная любімая кашуля. Калтуноў з апэтытам паеў, зрабіў сабе каву, падумаў і дадаў туды пару кропляў каньяку, уключыў тэлевізар і стаў глядзець у вакно. Нязгасная лямпа над пад'ездам ледзь даставала сваім сьвятлом да тратуару. У доме на другім баку вуліцы, на першым паверсе, жонка бавіла ягоны, калтуноўскі, вечар.

З музыкантам Лісіцам яна пазнаёмілася ледзь не на наступны дзень пасьля іхных улазінаў. У тое, што жонка яму здраджвае, Калтуноў ня верыў – хутчэй яна задавольвала з гэтым грубаватым і гаваркім вісусам нейкія свае духоўныя інстынкты: такая фармулёўка Калтунову не зусім падабалася, але ў глыбіні душы ён разумеў, што так яно і ёсьць. Спачатку яна пачала забягаць да Лісіцы на чвэрць гадзіны пасьля працы, потым стала траціць на яго выходныя, падкармліваць зь сямейнага стала – то катлет занясе, то кавалак пірагу з разынкамі, то супу ў тэрмасе. Аддала старыя джынсы Калтунова, і куртку джынсавую, яшчэ й бляшанку згушчонкі ў яе загарнула. Паводле словаў жонкі, Лісіца расплочваўся хатнімі канцэртамі, а граў ён непараўнальна – зноў жа такі, Калтунову паслухаць выкананьне генія-самотніка яшчэ не даводзілася. Аднойчы Калтуноў ня вытрымаў, выказаў сваю крыўду, і хаця ні ў чым жонку не падазраваў, дазволіў сабе розныя намёкі... Выслухаў ён у адказ шмат: пра мастацтва, чалавечнасьць і паталягічную рэўнасьць, пра сваю прыземленасьць і абыякавасьць, пра чужую бяду. Жонцы пашанцавала: размова гэтая прыпала на тыя крытычныя дні, калі на Калтунова найшла прыкрая экзыстэнцыяльная ангіна – хто з нас не хварэў на такую – дзякуючы ёй за вырашэньне любой праблемы ён браўся не з таго канца; вось і тады Калтуноў паразважаў да раніцы й прыйшоў да высновы: а й праўда, чаго гэта я? Няўжо стаў настолькі стандартным, што не магу адрозьніць любоў да бліжняга ад пошлага адультэру? Так Лісіца стаў для Калтунова кімсьці кшталту прыёмнага сына.

Бачыць сыночка, аднак, Калтунову зусім не карцела. Жонка пра гэта ведала й Лісіцу прывяла да іх толькі аднойчы, на стары

новы год. Калтуноў назіраў за ім з гідлівай зайздрасьцю. Лісіца то бесьперапынна пазяхаў, паныла пазіраючы на двор, то раптам пальцы ягоныя пачыналі імпэтны бег па нябачных клявішах на кухонным стале, і ногі ў калтуноўскіх тапачках мясілі дыванны ворс. Відавочна, іхны госьць усяго толькі бессаромна гуляў у беднага генія, прынамсі, у той вечар – хто ведае, можа, у сваёй аднапакаёўцы Лісіца выглядаў больш шчырым. Жонка ж старанна ўдавала, што яна таксама чуе тую музыку, якую прынес у адрамантаваную нядаўна кухню Калтуновых аб'ект яе спачуваньня – прынес быццам бы неўпрыкмет, разам са слотай на распухлых чаравіках. Так яны сядзелі й нячутна гралі ў чатыры рукі, а Калтуноў вырашыў: плюну й буду есьці індыка. Ня чуў ён ніякае музыкі. Чуў, як сыгналізацыя спрацавала ў суседавай машыне, як прачнуўся прастылы дух халадзільніку, як радыё мармыча, і патрэсквае сьвечка за віннай бутэлькай. А музыкі не было.

— І ўсё ж вы, журналюгі, толькі абслуга, — казаў Лісіца праз паўгадзіны, жуючы мяса Калтунова. – Нельга вас называць творчымі людзьмі. Нехта грамадзян чабурэкамі корміць, нехта ў пральнях працуе, нехта інфармацыяй забясьпечвае. Бытавое абслугоўваньне.

Калтуноў тут жа пакрыўдзіўся; ён ужо даўно ўпотай занатоўваў тое-сёе, марыў раман напісаць. Не цяпер, вядома, а гадоў так празь дзесяць. Жонка заўважыла, абвілася вакол шыі, лізнула мімаходзь у вуха. "Толькі дзеля яе", — зьмірыўся Калтуноў і выціснуў зь сябе:

— А вы чым на хлеб зарабляеце, дазвольце пацікавіцца?

Чамусьці ён з самага пачатку размовы зь Лісіцам ўзяў такі тон, і ня ведаў, як яго зьмяніць.

— Гофман вось падзяляў усіх людзей на музыкантаў і немузыкантаў, — таямніча прамовіў Лісіца, накладаючы сабе капусты Калтунова, й потым дабрадушна засьмяяўся. – Ну, ведаеце, у чэргах па месца ў тралейбусе раніцай не стаю. Дзесяць верных слуг... Мае пальцы не даюць мне памерці з голаду.

Жонка паглядзела на пальцы Лісіцы й ледзь прыкметна пасьміхнулася. Калтуноў кісла хітнуў галавой. Вечар ніяк не хацеў сканчацца.

— Гэтая ваша нязгасная лямпа – проста лухта, — насьмешліва казаў Лісіца, дапіваючы віно. – Я вось ведаў адну цётку – дык у яе электралічыльнік круціўся ў адваротны бок. Уяўляеце, колькі вінен ёй энэрганагляд!

Жонка апранулася праводзіць Лісіцу, яны хацелі яшчэ паза-

баўляцца каля школы з пэтардамі, выпіць шампанскага на марозе – звалі з сабой і Калтунова, але ён пайшоў спаць. "Божа мой, як гэты Ліска мне надакучыў", – пазяхнула жонка, вярнуўшыся, і сонны Калтуноў са зласьлівай радасьцю закашляўся. А назаўтра ён зноў бавіў вечар у адзіноце.

Прыгадваючы ўсё гэта, Калтуноў так расхваляваўся, што пайшоў да шафы па цыгарэты. Яны з жонкаю дазвалялі сабе зрэдку такое задавальненьне. Адчыніў фортку, запаліў і няўмела скінуў попел у кафейную гушчу. Вакно Лісіцы пагасла й тут жа сьвятло ў ім запалілася зноў.

Потым быў яшчэ візыт у адказ. Калтуноў шчыра ўразіўся, наколькі бедна жыў жончын навязьлівы сябра. У Лісіцы не было нават пліты. "Як жа вы..." – зьдзіўлена выцягнуў шыю Калтуноў, а Лісіца махнуў стомлена рукой: "Я дома рэдка харчуюся... А калі што, у суседкі кіпню можна ўзяць і – магі, магі".

– А дзе ж ваш інструмэнт?

Лісіца нехаця сьцягнуў з чагосьці, што падавалася Калтунову вялікім пацертым камодам, ворах анучаў. Падняў накрыўку, ускудлачыў клявішы – чорна-белы рад мільгануў і зьнік.

– Няма настрою. Тут у мяне мускат, сыр...

Калтуноў роспачна слухаў, як заміраюць незнаёмыя гукі. Магчыма, гэта было паведамленьне, паведамленьне на музычнай мове для яго, Калтунова, кароткі зьдзеклівы тэкст. Ён павярнуўся да жонкі. Тая наразала сыр, падняла галаву, зірнула на яго зь вясёлым пытаньнем у вачох.

А была ж яшчэ трэцяя сустрэча. Трохі п'янаваты (у рэдактара быў дзень нараджэньня), Калтуноў бег дахаты па сваім звычным вячэрнім маршруце, і каля школы, там, дзе за кустом арэшніку, як пэрыскоп субмарыны, тырчаў проста са сьнегу іржавы кран, спаткаў Лісіцу, які хадою касманаўта адольваў ледзяную дарожку.

– Жывым вы мне падабаліся больш, – сказаў Лісіца замест прывітаньня. Калтуноў спыніўся й з выклікам прамовіў:

– Нам трэба пагаварыць.

– Што вы сказалі? Вы бурчыце ў ваш тоўсты шалік, і словы заблытваюцца ў нітках.

Балянсуючы на лёдзе й раз-пораз хапаючыся адно за аднаго, каб захаваць раўнавагу, яны пачалі высьвятляць адносіны. Калтуноў імкнуўся трымаць сябе з годнасьцю, але неўзабаве ўжо крычаў, і рэха білася ва ўнутраным двары школы, нібы там, у поўнай

цемрадзі, праводзілі лінейку. Цішэй, цішэй – Лісіца, не падымаючы пакуль пальчаткі, адно падносіў палец да ўсьмешлівых тонкіх вуснаў, Калтуноў выбачаўся зьбянтэжаным шэптам і потым лямантаваў зноў. Ён абрынаў на Лісіцу белыя касмылі пары і абвінавачаньняў, а той маўчаў, і толькі ногі ягоныя нэрвова езьдзілі па шэрым лёдзе.

А калі пара ў роце Калтунова скончылася, Лісіца ўздыхнуў і нягучна пачаў сваю адповедзь. Гэты прайдзісьвет думаў адбрахацца дурнымі сваімі жартачкамі, а калі Калтуноў падступіў бліжэй, стаў несьці ўжо поўную лухту. І раптам, па маркотным зялёным агеньчыку ў вачох Лісіцы, па брыдоцьці, якое той таропка прамаўляў, быццам сьпяшаючыся як найхутчэй схавацца за нагрувашчаньнямі неімаверных нейкіх, няісных у прыродзе рэчаў, Калтуноў ясна ўсьвядоміў: ён меў рацыю, і роля падманутага мужа яму не пагражае. Як бы Лісіцу гэтага не хацелася.

Ён загасіў цыгарэту, прайшоў у спальню, распрануўся й лёг. Уключыў тэлевізар. Сон адразу ж наваліўся на Калтунова, задушыў Калтунова, пасадзіў яму на павекі белых птахаў, пахаваў яго між гарадзкое мерзлаты... Калтуноў пабачыў сябе пад агромністым сталом, зь якога на мягкі дыван марудна падаюць шматкі гарачага попелу – апускаюцца на ворс, буйныя, шэрыя, несучы з сабой ружовую памяць агню... Дыван успыхвае, і кватэра напаўняецца дымам. Калтуноў бегае пад сталом, па ножках якога ўжо караскаецца полымя, Калтуноў крычыць штомоцы, аднак ніхто яго ня чуе. А ці праўда, ці затушыў ён цыгарэту?

Ён усё ж выдзер сябе са сну. На экране й праўда нехта крычаў – гэта й дапамагло яму прачнуцца. Калтуноў кінуўся стрымгалоў на кухню, што непрыемна пахла тытунём. Трупік недапалку паволі пагружаўся ў багну недапітае кавы. Калтуноў адчыніў фортку й выплеснуў зьмесьціва кубку ў сьнег.

Некалькі дзён таму Лісіца захварэў – нічога дзіўнага, ён ня меў нават зімовага абутку, пакуль жонка не аднесла ў майстэрню старыя калтуновы вунты, якія там за падвоеную плату рэанімавалі яшчэ на адзін сэзон. Наступным ранкам, перад працаю, Калтунову давялося ісьці ў аптэку – наўрад ці б ён зрабіў гэта, але калі а сёмай раніцы жонка абыходзіцца з табой так пяшчотна – з табой, з табой, якога яна бачыць кожны дзень ужо восем гадоў і восем месяцаў, з табой, які ўвечары засынае адразу ж, як толькі прыме гарызантальнае становішча, з табой, які... Лісіцу, па аповедах жонкі, сапраўды добра скруціла: даводзілася нават выклікаць хуткую.

Калтуноў узгадаў, як учора, калі ён апранаўся на працу, жонка сказала яму, расчэсваючыся ў ванным пакоі:

— Ведаеш, я ўчора... Ён нарэшце заснуў, і мне – я якраз сядзела каля ўзгалоўя... мне падалося...

— Што?

— Ягоныя пальцы варушыліся, быццам ён... Быццам ён граў у гэты момант. Цікава, што за музыку ён чуў?

Калтуноў з палёгкай высмаркаўся, апынуўшыся ў сваім скафандры. Ён напнуў на галаву мехавы капялюш і зазірнуў у лазьніцу:

— А калі я буду валяцца з тэмпэратурай пад сорак, ты будзеш сядзець каля майго ўзгалоўя?

Яна абярнулася й выцягнула ўмольна рукі:

— Ну што ты такое гаворыш! Буду! Буду! І каля твайго, і каля Кацькінага, і каля бацькавага, і каля Міхаіла Пятровіча буду! Бо калі ў маіх сілах палегчыць...

У вачах жонкі бліснулі доўгачаканыя сьлёзы:

— Ён жа ў гэтым горадзе абсалютна адзін...

Калтуноў пацалаваў яе й пайшоў на працу.

Каля ўзгалоўя. Узгалоўе. Коўдра. Ложак. Падушка. Праз хвіліну ён ужо спаў, трымаючы руку паміж ног, у той позе, у якой чакаюць свайго зьяўленьня на сьвет усе зародышы сьвету, ад чалавечых да рыбіных.

Назаўтра ён доўга ня мог падняцца, быццам яго трымалі схаваныя пад прасьцінай нечыя белыя цёплыя лапы, — і таму ад сьняданку давялося адмовіцца. Калтуноў сьпешна сабраўся й цалкам мог бы пасьпець на працу, калі б не заўсёдныя яго ранішнія страхі. У пачатку кожнага працоўнага дня яны адымалі ў Калтунова даволі шмат часу: яму ўсё здавалася, што ён забыў выключыць газ, і Калтуноў, аж пакуль у яго не пачыналі балець вочы, усё вяртаўся й вяртаўся на кухню, ужо абуты, і ўзіраўся ў праклятыя ўключальнікі на пліце. Калі ж наважваўся нарэшце пераступіць парог, і тады страх даставаў да яго, ужо пакідаючага кватэру – зь незвычайнай выразнасьцю ён уяўляў жонку, якая бесклапотна сьпіць, пакуль паветра вакол яе напаўняецца нябачнай і страшнай атрутай, і Калтуноў адмыкаў дзьверы, вяртаўся й наноў упіваўся вачыма ў шэраг бяскрыўдных на выгляд колцаў, кропачкі на якіх, здавалася, толькі й чакаюць, каб падскочыць уверх адразу пасьля сыходу Калтунова.

Якімі ж лёгкімі былі раніцы, калі жонка прачыналася разам зь ім! Ня трэба было траціць час на задаволеньне ўсіх гэтых фобіяў. Аднак часьцей за ўсё жонка яшчэ спала. Вось і сёньня гадзіньнік паказваў ужо восем, калі Калтуноў, мысьленна ўжо плачучы на жончыных хаўтурах, выйшаў на мароз, пад сьвятло нязгаснае лямпы.

— А й праўда, дзе ж яна выключаецца? – падумаў ён сонна, узьбіраючыся на ўзгорак да школы. Яго чакаў працяг ранішніх кашмараў – тралейбусны прыпынак. Камунальныя рогі гэтых пачвараў ужо гайдаліся ўнізе ў прадчуваньні Калтунова, ужо ляскалі іхныя прагныя сківіцы... Калтуноў абагнуў школу й пабачыў яшчэ адзін небясьпечны недагляд. З жалезнага крану, які тырчаў убаку ад дарожкі, за прутамі замерзлага арэшніку, біў тонкі струмень гарачай вады. Яна лілася ў сьнег, паступова ўтвараючы пад кранам шырокую ледзяную шапку, празрысты блін з маленькім вірам кіпню пасярэдзіне. Калтуноў, зачараваны выглядам крану, спачатку прайшоў міма, але потым вярнуўся й паспрабаваў закруціць яго. Рукі ў пальчатках сасьлізгвалі ўніз, і неўзабаве ледзь ня трапілі пад струмень. Ён зьняў пальчаткі. Уключальнікі пліты стаялі ў Калтунова перад вачыма. Люты холад, які, аднак, пасадысцку абяцаў пякучую вечную цеплыню праз пару хвілінаў – толькі пацярпі! – працяў далоні. Калі кран і паддаўся, то хіба на некалькі сантымэтраў. Калтуноў удыхнуў пах гарачае вады й рушыў да прыпынку.

— Сёньня ноччу яна сказала, што яму лепей, — падзяліўся ён з Косьцем, калегам, які быў у курсе Калтуноўскіх праблемаў, у сталовай НДІ, дзе яны часам абедалі. Паверхам вышэй рэдакцыя арандавала тут памяшканьне.

— Каму?

— Ну гэтаму, музыканту. Прыйшла апоўначы, легла як ні ў чым ні бывала. Булён, сказала, учора еў, — Калтуноў усьміхнуўся й задуменна дажаваў сасіску. – Упершыню за тры дні.

— Дзяцей вам трэба завесьці, — сказала раптам Башмакова з аддзелу рэкламы. Калтуноў зьдзіўлена падняў на яе вочы. – Ёй проста хочацца даглядаць каго-небудзь, хочацца, каб быў нехта капрызны й шумлівы, за кім трэба... А ў цябе занадта мала патрэбаў. Дзеці, толькі дзеці.

Калтуноў зьдзіўлена зірнуў на Косьцю, але той апусьціў вочы й схапіў паднос. “Дзяцей!”, — крыкнула ім усьлед Башмакова й пераможна агледзела павернутыя да яе галовы.

Жонка патэлефанавала пасьля абеду – Калтуноў ужо рыхтаваўся паставіць кропку й вісеў над клявіятурай, раздумваючы, ці не запусьціць усё ж пару крытычных стрэлаў. Яму зноў стала горш, сказала яна і потым, нібы просячы прабачэньня, дадала: я пасяджу сёньня ў яго да раніцы, добра? Ён зарохкаў нешта няўцямнае; на экране, за чорнымі радкамі, што вылезьлі з Калтунова за некалькі пасьляабедзенных гадзін, яму бачыўся кран у рудой лусцы іржы, і вада лілася ў сьнег, бы мача. У слухаўцы пачуліся гудкі. Ён доўга замыкаў дзьверы, зноў і зноў правяраючы, ці блішчыць у шчыліне палоска мэталёвага язычку.

Ідучы каля школы, ён на гэты раз вырашыў не глядзець у бок кустоўя, аднак нехта выгукнуў зь цемры, менавіта адтуль, дзе ён сёньня а восьмай рабіў ранішнюю гімнастыку: “Малады чалавек, дапамажыце!”. Калтуноў паскорыў хаду, але яго пазвалі зноў.

Каля крану стаяў, разьвёўшы рукі ў ненатуральна вялікіх рукавіцах, дзядок з тых, якія вечна лезуць не ў свае справы. “Што робіцца, га?” Налягаючы ўсім целам, Калтуноў пад мацюканьні дзядка зноў паспрабаваў закруціць кран, і прамачыў-такі нагавіцы, так што да пад’езду ён падыходзіў зь ледзяной коркай на каленях. Перад тым, як легчы спаць, ён сунуў у сумку гаечны ключ.

Жонка прыйшла, калі Калтуноў абуваўся – пад вачыма чорна, на галаве абы-што, нейкая хустка. “Я ня ведаю, што рабіць”, — яна таропка пацалавала яго й зморана пашыбавала на кухню. “Я яму кажу: табе ў лякарню трэба, а ён ні ў якую. Давядзецца адпрасіцца сёньня з працы”. Калтуноў моўчкі выйшаў за дзьверы.

На гэты раз ён абыйшоў школу з другога боку й такім чынам змог падкрасьціся да крану ззаду. Хвілінаў праз дваццаць яму ўдалося закруціць кран амаль напалову; нейкая настаўніца, ідучы па замерзлай сьцежцы да школьнага ганку, ухвальна крыкнула яму: “Даўно б так!”. Струмень і праўда біў ужо не з такой сілай. Успацелы Калтуноў схаваў гаечны ключ у сумку й пабег да прыпынку, ён адчуваў неймаверны ўздым. Тралейбус быў паўпусты, мэтро падалося прасторней – Калтуноў спазьніўся на працу больш чым на паўтары гадзіны. У калідоры ён наткнуўся на рэдактара, і той нават не павітаўся з Калтуновым.

Увечары дома ён знайшоў на стале цыдулку ад жонкі. “Прыязджала Кацька. Ліска ў лякарні. Я павезла яму рэчы. Пяльмені ў лядоўні. P. S. Там напісана, як гатаваць”. Калтуноў доўга стаяў пад душам, яму ўсё здавалася, што вада недастаткова гарачая, і ён усё нахіляўся й нахіляўся да крану, аж пакуль не адчуў, што яшчэ

хутка, і ён зварыцца зажыва. У пэўны момант ён пачуў, што нехта звоніць у дзьверы, але вылазіць з-пад душа, як з-пад цёплае коўдры, яму не хацелася. Потым ён загарнуўся ў халат, выпіў каньяку й ледзь не заснуў на кухні.

На наступны дзень кран абараняўся ад Калтунова больш удала. У пэўны момант Калтуноў нават падумаў адмовіцца ад змаганьня і амаль з роспаччу схапіўся за ключ, перад тым як пайсьці да прыпынку. Аднак наляцелы зьнянацку вецер, які павярнуў струменьчык акурат на абутак Калтунова, прымусіў яго напасьледак яшчэ раз як сьлед напружыць сілы, і пару міліметраў ён выйграў. Жонка патэлефанавала яму на працу – яна вырашыла, пакуль Лісіца ў лякарні, пажыць у Кацькі – адтуль да абласной было два кварталы. Калтуноў зь дзіўным спакоем выслухаў вынікі аналізаў – яны, на жаль, пакуль не ўнушалі асаблівага аптымізму – і, перадаўшы Кацьцы прывітаньне, паклаў слухаўку.

Назаўтра, па звычцы сем разоў пералічыўшы ўключальнікі на пліце, Калтуноў пабег да крану. Мароз прыкметна саслабеў, сьнег стаў ломкі, як шакаляд, але ўсё ж Калтуноў некалькі разоў пасьлізнуўся, перад тым як апынуцца ля кустоўя. Да турніку на школьным стадыёне былі прыслоненыя лыжы, побач нарэзваў колы нейкі бамбіза. Працуючы па чарзе, яны дасягнулі таго, што вада цяпер толькі крапала з крану. Увечары занепакоены Калтуноў двойчы хадзіў да школы праверыць, ці не давядзецца заўтра пачынаць усё спачатку. Але з крану, з прыемным і прыймальным інтэрвалам, падалі на падталы, раскіслы лёд такія ж цяжкія кроплі.

Раніцай у пад’езьдзе ён сустрэў суседа. Той быў відавочна ўзрадаваны тым, што да прыпынку яны пойдуць разам, пачаў нешта распавядаць пра сваю новую машыну. Спыніўшыся пад лямпаю, Калтуноў разьвітаўся зь ім і пакрочыў па вуліцы ўніз. Дачакаўшыся, пакуль расчараваны сусед адолее слотныя прыступкі, Калтуноў шпарка пайшоў уздоўж школы й пастаяў трохі, укрыўшыся за яе доўгай сьцяной. Дзеці зь цікаўнасьцю глядзелі на яго ў вакно, і маладая настаўніца раздражнёна завесіла фіранкі. Калтуноў паволі падыйшоў да крану й скінуў скафандр. Лёд амаль растаў, і пад ім агалілася выспа бруднай, бурай травы, у яую падалі каламутныя кроплі. Ён прымружыў вочы, пастаяў крыху, й потым узяўся аберуч за вэнтыль і павярнуў яго. Неймаверная палёгка агарнула Калтунова, і падхапіла Калтунова, і шпурнула яго кудысьці ўбок, і падняла над вуліцай, над усім тым рухомым, рухавым, няспынным і шумным, цеплакроўным і вібруючым, што няўхільна пасоўвалася ў накірунку мэтро.

АБСАЛЮТНЫ СЛЫХ

На мэдыцынскай лаціне ён называецца tragus – абцягнуты скурай храшчык, дэкаратыўны вартавы каля ўваходу ў пячору чалавечага вуха, туды, дзе зьдзяйсьняе сваю ўрачыстую працу самая дзіўная з існых на сьвеце кавальняў. Амаль бескарысны, амаль атавізм, часам нават зусім непрыкметны, ён тым ня менш яшчэ скарыстоўваецца некаторымі з нас дзеля пэўных мэтаў; з абсалютным падабенствам паўтораны ў невідочнай блізкасьці ад свайго пасту, задуманы хутчэй з аглядкай на непадатлівую пустэльню, чым на заўжды гатовыя да кампрамісу цесныя гарады ў люстэрку задняга агляду; кропля барбарства ў барочнай ракавіне вонкавага вуха – трагус. На яго можна націснуць пальцам, прыцішыўшы навакольны сьвет, пазбавіўшы яго на нейкі час стэрэагучаньня – а можна націснуць адначасова на абодва свае трагусы – а можна ганяць свае трагусы туды-сюды, то прыбіраючы пальцы, то зноў тыцкаючы імі ў вушы, прымушаючы вуліцу мярзотна квакаць, ператвараючы ўсё ў анэкдот, у сьмехатуры, у бязглуздую гульню.

Вось і я, наіўны, напружана цісну цяпер на абодва свае трагусы, спрабуючы хаця б на хвіліну выключыць гэты нясьцерпны крык за сьцяной. Цісну, забыўшы, што аднойчы пачутае можа стаяць увушшу яшчэ доўгія гады. Бо трагус – бутафорскі жаўнер, ён адразу ж забываецца на тых прыхадняў з катавальнымі прыладамі, што прасьлізнулі міма. І лямант, які чуецца з-за сьцяны, разьдзірае мяне знутры. А я цісну й цісну на трагусы, ажно пакуль яны не пачынаюць балюча сьвярбець – і ўсё адно з гулкай ратавальнай ваты пакрысе высоўваецца зьняможаная пыса жахлівага крыку.

Седзячы вось так за сталом і трымаючы сваю цяжкую галаву ў руках, нібы баскетбольны мяч перад тым, як кінуць яго ў карзіну, я не адразу разумею, што мне гаворыць Альбінос на гэты раз: ягоны твар падплывае да мяне збоку, нахілены амаль да майго носу; вусны Альбіноса варушацца, і ўсьмешка на іх, гэтае агіднае аднаклетачнае, паволі скарачаецца:

– Што? – я пасьпешліва перахопліваю ў яго двухкроп’е: Што? Я болей не магу! Я зараз памру! Скажы ім, каб яны спыніліся! Прашу цябе! Скажы ім!

Я адымаю пальцы ад скроняў. На колькі імгненьняў стала ціха, нібы адмыслова для таго, каб даць мне прамовіць гэтыя прыніжальныя словы. Аднак як толькі я замоўк, енк за сьцяною распачаўся з новай сілай. Альбінос пасьміхаецца й садзіцца перада мной

на крэсла, налягае грудзьмі на сьпінку, кладзе на яе рукі, глядзіць на мяне пяшчотна-зьдзекліва; ён ня мае броваў.

— Няўжо чуваць? Я ўжо думаў, ты аглух. Так заціскаў вушы, я думаў, і дзірак не застанецца – зарастуць, рассмокчуцца вухі!

Сьмех у Альбіноса хрусткі, сухі – з такім гукам камечаць новы, пусты цэляфанавы пакет. Ён закатвае чырванаватыя вочкі й тупае нагой ад задавальненьня, у такт крыкам з суседняга пакоя. На Альбіносе майка-барцоўка й сінія шорты, такія шырокія, што паміж ног, калі ён садзіцца,надзімаецца сапраўдны шар. О, за той час, які мы прабавілі разам, я пасьпеў добра вывучыць ягоную зьнешнасьць вечнага хлопчыка, пах ягонае дарагое парфумы ўеўся ў кожную складку майго сьціплага гардэробу, звыкся з тым, што ён почасту шчыпае сябе за левы сасок, размаўляючы па тэлефоне, я пасьпеў узьненавідзець ягонае цела без усялякіх прыкметаў расьліннасьці – у адной маёй наздры больш валасоў. “Няўдачнік”, — кажа Альбінос ласкава й торгае мяне за мочку вуха, пакуль я – з трэцяй спробы – не затыкаю сваімі трагусамі закатаваныя слыхавыя каналы. Гэта дае прынамсі ілюзію таго, што я нічога ня чую.

Няўдачнік. Гэта праўда, мне ніколі не шанцавала. Гэта праўда (неўтаймаваны крык) што мне (гайдаецца) ніколі (паміж маіх) не шанцавала (трагусаў) гэта праўда (як акрабат) што мне (пад купалам цырку) ніколі (на трапэцыі) не шанцавала (рытмічна стукаючыся ў чарапную каробку). Я нават рады, што не ажаніўся, што не займеў дзяцей, што згубіў сяброў, аднаго за адным, нібыта ў душы маёй зеўрыць дзірка, куды яны з зайздроснай паступовасьцю правальваліся – рады, бо цень майго фатальнага нешанцаваньня несумненна закрануў бы і іх, а так кепска толькі мне, падарожніку на пыльным прасёлку – іншыя выправіліся чыгункай. Апагей жа майго нешанцаваньня прыпаў на той дзень, калі мы стаялі баязьлівым натоўпам там, унізе, ля ганку – брудна-брунатыя статуі ў тонкіх сарочках сьнегу, каля якіх мы тады абменьваліся грубымі жартачкамі, я магу пабачыць і цяпер, варта толькі прыўстаць з-за стала і адсунуць фіранку. Альбінос прыбыў ці не з самай апошняй партыяй, на ім былі тыя ж шорты й майка. Ён паводзіў сябе так бесцырымонна, што наша купа сьціхла: кожны баяўся атрымаць яго суседам. А я, як толькі пабачыў, зараз жа зразумеў: мне трапіцца менавіта Альбінос. “Ты чаго вылупіўся?” – кінуў ён мне, калі пачаўся падзел на пары. А я ня мог адвесьці позірку ад ягоных чырвоных, як на фатаграфіях, зрэнак.

— Скажы ім! Ну скажы ж ім! Няхай яны перастануць! Гэта невыносна!

— Невыносна? – Альбінос пацiскае плячыма. – Я б не сказаў. Зрэшты, ты ж можаш выйсьці з пакою. Ніхто цябе не трымае.

Я бясьсільна й ціха выю, загортваючы кнігу. Крыкі працягваюцца, пранізьлівыя, пакутныя. Нават у гэты момант мне прыкра ад таго, што я зноў забыў закласьці старонку – давядзецца потым шукаць, а старонкі ж непранумараваныя, некалькі тысяч старонак таўшчэзнай кнігі. Застаецца толькі, як заўсёды, узважваць на далоні паперу, каб хаця б прыкладна вызначыць месцазнаходжаньне тых словаў, на якіх я спыніўся. Складаны занятак, які да ўсяго вымагае засяроджанасьці, а яе амаль немагчыма дасягнуць у пакоі, за сьцяной якога нехта так роспачна лямантуе. Я ўяўляю сябе сьпінай, аголенай сьпінай, якую бязьлітасна паласуе аўтаматычная пуга. Раптам Альбінос падымаецца з крэсла – адно затым, каб сарваць гронку вінаграду над ложкам.

— Хочаш? – ён запытальна глядзіць на мяне. – Ну, як хочаш. Не, мне таксама больш да спадобы чорны, але ж выбіраць не даводзіцца, праўда?

Ён адкрывае рот, і мне падаецца, ягады самі саскокваюць яму між зубоў. Я кладу галаву на кнігу.

Ужо ў першы вечар нашага знаходжаньня тут высьветлілася, што болей за ўсё Альбінос любіць гуляць і перамагаць. Я быў надзвычай зьдзіўлены, калі гэтая каржакаватая істота раптам выдастала зь невялікага чамадану безьліч розных пці-жо, як іх называлі калісьці: там былі маленькія дарожныя шахматы на магнітах і гэткія ж шашкі, там былі нарды й го, парнаграфічныя карты й гульня “Загані шарык”, тамагочы й даміно, дроцікі з наборам мішэняў, розныя дзіцячыя забаўлянкі накшталт “Аўтагонак” і цэлы пакецік гуляльных касьцей, настольны футбол і нават плястмасавы рэвальвэр з шасьцю кулямі. Што казаць: жадаючы, каб Альбінос як найхутчэй ад мяне адчапіўся, я прайграў яму ў кожную з гэтых гульняў па чарзе – у шашкі мы гулялі ўжо глыбокай ноччу, і мне дужа хацелася спаць, пагатоў мы абодва зрабілі перад гэтым сапраўды доўгі шлях. Пераканаўшыся, што гулец зь мяне ніякі, засмучаны Альбінос прапанаваў пабарукацца й выйграў разоў дваццаць запар. Тады ён разьюшыўся й нават выклікаў адміністрацыю, патрабуючы больш канкурэнтаздольнага суседа. Што і казаць: натуральна, яму адмовілі. Каб дагадзіць Альбіносу, я шчыра

пастараўся ўзяць рэванш у шахматах, самай інтэлектуальнай, як я вырашыў, гульні з тых, якія былі нам даступныя – і атрымаў мат ужо на шостым ходзе.

Такія ўспаміны трохі дапамагаюць мне трываць крык. Калісьці я любіў сваё цела, яно выглядала і адчувалася зручным іноскім – а цяпер бы я шмат чаго зьмяніў у ім, так, зьмяніў. Памяняў бы свае трагусы на што-небудзь больш прыдатнае ў гаспадарцы, напрыклад. Чалавечы арганізм мае важную асаблівасьць: калі доўга ўзьдзейнічаць на нейкі орган успрыманьня, ён перастае рэагаваць на раздражняльнік, або прынамсі рэагуе на яго ўсё слабей і слабей. Так мы ўратаваныя ад перагрузак жыцьця. Ня ведаю, ня ведаю: пакуль што галашэньне з-за сьцяны аніяк не прытупіла маё ўспрыманьне – наадварот, яно затачыла мае бедныя нэрвы, як лязо, затачыла да апошняй мяжы. І я змахваю з каленяў бясконцы мэталёвы пыл. Бо як можна звыкнуцца з крыкамі болю?

Выплюнуўшы ў кулак апошнюю костачку, Альбінос кладзецца на мой ложак і нібыта зьбіраецца трохі падрамаць. У тым, што гэта крык болю, я ня маю аніякіх сумненьняў – бы музыкант, я магу сёньня раскласьці катавальныя гукі на партыі. Аснову іх складае першасны, прымітыўны і ўсеабдымны боль, простае і адназначнае паведамленьне сьвету пра тое, што адну зь ягоных часьцінак пакінула гармонія, пырхнула кудысьці ўверх, крылцы разагнуліся — й зьніклі. Гэта ня вельмі цікава, а вось далей ідуць падрабязнасьці: вычурнай, мудрагелістай вязьзю, цыклічным узорам на белым болі выразаны верш пра тую д’ябальскую соль, якой пасыпаная першасная пакута – менавіта гэтая соль надае крыку разнастайныя мадуляцыі й вісклівыя ноткі, захлынаньні й роў. І нарэшце тое, куды вядзе ахвяру ўказальнік болю – нянавісьць да ўсяго, што магло б быць крыніцай пакуты, што знаходзіцца па-за болем, што не адчувае яго, што пазбаўленае яго. Стан, калі ахвяра становіцца некіраванай.

— Ну што я мушу зрабіць, каб гэта скончылася? Скажы, што? Чаго ты ад мяне хочаш?

Альбінос адплюшчвае адно вока й сонна ўзіраецца ў мяне, потым расчаравана заплюшчвае яго й паварочваецца на другі бок: маўляў, што зь цябе возьмеш?

— Ну хочаш, я зайдуся ў гістэрыцы, як баба – ты ж гэтага дамагаешся?

Альбінос пагардліва хмыкае.

— Хочаш, я адрэжу сабе вушы? Ці мне неабходна ламіцца ў дзьверы, каб паглядзець, каго вы там... Скажы ім, Альбінос, гэта ж ты загадаў ім, так?

Альбінос маўчыць. Адна ягоная нага лянотна сьцягвае з другой тапачак. Няспынныя крыкі з-за сьцяны замінаюць мне гаварыць, прамаўляць усе гэтыя ўшчувальныя словы даводзіцца праз сілу. Мне ажно балюча – відаць, таму, што насамрэч я таксама мусіў бы лямантаваць, а не займацца бязглуздымі ўгаворамі. Я бясьсільна абводжу вачыма пакой, ягоная звыклая сінь не дае мне ўзгадаць, як называюцца іншыя колеры: перада мной стол і стул, за падваконьнем – прыземістая шафа, справа ад яе – рукамыйнік, за крок ад яго ложак, на якім ляжыць сьпінай да мяне мой сусед. Тое, што ён увесь апрануты ў сіняе й блакітнае, даўно наводзіць мяне на думку, што Альбінос апынуўся тут невыпадкова. Я ведаю, што ў пакоі Альбіноса дакладна такі самы інтэр'ер. Мой позірк сьлізгае па фіялетавым паркеце.

— Паслухай, ну давай згуляем у ва што-небудзь, і калі я выйграю...

Ня ведаю, чаму я гэта прамовіў. Мае словы якраз заглушыў чарговы дзікі крык – так, мусіць, крычаць людзі, якіх рэжуць жыўцом, і Альбінос цалкам мог не пачуць, што ж я сказаў – аднак ён чуе, спружына ўсеўладнага азарту выпроствае яго на ложку, ён рэзка падымаецца ды рушыць да дзьвярэй у сваё логава, нешта задаволена мармычучы. Хутчэй за ўсё, выправіўся па свой чамаданчык.

— Пачакай! — я нахіляюся да падлогі. – Глядзі!

Зьверху даўно ўжо нехта раздражнёна грукае – відавочна, мы размаўляем надта гучна, спрабуючы перакрычаць няспынны енк. На маёй далоні ляжыць прасьценькі, белы гульняльны кубік з плястмасы, далёкі нашчадак рымскіх касьцей, напэўна, ён закаціўся да мяне ў пакой падчас нейкіх Альбіносавых практыкаваньняў. А можа, мой сусед выпусьціў яго з рук і паленаваўся шукаць – ён часта ходзіць туды-сюды вось так, трасучы ў далонях кубік: трэніруецца ў чаканьні моцных супернікаў, годных канкурэнтаў. Крыкі за сьцяной зноў нарастаюць, і я на сэкунду дакранаюся да сваіх трагусаў, так лягчэй.

Кубік ляжаў шасьцёркай уверх, я падымаю далонь да самага падбародзьдзя Альбіноса, набіраю ў лёгкія паболей паветра й кажу:

— Я выкіну шэсьць разоў па шэсьць...

Ён сьмяецца й хоча нешта сказаць, аднак я прымружваю вочы й працягваю:

— Шэсьць разоў па шэсьць, і калі я гэта зраблю, за сьцяной стане... Стане...

Раптоўная сьляза засьціць мне вока, робіць усё навокал нерэальным і хісткім:

— Ціха! –

ціха, ціха, супакойвае мяне Альбінос, з падазрэньнем разглядваючы між тым кубік: ці няма на ім выступаў, умяцінак, трэшчынак, усяго таго, што дапамагло б мне перамагчы. Я кладу руку на кнігу, быццам зьбіраючыся на ёй паклясьціся, нібы просячы падтрымкі ў найвышэйшых сілаў. Якая лухта.

— Дамовіліся, — Альбінос вяртае кубік мне й разгладжвае нябесна-блакітны абрус на стале. – Пачынай. Дарэчы, ты ніколі не выйграваў у лятарэю?

Я няўцямна гляджу на Альбіноса. У маіх складзеных разам далонях скача свае рабскія танцы кубік. Я не магу яму анічога адказаць. Ня будзеш жа яму тлумачыць, што я ніколі ня браў удзелу ў лятарэях, і ня браў з той простай і сьмешнай, мабыць, прычыны, што мне сорамна й няёмка – няёмка турбаваць лёс з такой дробнай нагоды. Я расьціскаю далоні. Кубік падскоквае й ледзь не зьлятае са стала.

Альбінос сьмяецца.

— Шчасьлівец ты наш! Ну, дурням заўсёды шанцуе. Спачатку.

Ён гаворыць нешта яшчэ, ужо сур'ёзна, я бачу, як падрыгвае ягоная ніжняя губа. Калі ж ён зьнямее, гэты голас, калі пяройдзе ў хрып ад болю, бясконцага болю, бязмэтнага болю. Бязмэтнага? Але хіба я ня стаў хвіліну таму ягоным сэнсам, ягоным апраўданьнем? Хіба ня даў надзею невядомай ахвяры, якая зьнішчыць нас абодвух, толькі паслабце ёй путы? Альбінос садзіцца на крэсла.

— Мне вельмі хочацца верыць, — чую я, — што гэтая шчырая гульня. Чыстая гульня. Што ты гуляеш за сябе, а не за...

Ён вялікім пальцам паказвае за сьпіну.

— А інакш гэта нейкае змаганьне... а змагацца я ні з кім не зьбіраюся. Разумееш, я гулец. Гулец!

Ён ганарліва падымае ўверх падбародзьдзе.

— Можаш быць спакойны, — мае ўмольна складзеныя далоні мімаволі намацваюць дзіўны рытм, які мне чамусьці зусім ня хо-

чацца ламаць. – Можаш быць спакойны. Я проста хачу, каб стала ціха. Гуляю сам за сябе. Мне пляваць, чым там займаюцца твае... Мне проста трэба за-ся-ро-дзіц-ца!

— Кідай, — злосна адказвае Альбінос. – Кідай ужо, ня карты тасуеш. Шэсьць. Во, блін.

Паміж намі ні з таго ні зь сяго ўзьнікае незразумелая, празрыстая прыязнасьць – грубаватая, недаўгавечная, але прыязнасьць, душэўная повязь ката і ахвяры. Альбінос кладзе руку мне на плячо, і калі б ня крыкі, якія з новай сілай б’юцца аб кволы борт майго розуму, я бы, далібог, жартаўліва тыцнуў бы цяпер суседа пад рэбры. Пакой раптам пачынае гайдацца перад вачыма, і я хапаюся рукамі за край стала, заплюшчыўшы вочы. Добра чуваць, як удар кубіку аб стол трапляе акурат паміж двума крыкамі – адзін на тон вышэй за другі, пякельная гама.

— Каб цябе! – з захапленьнем крэкча Альбінос. – Шэсьць! Дай я цябе пацалую!

Я паволі адплюшчваю вочы. Сіняя вопратка Альбіноса бруднай плямай распаўзаецца па маім пакоі колеру маладой травы, надае ўсяму вакол нешта балотнае, багнавае, прыдоннае. За вакном цямнее, непрытомнее, дранцьвее, і ўжо не відаць дарогі, па якой калісьці нас прывёз сюды стары аўтобус. Альбінос круціць у руках кубік, потым кладзе яго ў кішэню.

— Ты ніколі не працаваў у лякарні? – я бяруся за трагусы. – Або ў разьніцы?

— Не, — няўважна кідае Альбінос і дастае аднекуль іншы кубік. – Давай цяпер гэтым. Такі самы. Між іншым, ад цябе дрэнна пахне. Казлом...

Я ня гледзячы раблю кідок і гляджу Альбіносу ў вочы:

— Чатыры нуль.

— Так ня лічыцца! – енчыць ён. – Кідай па правілах.

І вось кубік зноў скача ў маіх руках. Невядома адкуль, але я ведаю, што й гэты кубік ня здрадзіць, — так і ёсьць, шасьцісьпінная пачвара кладзецца як трэба. Альбінос плюе мне пад ногі.

— Ты за каго мяне трымаеш? Хітры, так? Думаеш, ня ведаю я вашага брата? Думаў пад дурня закасіць?

Аднак потым Альбінос сьцішваецца, зьнясілена апускаецца на крэсла й безуважна ўжо сочыць, як я вытрасаю дробязь перамогі з кішэняў лёсу. Кубік коціцца да краю стала, ні мая, ні Альбіносава рука не пасьпяваюць накрыць яго, ляпаюць па жоўтым абрусе, сутыкаюцца, пераплятаюць пальцы... Мы стукаемся ілбамі й слу-

хаем, як кубік бразгае па падлозе. Ён спыняецца ў мэтры ад дзьвярэй у пакой Альбіноса. Я падымаюся зь месца, але тоўстая рудая рука хапае мяне ўпоперак грудзей й адпіхвае да ложку – зрэшты, досыць асьцярожна. Я падаю надта доўга, пасьпяваючы ўсьміхнуцца, і ўсхліпнуць, і сьцерці са шчок нешта, падобнае на ўзьбіты яечны жаўток, а калі падымаюся, вакол мяне спалохана кружляе сухое лісьце. Адным крокам я наганяю Альбіноса і ўчапляюся яму ў карак – ён ужо схіліўся над кубікам і працягнуў да яго лапу. Альбінос губляе раўнавагу – як на мой погляд, дык надта карцінна: мы валімся на падлогу і я адчуваю, колькі вагі ў маім суседзе, урэшце ён усаджваецца мне на жывот і хапае за шыю. Яшчэ імгненьне – і мы апынаемся пад сталом, месім адзін з аднаго адзін аднаго, лепім, ахайна пазбаўляючыся ад непатрэбнага. – Што гэта? – раптам хрыпіць Альбінос, — Што гэта ў цябе, вось тут? – і паслабляе хватку. – На лаціне гэта называецца tragus, — шапчу я, углядаючыся ў перапуджаныя зрэнкі Альбіноса. – Гэта такі храшчык, абцягнуты скурай...

НАЙНОЎШАЯ ГІСТОРЫЯ ПАЛЕСЬСЯ

Безумоўна, я здагадваюся пра прычыну такой увагі да сваёй асобы. Рэч у тым, што мне – і гэта не выпадак, не, гэта нечы геніяльны пас уросчырк, праз мокрае поле храналягічных табліцаў, скрозь лінейную абарону часу, пас, які імгненна пазбаўляе мяне надакучлівай пэрсанальнай апекі й выштурхоўвае ў небясьпечнай адзіноце да штрафной суперніка – дык вось, менавіта мне выпала сёньня стаць першым студэнтам за ўсе гады існаваньня нашай невялічкай дзяржавы, якому давядзецца адказваць на пытаньні білету №50. Экзамэнатараў трое, і кожны ўдае, што нічога звышбудзённага не адбываецца: анічога, анічога, усё да такой ступені трывіяльна, што варта мне нечакана прыўзьняць галаву над партай, як гэтыя трое мужчынаў палахліва адводзяць ад мяне свае пільныя позіркі, і не пасьпяваюць, і сарамліва пачынаюць фальшывым шэптам перамаўляцца пра вынікі расейскіх выбараў, усё так звычна, што неўзабаве ў аўдыторыю завітвае дэкан гістфаку й сядае акурат за маёй сьпінай, усё гэтак сумна, што лябарант, якога паклікалі да свайго стала сябры камісыі, быццам бы выпадкова забывае празь некалькі хвілінаў на суседнім стале адгорнуты на патрэбнай старонцы падручнік – пажадай я, і мог бы спакойна ім скарыстацца, ніхто б слова не сказаў. Насамрэч усе гэтыя людзі вакол дрыжаць ад нецярпеньня, бо ўсьведамляюць, што зьяўляюцца сьведкамі папросту гістарычнае падзеі.

Менш за ўсё тое, што тут адбываецца, мае дачыненьне да футболу.

Іх можна зразумець, гэтых людзей, дарослых, пляшыстых, мудрых. Дзеля таго моманту, які я падару ім праз – ого, ужо праз дзесяць хвілінаў! – яны гадамі мерзьлі на мітынгах, весела лаяліся ў пастарунках, дзекалі й цекалі, баяліся за дзяцей і жанок, плакалі й пілі гарэлку, а галоўнае – штодня душылі агідны фурункул сумненьня, які заўсёдна выскокваў у самых патаемных кутох іхных душаў, там, дзе цень вонкавай упэўненасьці надзейна захінае любую слабасьць. А сумненьне налівалася, пунсавела, сьвярбела зноў і зноў: а ці варта за гэта змагацца?...а ці варта працягваць?...або зьмірыцца на супакой сямейнікаў ды заклеіць на зіму вокны?... Іх можна зразумець, гэтых фанатыкаў, бо тут, у нашай невялічкай краінцы, яны атрымалі жывое ўвасабленьне сваіх мараў. Колькі

начэй запар яны акуналіся ў вольнае сеціва, каб вылавіць такі вось сон: студэнт рыхтуецца да іспыту, рыхтуецца адказваць на пытаньні білету №50, і ён вымушаны адказваць па-беларуску, і ён вымушаны адказваць праўду, і студэнту гэтаму мусіць быць прыемная такая працэдура, бо з вакна маладзён можа бачыць дрэўка на вежы берасьцейскай ратушы, загорнутае ў бел... так, так, правільна, ў бел-чырвона-белае палотнішча, і можа натхняцца ладным грукатам ботаў добразычлівых натаўскіх жаўнераў, што чуецца з плошчы, бо вучыцца тут студэнт, насуперак мінскім "галасам", фактычна бясплатна, атрымаў летась дзяржаўную стыпэндыю, амаль тысячу талераў, і на вучобу хапае, і на кватэру ў Пружанах – ня ўсім, натуральна, тут так шанцуе.

Краіна, у якой я нарадзіўся, нагадвала футбольнае поле бяз брамак, трыбуны раўлі блатныя песенькі – зрэшты, гэта была тэрыторыя майго маленства, кукурузныя палачкі ў цукры, мама й тата, у такім узросьце ты папросту ня маеш адпаведнага органу, каб ненавідзець; краіна, у якой я паступіў ва ўнівэрсытэт, была меншая й страшнейшая, аднапакаёўка ў хрушчоўцы, перарobленая пад катавальню – вось яе, наколькі памятаю, я ненавідзеў ужо сьвядома, зь перакананасьцю сярэднявечнага пурытаніна, я заўжды ненавідзеў яе, цяжка нават апісаць, як я яе ненавідзеў, яе жыхароў, мову, звычаі, стравы, краявіды. Колькі сябе памятаю, я заўжды пачуваўся там невылечна хворым – на сындром прыроджанага эўропадэфіцыту, я задыхаўся між цесных ягадзіцаў радзімы. Фізычная агіда да яе шэрых дыяфільмаў падмінала пад сябе любыя спробы любові, яе сталінскі ампір каменем ляжаў на грудзях; калі ў гэтай дзяржаве нешта адбывалася, я бачыў перад сабой сьлізкага паўзуна, аганізуючага, з кавалкам чалавечыны, што зьвісае зь ліпучых, вільготных, нібы падлога бясплатнай прыбіральні, тоўстых губ, і паўзун марудна круціўся вакол уласнай восі, пэцкаючы аслупянелае сваё атачэньне – дагэтуль лічу, што гэта найлепшая, няхай і даволі банальная, мэтафара для любой, нават самай міралюбнай дзейнасьці маёй бацькаўшчыны. О Тварог і ўсе малочнакіслыя паганскія багі, як я яе ненавідзеў! Мне катастрафічна не ставала эўропы. Я марыў толькі пра адно – пасадзіць на сьпіну заплечнік і перайсьці заходнюю мяжу. Я быў гатовы стаць кім заўгодна – палякам, немцам, грэкам, італьянцам, баскам, ірляндцам, літоўцам, вугорцам, фарэрцам, абы толькі змыць зь сябе сапраўднае сваё паходжаньне. Я стаў горбіцца – як жа інакш, калі на твае кволыя плечы ціcьне сорам за дзесяць мільёнаў суай-

чыньнікаў. Мне казалі: фу, эўропа, паўсюль адно й тое, ізаляцыя, глябалізацыя, дэвальвацыя, пыха й пуга, транснацыянальныя карпарацыі, бяздушныя бюргеры, мы для іх ніжэйшая раса, далася табе гэтая эўропа, гэтая маразматычная фрэкэн Бок; мне казалі: ты ж нават ня быў ніколі па той, нібыта шчасьлівы бок мяжы, вось і ідэалізуеш, ідэалізуеш, верыш казкам, казкам, а яны надта ўжо часта насамрэч апынаюцца каскамі, каскамі...

Я ня слухаў. Дакладней, я завёў сабе трэцяе вуха, замаскаваўшы яго ў гушчары сваёй шэвелюры, і ўсю горкую атруту сваіх суразмоўцаў, усю іхную неперааймальную жоўць зліваў туды, у ратавальны рэзэрвуар па-над мозгам, дзе яна раскладалася на бясьпечныя й бессэнсоўныя рэчывы, што адразу ж па заканчэньні гэтай кароткай працэдуры адпраўляліся ва ўраўняльнае, млоснае беларускае паветра. Мае ж прыродныя, натуральныя вушы чулі толькі тое, што мне хацелася чуць. Кнігі ды інтэрнэт давалі мне трохі скрыўленую, але тым ня менш прывабную карціну Заходняй Эўропы, якую я, як мне здавалася, з посьпехам выгінаў да рэальнага адлюстраваньня. Прызнаючы той факт, што нішто ў сьвеце не заслугоўвае катэгарычнай ацэнкі, і пагаджаючыся, што адно неабходнасьць выбару стварае чалавечыя каштоўнасьці, я тым ня менш з жахам заўважаў: усё, што выклікае маю сымпатыю або інтарэс, месьціцца там, у маім эльдарада, усё, што я бы хацеў набыць на гэтай агромністай вэдээнгэ прадметаў і пачуцьцяў, якую называюць нашай плянэтай, знаходзіцца дзе заўгодна, але ня тут, усё, што я люблю, створана за мяжою. Там, дзе я жыў, на паўдзікія чалавечыя асобіны палявалі толькі мярзота, дэградацыя й гвалт – хрумсьцячы храшчыкамі, трупы даядала дзяржава, народаў братэрскі саюз, неяк я бачыў яго з бархану, гэтага трохгаловага мутанта: зубаты рот, driчок і струк; навокал стаяў няспынны енк гіенаў і старшыняў мясцовых саветаў. Я шчыра спрабаваў адшукаць хаця б каліва чыстага-сьветлага на запусьцелай тэрыторыі, дзе вымушаны быў існаваць, але апрача каменных стодаў й бэтонных хрэнаў з макам, густа раскіданых па бацькаўшчыне, не знайшоў анічога.

Сябры неўзабаве адвярнуліся ад мяне, бо мая гістэрычная любоў да любога прыхадня адтуль падавалася ім паталягічнай. Замежнікі прыводзілі мяне ў балючую роспач, я быў на мяжы – яшчэ адной шчасьлівай мяжы, па другі бок якой мусіць сьвяціць сапраўднае сонца, — на мяжы вар’яцтва. Я жыў пад штосэкунднае бубненьне недзе за сьпінай: эўропа, эўропа, там жа чалавек чалавеку

воўк, там жа людзі існуюць адасоблена адзін ад аднаго, ні сяброўства, ні суседзтва, ні дармаедзтва, ні калектывізму, ні ўзаемавыручкі... На ўзаемавыручцы мяне зарубала, я рэзка паварочваўся й крычаў: хачу без суседзтва, хачу без калектывізму, хачу без узаемавыручкі!...хачу без вас!... Вагон маўчаў і глядзеў на мяне са шкадаваньнем. Неяк я ўвесь вечар прабавіў у кампаніі галяндцаў, іх было чалавек дваццаць, яны не разумелі ні часьціцы па-расейску, я размаўляў зь імі на нейкай неданошана-крэольскай ангельскай – у якасьці перакладчыкаў ўдала выступалі дзесяць бутэлек белавескай і дзесяць піўных фаўстпатронаў. Ап’янелы, я сядзеў між беларусаў і тупа злаваўся на тое, што ў размовах паміж сабой яны хераць галяндцаў уздоўж і ўпоперак. Мае дарагія замежнікі кранальна махалі рукамі й дружалюбна сьмяяліся. Апоўначы галяндцы разьвіталіся з гаспадаром і сыйшлі. Хвілінаў празь пятнаццаць паперся дахаты і я. У мэтро я заснуў, а разбудзіў мяне жыцьцярадасны сьмех над галавой і вясёлая размова пра абстаноўку ў нашых кватэрах. Я падняў вочы й наткнуўся позіркам на тых самых галяндцаў. Яны размаўлялі па-расейску, прычым без аніякага акцэнту. Увесь шлях дамоў я праседзеў, апусьціўшы вочы й дыхаючы ў шалік, на канцавой станцыі мяне прыбраў мент.

Вар’яцтва, вар’яцтва... – зрэшты, яно адступала, калі замежнікі да пары зьнікалі. Тады я гуляў у футбол. Можа быць, хто-небудзь ведае пра FIFA-99, кампутарную гульню, цудоўны сымулятар, даўно, калі напраўду, састарэлы. Я пачаў зь некалькіх таварыскіх матчаў, гуляў жартам, без аніякага жаданьня перамагаць, але неўпрыкмет захапіўся й хутка ўжо гадзінамі ганяў віртуальных мужыкоў з тварамі кланаваных дэбілаў па зялёнай траўцы. Шчыра кажучы, да футболу й спорту навогул я быў тады больш чым абыякавы – у той, прамінулай краіне ён зьяўляўся чымсьці кшталту дзяржаўнай рэлігіі, і натуральна, што я плаціў спорту нянавісьцю. Але мой футбол быў нечым большым за футбол. У адзін перадкалядны вечар я адкрыў, што каманды і іхныя колеры можна прыдумваць самому, можна нават узяць на сябе функцыі футбольнай маткі й нарадзіць, апладніўшыся ўласнай фантазіяй, цэлыя лігі, ахрасьціўшы іх на свой густ. Беларусі ў сьпісе камандаў не было, я не марудзячы сьцёр з зямной паверхні Бэльгію, і ўжо ўвечары пад флямандзкім сьцягам бегалі фаміліянты маіх сяброў. А на наступны дзень на сьвет зьявілася Палеская рэспубліка. Белчырвона-белы сьцяг аб’ядноўваў шаснаццаць футбольных клюбаў і тэрыторыю ад Берасьця да Гомлі. На карэйскі лад нешматлікія

дэмакратычныя сілы маёй роднай пустэльні ўтварылі на яе поўдні вольную і эўрапэйскую краіну – такімі працэсамі поўнілася *мая* сусьветная гісторыя. Уяўленьне імгненна дабудавала падрабязнасьці. “Вітаўт” біўся з “Рэалам” у Лізе чэмпіёнаў, палеская зборная марна змагалася за выхад у фінал чэмпіянату сьвету, і ў той жа час Палеская рэспубліка ня мела дыпляматычных стасункаў толькі зь Беларусяй, Расеяй і некалькімі вечна рэвалюцыйнымі дзяржавамі ўсходу. Польская тэлевізыя казала пра жорсткі крызыс, нашы паўночныя суседзі спрабавалі вярнуць палешукоў да карыта, пасьля доўгіх сумненьняў ната ўзяла рэспубліку пад сваю абарону. Рэспубліка Чарнобыль – так нас называюць цяпер на поўначы вядучыя панарамы. Спачатку было цяжка, потым умацаваўся талер, наладзіўся гандаль – я ніколі ня быў спэцыялістам па гэтых эканамічных пушчах. Урэшце, я толькі гуляў у кампутарны футбол, і да плённай працы бактэрыяў свабоды ня маю аніякага дачыненьня.

— Білет нумар пяцьдзесят, — кажу я прыцішана, але ўпэўнена. – Утварэньне Палескай рэспублікі і яе станаўленьне на міжнароднай арэне. У 2021 годзе...

Яны слухаюць мяне, паўзакрыўшы змораныя вочы. З твару на твар, нібы мяч ад гульца да гульца, пераскоквае экстаз. Яны перамаглі. Я – сымболь іхнае перамогі. Я распавядаю пра візыт амэрыканскага прэзыдэнта, забываю дату ўвядзеньня палескага пашпарту, але спрытным фінтам абыходжу яго й пачынаю крытыкаваць Раду. Яны пахмурнеюць, бо ўсе зьяўляюцца яе дэпутатамі. Краіна мудрых гісторыкаў і кепскіх паэтаў. Што казаць, калі наш прэзыдэнт – аўтар гістарычных раманаў. Я атрымліваю сваю адзнаку, здаецца, вышэй за яе не бывае, але мне ўсё адно. У Палескай рэспубліцы дыплём – не сьвятыя мошчы. Дэкан даганяе мяне й паціскае руку. Гэта – трэцяя краіна, у якой мне давялося жыць. Спадзяюся, апошняя. Бацькі засталіся старэць у той, страшнай, другой. Там я мог бы стаць мастаком і музыкантам, пісьменьнікам або забойцам. Тут я стану мэнэджарам кампаніі “Puma-Palessie” або рэклямным агентам за чатырыста талераў у тыдзень.

У дзьвярох я спыняюся і абарочваюся. Экзамэнатары глядзяць на мяне са зьдзіўленьнем, грубая, рабатызаваная радасьць яшчэ сьвеціцца на іхных тварах – тварах пэрсанажаў кампутарных гульняў старой генэрацыі.

SPIS TREŚCI

ЗЬМЕСТ

Alhierd Bacharewicz urodził się w 1974 roku w Mińsku. Jest autorem książek: *Praktyczny poradnik niszczenia miast* (2002), *Barwy naturalne* (2003), *Żadnej litości dla Walentyny H*. (2006), *Przeklęci goście stolicy* (2008). W sondażu białoruskiego pisma *Nowa Europa* został uznany za najlepszego pisarza białoruskiego 2006 roku. Jego utwory były tłumaczone na języki: niemiecki, czeski, ukraiński, bułgarski i słoweński. Mieszka i pracuje w Hamburgu.

biblioteka białoruska

Pod patronatem Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego RP

Alhierd Bacharewicz to wschodząca gwiazda literatury białoruskiej. Trzydziestotrzyletni prozaik z Mińska, od kilku lat mieszkający w Hamburgu, wydał do tej pory na Białorusi cztery książki: *Praktyczny poradnik rujnowania miast* (2002), *Barwy naturalne* (2003), *Żadnej litości dla Walentyny H.* (2006) i *Przeklęci goście stolicy* (2007). Obecnie przygotowuje powieść zatytułowaną *Sroka na szubienicy*.

Jan Maksymiuk

odra

Międzynarodowy
Przegląd
Polityczny

TYGODNIK POWSZECHNY

www.bialorus.pl

ISBN 978-83-89185-80-8